

Józef Mackiewicz

Zwycięstwo Prowokacji

Na równi pochyłej

«Niedozwolone przez cenzurę»

Jeden z najznakomitszych adwokatów rosyjskich ubiegłego stulecia, Polak, nazwiskiem Spasowicz, występując w Petersburgu w roku 1871 w słynnym procesie 79 nihilistów-„nieczajowców”, — tych samych, którzy posłużyli Dostojewskiemu za wzór do jego „Biesów”, — powiedział w swej mowie obrończej:

„Polak może spoglądać na wiele rzeczy z przeszłości, na wspomnienie, których serce jego bije żywiej. Gdy odtworzy w myślach wspaniałą wielkość tej przeszłości, spowitą w złocie i purpurze, ucieka w jej ramiona, aby marzenia demokratyczne utulić w narodowym romantyzmie. Przeszłość Rosjan jest bardzo biedna, a teraźniejszość jest sucha, nędzna i naga jak step, który jest wprawdzie bezbrzeżny, ale nie pozbawiony kamieni miłowych. Radykalizm, ten charakterystyczny rys młodzieży rosyjskiej pochodzi stąd, iż nie posiada ona nic trwałego, za co by się mogła uchwycić; tłumaczy się brakiem tradycyjnej kultury...”

Trudno chyba w kilku słowach oddać bardziej precyzyjnie usankcjonowaną przez pokolenia charakterystykę Polaka,

przejętą przez historiozofię i literaturę polską. Do niej dopasowano wszystkie powstania i rewolucje sprzed pierwszej wojny światowej; wszystko cokolwiek było zabarwione ideałami romantyzmu narodowego polskiego w okresie porozbiorowym, włącznie do sloganu Piłsudskiego o wstąpieniu „do czerwonego tramwaju, aby wysiąść na przystanku: Polska”. Do tej charakterystyki pasuje również owo pogardliwe wzruszenie ramion, gdy w początkach 1944 roku w Warszawie, w rozmowie z członkami Podziemia próbowałem im uplastyczyć niebezpieczeństwa okupacji sowieckiej. Usłyszałem w odpowiedzi: „My, którzy mimo szalonego terroru, potrafimy stawiać skuteczny opór, którzy potrafiliśmy zastrzelić w biały dzień takiego Kuczerę!... Zgładzać szefów Gestapo i SS, mielibyśmy nie dać rady jakiejś Wasilewskiej, jakimś Putramentom, czy innym Osóbkom na usługach sowieckiej agentury?! Ależ to dla nas dziecinna zabawka!” — Były to głosy szeregowych Polaków, wychowanych w popularnej tradycji.

Jakże, więc doszło do tego, co jest w tej chwili?

Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej premier Sławoj-Składkowski zgłosił demonstracyjnie dymisję na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej, w znak protestu przeciwko „*crimen laese maiestatis*”, którego dopatrył się w samowolnej decyzji arcybiskupa krakowskiego przeniesienia zwłok marszałka Piłsudskiego do krypty Srebrnych Dzwonów na Wawelu. Powstał o to hałas w całym państwie i przysporzył wielu wrogów arcybiskupowi krakowskiemu. Gdyby jednak wówczas powiedział był ktoś: „Ks. Arcybiskup Metropolita Kardynał książę Sapieha jest człowiekiem zdolnym uznać agenta NKWD „Prezydentem Rzeczypospolitej”, a okupację bolszewicką nazwać „wyzwoleniem Polski”, — to należy przyjąć, że nawet najwięksi przeciwnicy ks. arcybiskupa uznaliby wówczas taką potwarz za niesmaczną przesadę. Gdyby zaś przepowiedzieć było, że to nie tylko nastąpi w niedługim czasie, ale ponadto książę metropolita nazwany zostanie po swojej śmierci, przez najbardziej patriotyczny odłam Polaków: „Księciem Niezłomnym”... — Nikt by zapewne nawet nie pojął

gdzie jest sens tego nihilistycznego dowcipu, oszczerstwa, czy też po prostu szaleństwa?

Niewypowiedziana nigdy przepowiednia stała się rzeczywistością. Wychodzący od roku 1945 „Tygodnik Powszechny”, oficjalny wtedy organ kurii metropolitalnej krakowskiej, nazywa wkroczenie wojsk bolszewickich „wyzwoleniem Polski”;

W roku 1947, b. agent NKWD, Bolesław Bierut, przyjmuje tytuł „Prezydenta Rzeczypospolitej” i w tym charakterze uznany zostaje przez episkopat polski; w roku 1951 umiera metropolita Sapieha, i w nekrologach mu poświęconych, nazwany zostaje w prasie emigracyjnej polskiej: „Księciem Niezłomnym”, dlatego że będąc biskupem katolickim przeciwstawiał się przeistoczeniu Kościoła w narzędzie bezbożnego bolszewizmu.

Te czasy w zestawieniu z dzisiejszymi, wydają się wszelako już bardzo odległe.

W latach 1945/47 większość emigracji polskiej piętnowała, nazywając „zdrajcą” b. premiera Stanisława Mikołajczyka za to, że zgodził się wejść do koalicyjnego rządu z komunistami. Gdyby w tym czasie powszechnego oburzenia i przygnębienia z powodu odmowy dalszego uznawania prawowitego rządu polskiego przez mocarstwa zachodnie, przepowiedzieć było, że wkrótce cała emigracja nie tylko popierać będzie nawiązywanie stosunków dyplomatycznych z komunistycznym rządem w Warszawie, ale nawet zabiegać o pożyczki zagraniczne dla tego rządu, ba! Trudno nazywać „zdrajcami” tych z pośród Polaków, którzy by się tym zabiegom chcieli przeciwstawiać... — To by również w taką możliwość jeszcze nie uwierzono. Także nie uwierzono by w tym czasie, że w roku 1957 prymas Polski poprze wybory jedynej listy komunistycznej, że grupa katolicka „Tygodnika Powszechnego” zaangażuje się bardziej we współpracy z komunistami, niż to czynił PAX w początkach swego istnienia, a mimo to uznawana będzie nadal za grupę patriotyczno-polską. Słowem nie uwierzono by w możliwość tych wszystkich innych, nie wyliczonych tu przykładów rzeczywistości obecnej. Jeżeli niektóre z nich tu przytoczyłem, to nie z chęci przyczynienia komuś ujmy osobistej. Przeciwnie,

leży w moim zamiarze możliwie pomijać stronę emocjonalną, tak niestety popularną w polskim piśmiennictwie politycznym, a sprowadzać rzecz do spokojnej oceny rzeczywistości. Doskonały eseista polski, Wacław Zbyszewski, słuszną zwrócił uwagę, że mamy za dużo ocen moralnych, za mało ocen faktów.

Osobiście z wykształcenia jestem, przyrodnikiem. Profesor mój, zoolog, ś. p. Konstanty Janicki, zwykł był mawiać, że tylko nauka porównawcza jest nauką ścisłą; tylko przez porównanie dochodzi się do wiedzy obiektywnej. Pouczenie to próbuję zachować do dziś jako drogowskaz, gdyż wydaje mi się jedynie słuszną metodą przy ocenie wszelkiej, dostępnej człowiekowi prawdy.

Faktów, które zaszły w Polsce po roku 1945, nie można oczywiście traktować w oderwaniu od reakcji wywołanej w znacznym stopniu na poprzednią okupację niemiecką. Tak, np. przytoczony powyżej zwrot: „wyzwolenie Polski” przez armię czerwoną, dotyczyć może tylko wyzwolenia jej spod okupacji niemieckiej, i tylko komuniści i ich stronnicy rozciągają go również na wyzwolenie spod Polski kapitalistycznej. Nie mniej fakt ten stanowi w danym wypadku raczej tylko ilustrację, komentarz do zdarzeń. Nie zmienia natomiast przesunięcia psychologicznego, które nastąpiło, a które posiada wszelkie cechy tzw. równi pochyłej. To, bowiem co nastąpiło, jest przejściem ze stanowiska negacji wobec ustroju bolszewickiego, na stanowisko li tylko opozycji wobec ustroju bolszewickiego w Polsce. Używam tu drażniącego konformistów określenia: „bolszewizm”, z całą świadomością. Jest to, bowiem termin ścisły, dziś bardziej nawet niż przed laty. Słusznie wskazuje się na zwrot w kierunku tzw. „czystego Leninizmu”. Z tą wszakże poprawką, że Leninizm nie istniał nigdy w praktyce za życia Lenina. Termin powstał po jego śmierci. Za jego życia istniał bolszewizm, który był właśnie klasyczną kreacją Lenina, wraz z jego licznymi formami taktycznymi, a w tej liczbie i bolszewickim NEP-em. I ten to bolszewizm, nie-do-uznania ongiś dla wszystkich Polaków z wyjątkiem nieznaczonej garstki komunistów, przeszedł de facto w stan uznania. Jednocześnie zarysowała się niejaka zbieżność

pomiędzy „polską drogą do socjalizmu” w kraju, a — drogą do kapitulacji poza krajem.

Naturalnie nie żyjemy w próżni, lecz związani z ogólnym procesem przemian zachodzących w świecie, o których poniżej będzie mowa. Nie można jednak, jak to się czyni, wyłączną odpowiedzialność za wytworzony stan składać na świat otaczający, na mocarstwa zachodnie, na politykę Stanów Zjednoczonych w szczególności. Wytykanie mocarstwom zachodnim ich błędów, ich „zaślepienia”, ich „głupoty” jest tematem bardzo popularnym w publicystyce polskiej. Zapominamy wszakże, że te mocarstwa z ich tradycyjnie przez nas piętnowaną „krótkowzroczną” wobec Sowietów polityką, również nie obracają się w próżni, a swoją politykę opierają częstokroć na przesłankach zaczerpniętych z postawy naszej i innych przez Sowiety podbitych narodów. Tymczasem właśnie wszelka krytyka, analogicznej wobec Sowietów i komunizmu, postawy własnej — należy do tematu w publicystyce polskiej najbardziej niepopularnego, unikanego, lub wręcz zabronionego. Szczególnym tabu objęte są te momenty, które mogłyby wskazywać, że postawa polityczna pewnych sfer polskich w nie małym stopniu przyczynia się do wytwarzania fałszywej oceny istotnego zagrożenia ze strony międzynarodowego komunizmu, oraz ponosi częściowo odpowiedzialność za stan dezinformacji, jaki panuje dziś w zachodniej opinii politycznej. Dyskusja na ten temat, o ile przedostaje się, kiedy na łamy prasy polskiej, nosi charakter z góry umowny, obraca się w granicach niedomówień i cenzury narzuconej przez narodowe postulaty. Także istnieje z góry wytyczona reglamentacja krytyki cech narodowych, o ile przekracza mniej więcej te ramy, które nakreśliliśmy powyżej z mowy adwokata Spasowicza.

Zastanawiając się nad łańcuchem przyczyn, które doprowadziły do dzisiejszego położenia w kraju i na emigracji, próbowałem kilkakrotnie te bariery, krępujące publicystykę polską przekroczyć. Przeważnie bez powodzenia. W niniejszej książce znajdzie, więc czytelnik m.in. sporo tych rzeczy,

których druk niedozwolony został przez cenzurę emigracyjnych pism polskich.

O suwerenność myśli

Nie stawiam sobie za cel narzucenia komuś moich poglądów. Z góry zakładam, że istnieją niewątpliwie poważne argumenty, mogące podważyć nie jeden z moich własnych. Natomiast przekonany jestem głęboko, że emigracja polska — jak każda zresztą emigracja spod komunistycznego panowania — ma do spełnienia i spełnić może pewne ważne posłannictwo. A mianowicie: po utracie suwerenności państwa — ratować suwerenność myśli.

Uroczystymi uchwałami, postulatami, patriotycznymi dezyderatami, a tym mniej sloganami i zakazami, suwerennej myśli się nie ratuje.

Całkowitej prawdy nie zna żaden człowiek na tym świecie. To, co my, ludzie, nazywamy „prawdą” jest zaledwie jej szukaniem. Szukanie prawdy jest tylko możliwe w ścieraniu się myśli, zaś ścieranie się myśli jest tylko możliwe w wolnej dyskusji. Dlatego ustrój komunistyczny, który tego zakazuje, musi być siłą rzeczy — wielką nieprawdą. Znalazłszy się tedy w świecie uznającym wolność jednostki i wolność myśli, winniśmy czynić wszystko, aby nie zacieśniać horyzontów myślowych, a je rozszerzać; nie zacieśniać dyskusji, a ją poszerzać. Jeżeli zatem książka moja w najskromniejszym chociażby stopniu przyczyni się do tego poszerzenia, cel jej będę uważał za osiągnięty.

*

Przyznać należy, że środek XX wieku nie stwarza pomyślnej po temu koniunktury, nawet w świecie wolnym od komunizmu. Świat ten, od roku 1914, dokonał wielkich przeobrażeń i osiągnął dużo. Między innymi zlikwidował większość królów, cesarzy i carów, a powołał na tron zasadę totalnej Demokracji.

Czy to jednak, dlatego, że ten nowy władca występuje właśnie tak totalnie, czy też, dlatego że nastawiony jest na człowieka masowego, dość, że sprzyja wytwarzaniu ubocznego produktu, który by nazwać można: kolektywnym sposobem myślenia? Stary, wybujały indywidualizm wyszedł z mody. Jak każda rzecz staromodna, poddany został gruntownemu przefasonowaniu, w niektórych wypadkach zbyt może radykalnemu? Niestety, dzieje się to właśnie w epoce, gdy zarówno totalny jak totalitarny komunizm światowy, skolektywizowaną myśl ludzką podniósł do godności sztandaru. Wiele wskazuje na to, że po drugiej wojnie światowej, demokracje zachodnie skłonne są nie tyle komunizm zwalczać, ile raczej z nim konkurować. Rodzi się z tego tendencja do jednostronności, prawie niezaprzeczalnej jednostajności.

Kiedyś, papież Leon XIII, przyjmując na audjencji kanclerza Niemiec von Bülowa, wyraził przekonanie, że złem najgorszym jest socjalizm i demokracja. Były to, więc czasy, które słusznie zaliczyć możemy do reakcyjnych. Jednocześnie jednak nasuwają się pewne porównania. Między innymi, że nieraz łatwiej było w czasach cesarzy i królów być rewolucjonistą, niż dziś kontrrewolucjonistą; socjalistą, niż dziś antysocjalistą z przekonania. Lenin, twórca największej niewoli w dziejach ludzkich, i największy wróg starego świata, gdy został w tamtych czasach zesłany na Sybir, to w porównaniu do dzisiejszych, w warunkach, które ktoś dowcipnie określił „Wiśniowym Sadem”.

Porównanie innych swobód ludzkich nie zawsze wypada na korzyść ustanowionych dziś przez demokracje. Weźmy na przykład stosunek do wojny. Każda wojna, nie tylko dziś, ale zawsze, uważana była za nieszczęście. O konieczności pokoju mówiono nie mniej w czasach minionych. Podobnie zwoływano konferencje i obmyślano sposoby utrzymania pokoju. Tak pierwsza haska konferencja pokojowa, zwołana z inicjatywy cesarza Mikołaja II w sprawie ograniczenia zbrojeń, zgromadziła w roku 1899 26 państw; druga, w roku 1907 już 44 państwa, które uchwaliły szereg ważnych dla utrzymania pokoju konwencji. Słowo „pokój” było na ustach wszystkich;

tym niemniej wolno było o wojnach wyzwoleniczych nie tylko mówić i pisać, ale je również gloryfikować. Rzućmy okiem po miastach Europy, a dostrzeżemy w nich masę pomników postawionych ludziom, którzy swojego czasu zainicjowali jakąś wojnę wyzwoleniczą. Turysta we Włoszech nieomal w każdym miasteczku, które siebie ceni, zastanie pomnik Garibaldiego, z szablą w ręku, lub ze sztandarem porywającym ludzi do wojny. Niektóre z tych pomników są jeszcze wcale świeżej daty. Gdy się wszakże porówna tyranię dawnej Austrii, przeciwko której Garibaldi porywał ludzi do wojny, z dzisiejszą tyranią Związku Radzieckiego, przeciwko której nie wolno porywać ludzi do wojny, myślący człowiek odczuje pewne zakłopotanie. Narzucić się musi pytanie: jak to się stało, że dziś, gdy zaistniała największa w dziejach tyrania, która ujarzmiła setki milionów ludzi, słowo „wojna” jest w praktyce nieomal policyjnie zakazane przez demokratyczną opinię publiczną? A każdy, kto je ośmieli się wypowiedzieć, piętnowany jest mianem „zbrodniarza” lub „szaleńca”. Nb. przy absolutnej zgodności tej opinii od Watykanu po zwolennika ateizmu.

W rzeczywistości sprawa przedstawia się jeszcze bardziej jednostronnie, niż to pozornie mogłoby się wydawać. Albowiem dziś nie każda „wojna wyzwolenicza” jest w równym stopniu potępiana, a jedynie wojna o wyzwolenie ludów spod panowania sowieckiego. Nie każda też rewolucja jest potępiana; czasem przeciwnie, — odkąd słowo „rewolucja” za wpływem Ameryki, uznane zostało za pojęcie pozytywne, rewolucje np. przeciwko państwom kolonialnym, cieszą się nawet sympatią. Potępiana jest tylko (kontr-) rewolucja przeciwko komunizmowi. I dzieje się to w chwili, gdy ten sam komunizm rozszerzając swe podboje, jawnie i na oczach wszystkich, może sobie pozwolić na gloryfikowanie ich pod obłudnym mianem „rewolucji”, lub „wojny wyzwoleniczej”. Prawda, że wielu ludzi się na to zżyma, ale nikt z tego powodu Związku Radzieckiego nie przeżywa: „szaleńcem”!

Słowo to naprowadza nas ubocznie na inny fenomen dzisiejszych czasów, a mianowicie na stanowisko, jakie zajmują obecnie t. zw. sfery intelektualne prawie całego świata, sfery

artystyczne, literackie, młodzież uniwersytecka etc. W dawnych czasach, właśnie z pośród tych sfer rekrutował się największy procent „szalonych głów”, szokujących swymi wywrotowymi ideami solidnych obywateli istniejącego układu rzeczy. Nagle te zapaleńcze głowy gdzieś zniknęły. Gdzie się podzieli ci indywidualiści starych czasów, ci rozczołhańcy ideowi wzywający do czynów niemożliwych? Wprawdzie po wszystkich bulwarach wielkomiejskich spotykamy dziś nie mniej, a więcej rozczołhanych egzystencjonalistów, ale nie stanowią już typu indywidualnego, a raczej kolektywny; nie reprezentuje zwolenników obalania tyranii, a przeważnie zwolenników zgodnego współżycia z tą tyranią. Mamy, więc do czynienia z niezwykle paradoksem:

Gwałt fizyczny i masowe zbrodnie, nie stanowią jakościowo charakterystycznej cechy ustroju komunistycznego. Hitleryzm potrafił w licznych wypadkach przelicytować te zbrodnie pospolite. Najcharakterystyczniejszą cechą systemu komunistycznego jest natomiast totalna niewola ludzkiego ducha, zniewolenie ludzkiej myśli, ludzkiego intelektu. Zdawałoby się, więc, że największych wrogów tego systemu należałoby szukać nie tyle wśród robotników, chłopów, rzemieślników, burżujów i szarego tłumu ulicznego, co właśnie wśród sfer tzw. postępowych, które ideał wolnej myśli tradycyjnie wy-gestykulowały ponad tłum; które sprawę ducha, wynosiły ponad sprawę chleba powszedniego. Logicznie spodziewać by się należało, że właśnie sfery intelektualne wszystkich krajów staną się awangardą walki z komunizmem. Nic podobnego nie zaszło. Stało się wbrew logicznym przewidywaniom: ci, którzy się buntują, okrzyczani zostali „reakcjonistami”; ci zaś, którzy posłusznie wkładają szyję w obrożę komunistycznej tyranii, mianują siebie „progresistami”.

*

Szczytowym przykładem powyższego paradoksu służyć może stanowisko zajęte przez sfery światowej literatury, zgrupowane w międzynarodowym P. E. N. Klubie.

Jak wiadomo ustrój komunistyczny przeistoczył wielką literaturę rosyjską w bezwartościowy kicz. We wszystkich innych krajach, gdzie nastaje komunizm, wolna literatura zostaje podcięta, lub zniszczona. Tymczasem P. E. N. Klub, który zobowiązany jest przestrzegać zasad swej pięknie brzmiącej „Karty” o wolności ducha, myśli i twórczości, — zamiast walczyć o te wzniosłe ideały, przeciwnie — wykazuje wyraźną tendencję do współpracy z tymi, którzy te ideały depczą. Zaprasza do swego grona komunistów, wybiera na prezesów literatów o skłonnościach wobec komunizmu ugodowych, odwiedzających Moskwę; a ostatnio na wiceprezesa nawet przedstawiciela państwa komunistycznego, Polaka Parandowskiego, który jeżeli osobiście komunistą nie jest, wiadomo, że będzie we wszystkich wypadkach głosował po stronie komunistów.

To stanowisko najwyższej reprezentacji światowej literatury nie jest wszakże odosobnione, a raczej stanowi odbicie przeciętnych nastrojów panujących w świecie intelektualnym w ogóle, a literackim w szczególności. Nie tylko w zachodniej Europie, ale i w Ameryce. Promieniowanie tych nastrojów jest ogromne.

W roku 1955 literacką nagrodę Nobla otrzymuje słaby pisarz, komunista z Islandii, H. Laxness. W tym samym roku pewien poeta włoski, Salvatore Quasiroodo, zamieszcza w organie komunistycznej partii Włoch, „L'Unita”, wiersz:

„Najpierw Bóg stworzył ziemię i niebo
O właściwym dniu zawiesił też
Światła na niebie

.....

Po milionach lat zapalili ludzie
Inne światła na radosnym niebie - Nocy październikowej,

.....
Podobne do tych, które krążą od stworzenia
Świata. Amen."

To o bolszewickiej rewolucji październikowej. Dwa lata później, w r. 1959, Quasimodo otrzymuje literacką nagrodę Nobla. — Agent komunistycznego rządu warszawskiego dla spraw literatury, literat Jarosław Iwaszkiewicz, pisze o nagrodzeniu Quasimody w „Życiu Warszawy” (27.10.1959):

„Przyjaciół naszej kultury... Przyjaciół naszego narodu! W r. 1948 był na kongresie intelektualistów we Wrocławiu, w r. 1950 na kongresie pokoju; w r. 1955 na uroczystościach Mickiewiczowskich”...

Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkie wymienione tu imprezy, były imprezami komunistycznymi. Literaci sowieccy wysyłają depeszę do Włoch:

„Jest Pan pierwszym poetą na zachodzie, który napisał poemat o naszym, Sputniku!...”

Korespondent „Figaro Litteraire” pyta Quasimodo, czy to prawda, że odmówił podpisu pod protestem przeciwko uwięzieniu pisarzy węgierskich? — „Tak”, odpowiada laureat Nagrody Nobla, „gdyż okoliczności zaistniałe w Budapeszcie nie były mi znane...” Zapytany o życie literackie w Moskwie, do której często zagląda, odpowiada: „Życie literackie w Moskwie rozwija się normalnie, bez żadnego nacisku z zewnątrz... Naturalnie są pewne granice, związane w sposób naturalny z każdym społeczeństwem politycznym. Inaczej nie bywało nawet w Grecji za czasów Peryklesa.”

Jeżeli bywają klasyczne przykłady hipokryzji, to niewątpliwie tego rodzaju odpowiedź winna być do nich zaliczona. Naturalnie też, nikt na zachodzie nie będzie twierdził, że Quasimodo, że podobni mu pisarze i artyści nagradzani są, lub w inny sposób robią karierę, dlatego że są komunistami, lub pro komunistami. Zarzut tego rodzaju odrzuca się normalnie z pogardą i wzruszeniem ramion. Jeżeli chodzi o ich oblicze światopoglądowe, to cechuje się ich jako ludzi będących: „za pokojem”. W ten sposób slogan: „Pokój”, wynosi się ponad inne

wartości bezwzględne, jak: prawda, wolność myśli, wolność ruchu, dobro jednostki etc. Wszystko jest mniej warte od względnego pojęcia „pokoju”, gdyż wiadomo, że w istocie nie chodzi tu o pokój bezwzględny, a jedynie o — pokój ze światem komunistycznym.

Jest rzeczą zrozumiałą, że skoro takie stanowisko zajmuje przodujący przedstawiciele ducha, „Weltgeistu”, trudno załamywać ręce nad konformizmem zwykłego zjadacza chleba, współczesnej kultury masowej.

*

W grudniu r. 1958, gdy należałem jeszcze do międzynarodowego P. E. N.-Klubu, (z którego wystąpiłem na kongresie frankfurckim, po przyjęciu komunistów węgierskich do P. E. N.), wygłosiłem przemówienie na zjeździe emigracyjnego „Centrum” w Monachium, z którego wyjątki pozwolę tu sobie przytoczyć:

Czytałem Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago” i przyznać muszę, że byłem zachwycony. Pozwalam sobie jednak wyrazić przekonanie, że pod względem literackim ustępuje takiemu talentowi jak Bunin, na przykład. Jeżeli zaś chodzi o filozoficzne naświetlenie przebiegu rewolucji, o wiele ciekawsze wydają mi się np. wspomnienia prof. Fedora Stepuna. Mówię: „na przykład”, gdyż emigracja rosyjska ma poza tem wiele pierwszorzędnych talentów, które wszelako pozostają zupełnie nieznane. Trudno się, przeto oprzeć wątpliwości, czy „Doktor Żiwago” osiągnąłby ten stopień rozgłosu, gdyby autor książki przebywał na emigracji. W wątpliwości tej utwierdzają doświadczenia z „Odwilżą” Erenburga i „Nie samym chlebem” Dudincewa. „Odwilż” jest książką literacko bezwartościową, a utwór Dudincewa zdecydowanym kiczem. Ale dlaczego wydawane są we wszystkich językach i ludzie biegną do księgarni wydawać swe dobre pieniądze na złe książki? Dlatego, że pasują one do współczesnych koncepcji politycznych. Cokolwiek by się powiedziało o dziele „Nowa Klasa” Dżilasa, jedno jest pewne,

że w przeciągu ubiegłych czterdziestu lat, odkąd na wschodzie panuje bolszewizm, tuziny autorów lepiej i trafniej sprecyzowały istotę komunizmu niż Dżilas. Dlaczego jednak tamte dzieła zapadły w niepamięć, a dzieło Dżilasa stało się światowym bestsellerem? Obawiam się, iż dlatego tylko, że nie skaził się on nigdy robotą antykomunistyczną, a w gruncie pozostał komunistą, jakim był zawsze.

Inaczej niż w odniesieniu do bojowników antyfaszyzmu, nie ceni się, albo nawet zwalcza, starych bojowników antykomunizmu. Nawet, gdy się przypadkiem nie traktuje ich za „reakcjonistów”, to w każdym razie uważa za starych nudziarzy. I to nie tylko w kołach lewicowych.

Gdyby np. jakiś pisarz emigracyjny zwrócił się do uchodzącego za prawicowe „Figaro Littéraire”, z wyliczeniem pomordowanych przez komunistów milionów ludzi, potrafiłoby go już spławić z redakcji, łącznie z jego wyświechtanymi frazesami. Ale oto nagle zjawia się w redakcji pisarz reprezentujący młode pokolenie niezadowolonych komunistów, którego ani jednej książki nikt w redakcji nie czytał. — (Mowa tu o Marku Hłasko. — Przyp. autora) — I zaraz robi się z nim wielki wywiad, a nowa gwiazda marszcząc rozumnie czoło objawia, że „za Żelazną Kurtyną brakuje szczoteczek do zębów...” I to oświadczenie pojawia się na pierwszej stronie paryskiego tygodnika, jakby brak szczoteczek do zębów, po tym, wszystkim co wiemy od czterdziestu lat o rzeczywistości życia pod komunizmem, stanowić mogło jakąś rewelację.

Casus z tym pisarzem wydaje się typowym dla oceny współczesnej mody na zachodzie, którą bym nazwał: polityczną mademoiselle Sagan... Wiele kobiet napisało lepiej o przeżyciach miłosnych; ale nie każda mając dopiero lat 18-cie... Nie każdy też, kto pisze o komunizmie, jest lub był — komunistą.

Nie zestawiając oczywiście talentów literackich, ale Casus-Hłasko w zestawieniu z Casus-Pasternak, pozwala nam na wyciągnięcie pouczającej analogii: W Sowietach związki zawodowe, załogi fabryczne, komsomolcy i tysiące innych ludzi nazwało Pasternaka, na rozkaz partii, — świnia i zdrajcą. Skąd jednak wiedzieli ci wszyscy ludzie, że Pasternak jest zdrajcą i świnia, skoro nikt z nich książki jego nie czytał, gdyż w Sowietach nie była wydana? W naszym, wolnym świecie

zrobiono Hłasce dużą reklamę i ukazało się setki o nim wzmianek i wywiadów, zanim w ogóle książki jego zostały przetłumaczone na obce języki. Skądże więc wiedziano o tym, że tej dużej reklamy jest wart?...

Warszawska „Trybuna Ludu” wystąpiła z „oskarżeniem” Hłaski, że się włączył do antykomunistycznej literatury. I na to, ów laureat najnowszej europejskiej mody, odpowiada z Paryża z oburzeniem: „To jest oszczerstwo! To jest policyjna denuncjacja!” — I nie ma nikogo, kto by się tym oburzeniem zgorszył. A czy mogą sobie państwo wyobrazić, jakby to zareagowano, gdyby ktoś pomówiony o „włączenie się do antyfaszystowskiej literatury”, odkrzyknął publicznie: „To oszczerstwo! To denuncjacja!”?...

*

Niewątpliwie tak znaczne wyniesienie moralne komunizmu ponad faszyzm, w oczach opinii publicznej świata, zawdzięczamy Hitlerowi i jego zbrodniczym metodom, które skompromitowały ideę krucjaty antykomunistycznej.

Z drugiej strony demokracje Zachodu, które wsparły centralę międzynarodowego komunizmu podczas wojny, nie tylko materialnie ale i moralną propagandą, znalazły się po zwycięstwie odniesionym przez Sowiety w przymusowej sytuacji, którą komunizm potrafił z łatwością wyzyskać.

Żadna z działających na zachodzie potęg, nie miała zamiaru przyznać się do popełnionego błędu. Nikt się do błędów nie lubi przyznawać, a już tym bardziej potężni tego świata. Wprowadzone więc zostało na zachodzie, po zakończeniu wojny, jakby swoiste nowe Calendarium polityczne, o podziałce na: zło i dobro, a którego dzień pierwszy datuje się 22-gim czerwca 1941 roku. Od tej daty wszystko jest — dobrem, cokolwiek czyniło się dla poparcia Sowietów, a wszystko jest — złem, cokolwiek czyniło się ku przeszkodzie ich zwycięstwa nad Niemcami. Kto Sowietom podczas wojny pomagał, bez względu na osobiste przekonania polityczne, ma dziś prawo do zabierania głosu w wolnym świecie. Kto przeszkadzał, nie ma

nic do gadania. W przeniesieniu na stosunek do narodów przez komunizm ujarzmionych, formuła ta wyglądałaby następująco:

Każdy naród ujarzmiony przez komunizm posiada wprawdzie, w oczach Zachodu, prawo do samoobrony, względnie do zniknięcia z powierzchni ziemi i wtedy może liczyć na współczucie, — me miał jednak prawa od roku 1941 opierać się Sowietom gdy znalazły się one w wojnie; a tym bardziej we współdziałaniu z armią niemiecką. Gdyż w takim wypadku, bez rozpatrywania jego interesów narodowych, ipso facto zaliczony zostaje do wrogów demokracji. — Tego rodzaju obowiązująca formuła zmusiła emigracyjnych przedstawicieli tych narodów wschodniej Europy, które podczas ostatniej wojny podniosły broń przeciwko komunistom, do konstruowania politycznego alibi. Ażeby przedstawić Zachodowi okoliczności łagodzące i uzyskać z jego strony pobłażanie, należało we własnym interesie zdeformować rzeczywisty przebieg wypadków, w mniejszym lub nawet większym stopniu. Stąd liczne zakłęcia z ich strony, że zbuntowali się wprawdzie przeciwko „tyraniu Stalina”, ale oczywiście nienawidzili Niemców tak samo. Lub bardziej skuteczne zapewnienie, że w istocie: „walczyli od początku na dwa fronty”. Nawet uczestnicy armii Własowa próbowali „okupić swą winę”, rozdmuchując do możliwie dużych rozmiarów końcowy epizod wojny, gdy to w porozumieniu z czeską organizacją podziemną w Pradze, zwrócili broń przeciwko Niemcom. Jak wiadomo, w pierwszej fazie powojennej, nie na dużo się im to przydało, gdyż łącznie z kozakami i innymi formacjami antybolszewickimi, wydawani byli przez Zachód, częściowo na pewną śmierć, w ręce Sowietów.

W nowowprowadzonym Calendarium, Hitler odegrywa rolę zbliżoną do roli Lucyfera z czasów surowego średniowiecza, rolę kanonicznego zła, bez prawa wdawanie się w bliższą analizę tego kanonu, pod groźbą wykluczenia z demokratycznego kościoła powszechnego; w danym wypadku w dosłownym brzmieniu, gdyż obejmującego zarówno świat bolszewicki jak nie-bolszewicki. Dawne liberalne prawo do

nieograniczonych porównań, ograniczone zostało moralnym zakazem, którego nawet ściśle naukowym badaniom naruszyć nie wolno. A rzecz zrozumiała, że każdy przejaw antykomunizmu w czasie ostatniej wojny, przy odpowiedniej dialektyce oskarżycielskiej, w ten czy inny sposób powiązany być może łatwo z osobą Hitlera.

Stąd nigdy chyba jeszcze po żadnej wojnie, nie nawodniała świata taka masa kłamców przymusowych. Mnoga ilość ludzi znalazła się w sytuacji koniecznej, zmuszającej ich do fałszowania nie tylko własnego curriculum vitae, ale i swoich narodów, przebiegu zdarzeń i faktów historycznych. Nawet osoby o tak nieposzlakowanej przeszłości, jak np. marszałek Finlandii Mannerheim, uważał za stosowne zaraz po wojnie udzielić przygnębiająco poniżającego wywiadu, w którym prawie całkowicie przemilczał lata walki z bolszewizmem, a uwypuklał jedynie moment zerwania sojuszu z Niemcami. Osobiście zetknąłem się z ludźmi z b. armii Własowa, którzy do dziś dnia nie mogą się wyzbyć odruchu instynktownego obejrzenia za siebie i zniżenia głosu, gdy przyznają się do walki z bolszewikami w tym czasie.

Nie można się dziwić tym ludziom. Zaraz po wojnie, największy poeta amerykański, a jeden z największych na świecie, Ezra Pound, za to, że opowiedział się po stronie faszyzmu włoskiego, wsadzony został do żelaznej klatki przeznaczonej dla małąp, i trzymany w niej tak długo, aż w drodze ułaskawienia przeniesiony został do szpitala wariatów. Do szpitala wariatów wsadzono też jednego z największych prozaików literatury światowej, 86-letniego Knut Hamsuna, który podczas wojny opowiedział się za sojuszem z Niemcami.

Podczas gdy innego wielkiego prozaika o sławie Światowej, Tomasza Manna, który oświadczył, że: „Największym szaleństwem świata jest — antykomunizm”... nikt nie podejrzewa nawet o utratę zdrowych zmysłów. Nawiasem, niewątpliwie słusznie.

*

Ostatnio wydano na zachodzie przekłady doskonałego sowieckiego pisarza wcześniejszego okresu, Izaaka Babela. W Niemczech zachodnich, aż trzy wydawnictwa pośpieszyły w roku 1961, wystąpić z jego książkami. Wznowienia te przyjęte zostały przez krytykę z dużym aplauzem.

Babel był do końca życia ideowym bolszewikiem, a karierę swą rozpoczął w — budzącej swojego czasu dreszcz grozy — „Czeka”, późniejszym GPU. Utalentowany pisarz z sympatią pisze o swej służbie w „Czeka”, zabarwiając wspomnienia

swoistym dla jego pióra wdziękiem abstrakcyjnej surowości, realizmem i ciepłem romantycznych porywów.

Skądinąd wiemy, że w tym okresie gdy autor pełnił właśnie służbę w bolszewickiej policji politycznej, — według obliczeń zapewne przesadnych, jak wszelkie obliczenia masowych mordów i masowych strat — wymordowała „Czeka” w ciągu jednego tylko roku (1918—1919) i tylko na obszarze południowej Rosji, 1.700.000 ludzi. Na Kubaniu zabawiano się rąbaniem szablami ustawionych nad otwartym grobem więźniów; w Carycynie (późniejszym Stalingradzie - Wołgogradzie) trzymano aresztowanych na dnie starych barek, zamkniętych w masowym stłoczeniu, razem mężczyzn, kobiety i dzieci, w nieludzkich warunkach i straszliwym smrodzie własnych ekskrementów, po czym topiono ich w Wołdze; w Charkowie specjalizowano się w skalpowaniu i ściąganiu tzw. „rękawiczek”... etc.

Cyfry porównawcze pouczają nas, że bolszewicka „Czeka”, wraz z późniejszymi transfiguracjami: GPU, NKWD-NKGB, MGB i MWD, dokonała cyfrowo w ciągu 40 przeszło lat, więcej „Genocidium”, niżli to mogło zdążyć uczynić GESTAPO w krótkim stosunkowo czasokresie swego istnienia.

Izaak Babel cieszy się zasłużonym powodzeniem literackim na zachodzie. Zwróćmy jednak uwagę na powszechne oburzenie, jakie wywołało swojego czasu „zdemaskowanie” rumuńskiego emigranta Georghiu, autora „25-ej godziny”, lub na skandal o światowym rozgłosie, wywołany nieopatrzny nagrodzeniem przez L'Academie Goncourt pisarza emigracyjnego Vintila Horia, za książkę „Dieu est ne en exil”.

A przecież żaden z tych pisarzy nie służył nigdy w analogicznej organizacji, w jakiej służył Babel, a jedynie „ponoć”, w przeszłości, wyrażali poglądy nie dające się pogodzić z obowiązującymi dzisiaj.

Zajmuję się osobą Babcia, gdyż służy mi za obiekt w metodzie porównawczej. Jest to zresztą pisarz świetny. Między innymi wieje nienawiścią do wszystkiego, co polskie, a zwłaszcza do katolicyzmu. W jego książkach jest wiele bluźnierstw i świętokradczych tendencji. Opisuje kapłana katolickiego, który rozwiesza wyprane biusthaltery swej gospodyni na gwoździach krucyfiksu w kościele; pisze, że księżniczka Deborah była kochanką Chrystusa i t. p. — W uchodzącym za szczerze katolicki, krakowski „Tygodniku Powszechnym”, pisarka katolicka, Starowieyska-Morstinowa, pisze o twórczości Babela:

„.... to życie tak realistycznie ukazane, tak brutalnie, układa się równocześnie w... fascynującą kompozycję chagallowską. Wszystko tu jest i arcyrealistyczne i równocześnie wizyjne. A jakżeż piękne! Po prostu zachwycam się tym światem rojnym i bogatym... Co za pisarz! Naprawdę godny stanąć obok największych asów wielkiej prozy rosyjskiej. Czym jest sztuka pisarska... która umie wszystko przenieść w ową stratosferę, gdzie nie ma już słowa „ładny” i „brzydki”... A jest tylko słowo: piękne.” („Tyg. Powsz.”, 1.10.1961.)

Osobiście pierwszy bym zaprotestował przeciwko umieszczaniu książki Izaaka Babela na jakimkolwiek indeksie. Osobiste poglądy nie zmieniają tu jednakże obiektywnego stwierdzenia, że przed rokiem 1941 żaden z katolickich pisarzy na świecie nie napisałby takiej o tej książce recenzji, ani żadne z katolickich pism. na świecie takiej o tej książce recenzji nie zgodziłoby się zamieścić. Pozornie wynikałoby tedy, iż nastąpił pewien pozytywny przełom, że mamy do czynienia z niewątpliwym postępem w dziedzinie tolerancji i wielostronności poglądów. — W istocie byłby to wniosek najbardziej błędny, wyciągnięty z mylących pozorów. Gdyż jest

raczej świadectwem kolektywnej jednostronności dziś panującej, a której wyraz obserwować możemy m. in. w „otwarcu na lewo”, nawet włoskiej chrześcijańskiej demokracji.

*

Już proces norymberski, mający stanowić trybunał sprawiedliwości światowej, zaskoczył swą jednostronnością, a w rezultacie nie tyle treścią ujawnionych zbrodni hitlerowskich, co niebywałym podeptaniem poczucia obiektywnej moralności. Przedstawiciele Związku Radzieckiego, którzy winni byli podlegać dosłownie każdemu z punktów oskarżenia, nie zasiedli na ławie oskarżonych. Przeciwnie: zasiedli na fotelach sędziów! W konkretnym fakcie oskarżali kogoś innego o zbrodnię przez nich samych popełnioną. I cały skład sądu wiedział oczywiście, że tak jest, bo inaczej nie wycofałby dyskretnie sprawy Katynia. I oto doszło do tego, że już samo tylko nie-obarczenie Niemców zbrodnią sowiecką, a schowanie jej pod zielone sukno, uznane zostało za przejaw sprawiedliwości, bezstronności międzynarodowej... Cokolwiek byśmy o tym procesie mówili, rzuca się w oczy, że od początku do końca prowadzony był w sposób, który w minionych czasach nazywał się: nie-fair. O żadnej też obiektywności nie mogło być mowy, gdyż z góry odrzucone zostało wszelkie kryterium porównawcze.

To był zły początek okresu powojennego. Między innymi jemu to zawdzięczać należy powstanie pewnej charakterystycznej, a do dziś prawie obowiązującej formuły ubocznej: Można być ofiarą „stalinizmu”, ale nie wypada być otwartym wrogiem komunizmu. — Formuła ta dopasowana została do nowego Calendarium i przetrwała nawet późniejszy okres „zimnej wojny”.

W ten sposób cała wiedza o przeszłości komunizmu uległa niejako urzędowemu zapomnieniu. W szczytowym okresie zimnej wojny można było porównać Stalina do Hitlera, ale nigdy odwrotnie. Gdyby się, bowiem powiedziało, że Stalin zawsze był gorszy od Hitlera, wywracałoby się zarówno świętych jak diabłów nowego Calendarium, a sens ostatniej

wojny i powojennego szematu, odwrócony by został do góry nogami. Stąd dopuszczalne jest wytykać Stalinowi, że zawarł układ z Hitlerem, ale nie do pomyślenia zarzucać Hitlerowi, że zawarł układ ze Stalinem; dopuszczalne jest zestawianie sowieckich łagrów z hitlerowskimi kacetami, niedopuszczalne wszakże zestawienie odwrotne. Tymczasem chronologia historyczna mówi, co innego. Dekret o ustanowieniu „obozów pracy przymusowej” w Sowietach podpisany został przez przewodniczącego Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego (WCIK), M. J. Kalinina 15 kwietnia 1919 roku — (Sobr. Uzakon. 1919 g. Nr 12, str. 124), 17 maja tegoż 1919 roku, dekret ten na mocy uchwały WCIK-u, za podpisem W. Awanesowa, rozszerzony i opracowany w szczegółach, przydał organizacjom tych obozów klasyczny typ, skopiowany później przez Hitlera. Tegoż 1919 roku, tzn. w czasie, gdy Hitler był jeszcze nikomu nieznanym włóczęgą, powstało na terenie Sowietów 97 obozów koncentracyjnych. — W ten sam sposób przedstawione zostały inne fakty historyczne. Umożliwiło to w praktyce traktowanie wszelkiego ruchu antykomunistycznego z przed roku 1941, za coś podejrzanie „reakcyjnego”, a w okresie pomiędzy 1941—1945 za „zdradę ojczyzny”. Tak, jakby rzeczywistość bolszewicka pomiędzy 1917 i 1945 nie istniała, a świat zapoznał się z rzeczywistością komunistyczną dopiero z początkiem konfliktu „Wschód-Zachód” po drugiej wojnie światowej. Przyczyną tej zbiorowej mistyfikacji jest m.in. konieczność moralnego usprawiedliwienia sojuszu z międzynarodowym komunizmem podczas wojny. Bez tego usprawiedliwienia ideowa wykładnia wojny z Hitlerem nie była by możliwa, albo co najmniej utrudniona.

Na tle deformacji prawdy historycznej powstało szereg legend, które się dziś utrwały. Do nich należy przede wszystkim legenda, jakoby rewolucja bolszewicka w Rosji była w każdym razie („mimo wszystko”) postępem, w zestawieniu z reakcyjnym ustrojem carskim. Legenda o rzekomym „stalinizmie” w przeciwstawieniu „lepszemu” (lub zgoła „dobremu”) „leninizmowi”. Legenda o faszyzmie hitlerowskim jako „czarnej reakcji”.

Ta ostatnia zwłaszcza nie podlega żadnej dyskusji. Tymczasem wiadomo, że przywódcy hitlerowscy, mimo stosowanej przez nich taktyki w dojściu do władzy, nienawidzili w głębi duszy bardziej konserwatystów niż bolszewików. Goebbels był jakiś czas nawet entuzjastą metod bolszewickich. Himmler mówił w roku 1937 do wysokiego komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, C. J. Burckhardta:

„Zwiedziłem właśnie obozy koncentracyjne w Austrii. Zawierają Żydów i arystokratów; jedni są za brzydcy i za ruchliwi, drudzy za piękni i za nieudolni.”

A Hitler w roku 1939:

„Niech Pan nie zapomina, że jako proletariusz, nie mogę, zawdzięczając memu pochodzeniu, memu wyniesieniu i memu sposobowi myślenia, patrzeć na rzeczy tak jak Pan.” — (Carl J. Burckhardt — „Meine Danziger Mission”).

Hitleryzm oparł się na systemie i terrorze typu niewątpliwie socjalistycznego, jakkolwiek w odróżnieniu od bolszewizmu, niemarksistowskiego. Także spisek antyhitlerowski w Niemczech, miał niewątpliwie cechy klasycznej kontrrewolucji z prawa, jakkolwiek ze względu na obowiązujący dziś nastrój usiłuje mu się nadać ze strony niemieckiej charakter „demokratyczny”. Wśród 158 osób spisku, powieszonych, zamordowanych lub ratujących się przed torturami samobójstwem, znalazło się hrabiów i baronów — 25, szlachty rodowej z przydomkiem „von” — 31; razem 56, czyli ponad trzecia część ogólnej liczby straconych.

Przefasonowanie prawdy historycznej stało się konieczne jednak i z tego względu, gdyż w przeciwnym wypadku nie tylko granica pomiędzy zbrodniami hitlerowskimi i komunistycznymi mogłaby ulec zasadniczemu przesunięciu, ale nawet granica pomiędzy zbrodniami hitlerowskimi i mocarstw zachodnich, uległaby niejakiemu zatarciu. Tak np. zbombardowanie Hiroszimy, gdzie zginęło 60 tysięcy cywilnej ludności,

zbombardowanie Drezna, gdzie zginęło ponad 200 tysięcy (wg innych źródeł ok. 400 tyś.) cywilnej ludności, masowe wydawania ludzi po wojnie w ręce sowieckich katów, etc. podpadać by mogło pod moralny i prawny paragraf „ludobójstwa”, za co właśnie wieszano ludzi skazanych w Norymberdze.

Polityka Zachodu podczas wojny kierowała się względami narzuconymi jej przez sojusz z Sowietami; polityka Zachodu po wojnie kieruje się względami narzuconymi jej przez chęć pokojowej koegzystencji z Sowietami. Dysproporcja zachodząca pomiędzy traktowaniem zbrodni hitlerowskich, a zbrodni komunistycznych, nie ma podłoża moralnego, ale wyłącznie polityczne. Wynika z różnicy stosunku do zbrodniarza, którego się zniszczyło, a do zbrodniarza, z którym się chce współżyć, aż do „wymiany kulturalnej” włącznie. Czyli jest rezultatem tzw. „realnej polityki”. Niestety, każda polityka, jeżeli uważać ją za sztukę przewidywania lub wpływania na historyczny rozwój w przyszłości, opierać się musi na znajomości przeszłości. Falszując tę przeszłość, zastępując fakty historyczne faktami zmyślonymi, lubo przystosowując rzeczywistość do bieżącego „wishful-thinking”, może stać się polityką najbardziej nierealną.

*

Narzekania na rozpiętość podwójnej moralności jest rzeczą dosyć bezpłodną. Podwójna moralność istniała zawsze na świecie. W życiu jednostek i w życiu zbiorowisk ludzkich. W tej chwili chodzi nam tylko o stwierdzenie obiektywnego stanu faktycznego, że po-norymberska norma moralno-prawna, mimo wszystkie wstrząsy ostatnich lat 17-tu, wciąż dominuje we współczesnym sposobie kolektywnego myślenia.

W Izraelu powieszono Eichmanna, skazanego za wymordowanie, współdziałanie w wymordowaniu 6 milionów Żydów. Do powszechnego rozgłosu wokół tego procesu, włączyły się w pierwszym rzędzie państwa komunistyczne. Eichmann bronił się w ten sposób, że był tylko wykonawcą rozkazów, podrzędnym ogniwem totalnego aparatu. I oto w

komunistycznym organie warszawskim, „Polityka” (17. 6.1961) czytamy na ten temat, co następuje:

„Ten fragment wyznań, Eichmanna jest najbardziej przerażający... Ujawnia, bowiem psychologiczny mechanizm zbrodni — reprezentuje eichmanowski sposób myślenia... Wszystko, co służy narodowi niemieckiemu jest dobre i pożyteczne...!”

Wykrzykniki mają wykazać głęboko moralne oburzenie autora-komunisty. Tymczasem wystarczy zajrzeć do: „Politiczeskij Słowar” (Moskwa, Państw. Wyd. Lit. Polit, 1958), aby przeczytać na str. 362::

MORALNOŚĆ — Przeciwwstawieniem moralności burżuazyjnej stanowi moralność komunistyczna. Z punktu widzenia moralności komunistycznej, moralne jest wszystko to, co służy i przyczynia się do zwycięstwa i umocnienia nowego komunistycznego społeczeństwa...”

A więc zastępując słowa: „narodowi niemieckiemu”, słowami: „komunizmowi”, otrzymamy następujące zdanie: „Wszystko, co służy komunizmowi, jest dobre i pożyteczne”... Czyli formułę analogiczną. Wiemy, że w przeciągu ponad czterdziestu lat odbywał się w Sowietach proces eksterminacji milionów ludzi, a liczba stale zamkniętych w sowieckich obozach koncentracyjnych wahała się przeciętnie od 10 do 20 milionów ludzi. Wiemy też, że w ustroju komunistycznym nie może mieć miejsca przejaw jakiegokolwiek nieposłuszeństwa; nie ma opozycji, nie ma veta, nie ma sprzeciwu, nie ma strajków, nie ma innego zdania. Ślepe posłuszeństwo w służbie komunizmu było i jest bardziej totalne, bardziej bezapelacyjne i usankcjonowane urzędową moralnością, niż kiedykolwiek w jakiegokolwiek służbie, jakiegokolwiek innego ustroju.

Ale jednocześnie cały świat z okazji procesu Eichmanna, zajął się ponownie rozpamiętywaniem zbrodni hitlerowskich, słowem nie wspominając o zbrodniach komunistycznych. Akademia zorganizowana w Domu Żołnierza w New Yorku, w

dniu 12 marca 1961 roku ku czci ofiar Katynia, zgromadziła zaledwie 65 Polaków...

Eichmannowi zarzucono, że winien jest unicestwienia 6 milionów Żydów. Źródła ukraińskie twierdzą, że w okresie „czystki” i „rozkułaczania wsi”, wymordowano na Ukrainie 3 do 6 milionów chłopów. Niektórzy tę cyfrę podnoszą do 7 milionów. Inni mówią tylko o 2 milionach. Prawdopodobnie cyfry te są przesadzone. Być może i liczba 6 milionów Żydów jest przesadzona. Ale nie chodzi chyba tylko o stronę ilościową. Niech będzie 6 milionów Żydów i „tylko” 1 milion chłopów. Sedno sprawy nie ulegnie wskutek tego zmianie. Tak samo jak nie ulegnie zmianie fakt, że stopień odpowiedzialności Nikity Chruszczowa, ówczesnego sekretarza partii na Ukrainie, za eksterminację kułaków albo morderstwa na Węgrzech, jest personalnie większy niż Eichmanna za eksterminację Żydów. Eichmann nie należał do wodzów partii hitlerowskiej i nie ogłaszał płomiennych wezwań do morderstw w „Volkischer Beobachter”. Natomiast Chruszczow pisał w „Prawdzie” moskiewskiej z dnia 31 stycznia 1937 roku, na temat opozycji partyjnej, co następuje:

„Padliną śmierdzi od plugawych i obmierzłych wyrodków. Ci mordercy celowali w serce i mózg naszej partii. Oni podnosili rękę na towarzysza Stalina... Podnosząc rękę na towarzysza Stalina, podnosili ją oni na wszystko to, co człowieczeństwo posiada najlepszego, gdyż Stalin — to nadzieja i upragnienie, to latarnia morska całej przodującej i postępowej ludzkości! Stalin — to nasze zwycięstwo. Podli bandyci ponieśli zasłużoną karę... Gad rozdeptany został w Związku Sowieckim.”

A eksterminację na Ukrainie, gloryfikował w ten sposób („Wisti Centralnoho Wykonawczoho Komitetu USSR” nr 144, z dnia 25 czerwca 1938 r.):

„Dziś, gdyśmy zdemaskowali machinacje... burżuazyjnych nacjonalistów ukraińskich... tych kanalii etc. wiemy dobrze, że Ty, Nasz Stalinie, położyłeś najwięcej zasług dla zdemaskowania tych kanalii. My dziękujemy i pozdrawiamy

Ciebie Wielki Stalinie, oraz Twego najlepszego ucznia
Mikołaja Iwanowicza Jeżowa! Was, którzyście zniszczyli to
robactwo."

„Padlina, gad, kanalie, robactwo" etc. są to wyrazy chyba nie mniej dosadne, niż stosowane przez hitlerowców wobec Żydów. Narzuca się, przeto pytanie: Gdzie, w jakiej księdze praw Bożych czy ludzkich powiedziane jest, że prześladowanie za rasę, czy narodowość, jest większym przestępstwem niż prześladowanie za pochodzenie społeczne, wyznanie religijne, lub światopoglądowe? Dlaczego mordowanie ludzi tylko, dlatego, że są Żydami, ma być czymś gorszym od mordowania ludzi tylko, dlatego, że osiągnęli pewien stan majątkowy, lub hołdują innym ideałom? Tymczasem Eichmann porwany został podstępnie, z pogwałceniem praw obowiązujących cały świat cywilizowany, na oczach całego świata i bez protestu ze strony jakiejkolwiek organizacji „obrony praw człowieka", powieszony, — podczas gdy Chruszczow na oczach tejże cywilizowanej ludzkości, obwieszany jest wieńcami w Indiach, jak święta krowa, kładziony spać do łóża po-królewskiego we Francji, a jego zdrowie jest tak cenione, że tych emigrantów, których nie zdążył wymordować, deportuje się na wyspy, aby czasem wrogą manifestacją nie zepsuli mu apetytu. I pierwsi mężowie stanu wolnego świata, ściskają mu serdecznie rękę, wznoszą kielichy na bankietach, życząc mu długich lat życia.

Naturalnie dzieje się tak nie, dlatego, że cały świat kocha Żydów, a nie kocha np. chłopów ukraińskich. A dlatego, że ulega naciskowi psychicznemu nie tylko obowiązujących formuł spuścizny po-wojennej, nie tylko naciskowi „realnej polityki" i propagandy, ale też dominującym sferom intelektualnym, wytwarzającym pewien prąd, kierunek myślowy, aurę niesprzyjającą ludzkiemu indywidualizmowi, a przez to krępującą swobodę porównań.

*

Scharakteryzowanie panującej obecnie aury, wymyka się definicjom, które kiedyś znajdowały swój wyraz w banalnych

uproszczeniach a la: „Żydo-komuna”, „Fołksfront” itp. Niektórzy mówią o: „dyktaturze intelektualnej lewicy”. Nie jest to wszakże określenie ścisłe, odkąd pierwotne pojęcie „lewicy” i „prawicy” znacznie się zatarły, nie stanowią dawnego rozgraniczenia, a ponadto ulegają dowolnej interpretacji. Tak np. system panujący w Izraelu, albo reformy socjalne Nassera w Egipcie, mają dużo pokrewnego z faszyzmem, choć potraktowano by za obrazę je tak nazywać.

Czasem wydaje się, że arystokrację intelektualną, sprawującą dziś tzw. „rząd dusz”, porównać by można do sprzysiężenia pewnego rodzaju snobów, traktujących przekroczenie niektórych granic światopoglądowych za równie niedopuszczalne, jak niedopuszczalne było kiedyś w sferach ekskluzywnych przekraczanie ściśle przestrzeganych form towarzyskich. „Antykomunizm” budzi w nich podobny odruch niesmaku, jak jedzenie ryby nożem wśród dobrze ułożonych biesiadników.

Gdyby powiedzieć, że typowym reprezentantem tego obozu, są odgórnie popierane przez odnośne czynniki amerykańskiego departamentu stanu takie instytucje jak „Kongres Kultury”, takie pisma jak angielski „Ecounter”, francuskie „Preuves”, „Esprit”, rosyjski „Socjalistyczeskij Wiestnik”, polska „Kultura”, niemiecki „Der Monat” i rozmaite „Kontakte”, „Brucke”, „Begegnung” i t. p. analogiczne organy we Włoszech, Hiszpanii po Japonię, — to by się rzecz przesadnie zawężyło. Nie ułatwi i rozszerzenie na paryski „Express”, włoską partię Nenniego, czy angielską Labour Party. Byłoby też niesprawiedliwym uproszczeniem pogląd, że znamioną sztancą tego obozu jest stanowisko, iż nie człowiek ma prawo zabierać głos, a wyłącznie antyfaszysta.

W istocie obóz ten reprezentowany jest przez niezliczone szeregi dzisiejszych „postępowców”, bardzo różnych odcieni. Są naturalnie wszyscy demokratami, ale kto dziś nim nie jest! Nie to, więc jest cechą wspólną, jeżeli chodzi o stosunek do teraźniejszości. Natomiast pewnej wspólnej, a charakterystycznej więzi, dopatrzyć by się można w stosunku

do przeszłości. Mianowicie w jakimś stopniu, ale pozytywnej oceny rewolucji bolszewickiej w Rosji, z roku 1917.

W latach trzydziestych zarysował się wyraźny trzon we wspólnym froncie antyfaszystowskim, podczas wojny domowej w Hiszpanii. Widzimy go na stanowisku antyfrankistowskim, w niewątpliwym połączeniu z pro komunizmem, w pewnym stopniu z pro sowietyzmem. Przykładowym typem tego okresu jest nie-komunista Hemingway: „Jeżeli tu zwyciężymy, zwyciężymy wszędzie!...” ("For Whom the Bell tolls", wydany zresztą w książce dopiero w r. 1940). Wszakże rozczarowania lat następnych, a zwłaszcza sojusz hitlerowsko-sowiecki z sierpnia 1939 roku, narzucił konieczność pewnej rewizji dotychczasowego stanowiska. Dokonano jej przez znalezienie szczęśliwej formuły, która nie narażając ani na utratę twarzy, ani ciągłości ideologicznej, ani tradycji pro rewolucyjnej, pozwalała wybrnąć z położenia. Tą magiczną formułą stał się: „antystalinizm", w odróżnieniu od „reakcyjnego" antykomunizmu. Wprawdzie w okresie drugiej wojny światowej wypadło go schować do szuflady, tym większego wszakże nabrał znaczenia po wojnie, a z początkiem „wojny zimnej". Od tej chwili bohaterem dnia staje się były komunista, przez Stalina rozczarowany. Moda i zapotrzebowanie na ludzi typu Koestlera, okazała się tak duża, iż znaleźli się tacy, którzy nic poprzednio ani z komunizmem, ani nawet socjalizmem nie mając wspólnego, poczęli się pod byłych komunistów podszywać.

Klajstrem zewnętrznym pozostał nadal „antyfaszyzm" i anty-wszelka-reakcja; ironiczny, choć nie pozbawiony pobłażliwego wzruszenia ramion, stosunek do minionej, monarchicznej, liberalnej, dziewiętnastowiecznej, przedrewolucyjnej epoki, i do wszystkiego, co było z nią związane. A więc i do indywidualizmu tej epoki.

To wszystko jednak są widome znaki tego, co nazwaliśmy dominującym dziś obozem intelektualnym. Bardziej charakterystyczne są może jego oznaki ukryte.

La dolce vita współczesnego „Asfalt intelektualizmu”, nie pozbawione jest wszakże kolców. Stanowią je pytania zasadnicze:

1.— Czy ludzie przed rewolucją żyli w Rosji lepiej, czy gorzej niż po rewolucji? — Ponieważ wszystko wskazuje, że żyli lepiej, więc postanowiono nie zgłębiać kłopotliwego pytania.

2. — Czy leninowski pierwowzór bolszewickiej rewolucji, jest czy nie jest bardziej zbliżony do faszyzmu niż do liberalnych „reakcji” epoki przedrewolucyjnej? — Ponieważ wszystko wskazuje, że pomiędzy komunizmem i faszyzmem zachodzi większe pokrewieństwo, niż pomiędzy faszyzmem a „reakcją” dawnego typu, więc postanowiono nie zgłębiać kłopotliwego pytania.

3. — Czy w „stalinizmie” można doszukać się organicznych różnic od klasycznego „leninizmu”? — Ponieważ wszystko wskazuje, że organicznych różnic doszukać się niepodobna, a jedynie różnice metod, więc postanowiono nie zgłębiać kłopotliwego pytania.

Są to pytania przykładowe. Może nie najlepiej dobrane. Ale notoryczne uchylanie się od jasnych odpowiedzi, wyrzucanie porównań poza nawias rozprawy filozoficznej, stwarza właśnie ten stan nieszczerości wewnętrznej, który w znacznym stopniu cechuje dzisiejszy kolektywizm intelektualny. Jeżeli np. Albert Camus[^] laureat Nobla, napisze w swym:

„L'homme et la révolte”:

„Żyjemy w czasach premedytacji i doskonałej zbrodni. Nasi zbrodniarze... mają filozofię, która może służyć do wszystkiego, i morderców nawet zamienia w sędziów”...

— to zdawałoby się, że na poparcie tego twierdzenia, autor przytoczy najbardziej klasyczny ze wszystkich przykładów, jaki zdarzył się w tej dziedzinie, gdy sowieccy mordercy z Katynia zasiadając na fotelach sędziów, oskarżyli o to Niemców. Ale Camus omija tego rodzaju przykłady i nawraca do „Apokalipsy hitlerowskiej”... etc., czyli do prawomyślnej dla jego

środowiska formuły. Otóż zdaje się czasem, że tego rodzaju niedomówienia wytwarzają ten stopień nieszczerości, która zaczyna budzić już wątpliwość nawet w samą szczerść potępienia zbrodni. Albowiem zachodzi jakby odwrócenie kolejności, czyli nie wina Hitlera wynika z tego, że popełniał on zbrodnie, lecz zbrodnia wynika z tego, że popełniał ją Hitler...

Tego rodzaju odwrócenie rzeczy do góry nogami obserwujemy m.in. w sposobie traktowania problematyki współczesnej. Przy ciągłym potępieniu nacjonal-socjalizmu hitlerowskiego, popiera się jednocześnie nacjonal-komunizm, mimo iż jego granica z hitleryzmem zaciera się nieraz tak dalece, że dzieli ją chyba tylko brak przymusowego antysemityzmu. Nikt też nie zadaje pytania, dlaczego jeżeli totalitarny komunizm jest rzeczą ujemną i nacjonalizm też ujemną, to połączenie tych dwóch ujemnych w jeden nacjonal-komunizm, ma dać w wyniku rzecz dodatnią?

*

W tak zwanych „starych dobrych czasach” Rosja uchodziła za kraj szczytowego wsteczniectwa i reakcji. Stamtąd pochodził rozpowszechniony termin: „prawomyślny” („błagonadiożnyj”) w odróżnieniu od „nieprawomyślnego” człowieka, tj. buntującego się przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. W tych to czasach, szef osobistej „ochrony” cesarza Mikołaja II, generał żandarmerii Spiridowicz, opracował książkę p. t. „Partia socjal-rewolucyjna i jej poprzednicy”, i egzemplarz tej książki

przesłał uprzejmie słynnemu rewolucjonście, Władimirowi Burcew. Burcew podziękował mu, odpisując:

„Pański stosunek do problemu ruchu rewolucyjno-wyzwoleńczego jest tego rodzaju, że stwarza możliwość sporu. A tam, gdzie możliwy jest spór, tam zawsze jest nadzieja na odszukanie prawdy.”

Były to czasy szeroko otwartego wachlarza dyskusji. Dziś dominują czasy wachlarza zamkniętego. Nie dyskutuje się z

tymi, którzy nie należą do towarzystwa prawomyślnego. Paradoksalnym zbiegiem okoliczności, do towarzystwa tego przyjmowani są jednak sympatycy ustroju, który wszelką dyskusję uważa za przestępstwo.

*

Powyższy szkic jest próbą nakreślenia pewnego szematu, przy pomocy dowolnie dobranych przykładów. Naturalnie wyjątków potwierdzających regułę, jest mnogość wielka. Dyktatura kolektywnej myśli w wolnym świecie nie może stać się ani kompletną, ani w tym stopniu groźną dla zniszczenia myśli suwerennej, już chociażby przez samą fizyczną mnogość zamieszkujących wolne kraje ludzi, kraje gwarantujące wolność jednostce ludzkiej. Suwerennością myśli nazywam stan, w którym myśl ludzka nie ulega ślepo i nie daje się bezapelacyjnie powodować i kształtować z góry narzuconym dogmatom. Jeżeli bowiem jednym ze sprawdzianów suwerenności państwowej jest nieograniczone prawo wyboru własnych sojuszników, to sprawdzianem suwerenności myśli winno być nieograniczone prawo w wyborze własnych poglądów.

Polska nie znajduje się wśród wolnych narodów, a w więzieniu systemu komunistycznego. Korzystać z wolności myśli może jedynie emigracja, garstka w porównaniu ilościowym do całości narodu. Ta garstka musi siłą rzeczy ulegać w jakimś stopniu naciskowi otaczającej ją atmosfery. Dlatego bez uwzględnienia tej atmosfery którąśmy powyżej naszkicowali, krytyka li tylko polskiego stanowiska, musiałaby wypaść jednostronnie, a nawet niesprawiedliwie. Z drugiej jednak strony nie dostrzegamy w emigracji polskiej wysiłku wyzwolenia się spod ucisku kolektywnego sposobu myślenia, a raczej przeciwnie, całkowite niemal jemu podporządkowanie. I tak na przykład, miast komunistycznej „myśli w obcęgach” w kraju przeciwstawiać uratowaną na emigracji wolną myśl ludzką, — przeciwstawia się jej produkt myślowy, jeżeli nie równie, to w każdym razie możliwie zawężony, w postaci: POLREALIZMU.

Pomiędzy komunistycznym „socrealizmem”, a nacjonalistycznym „polrealizmem” istnieje bliskie pokrewieństwo. Obydwa odrzucają indywidualną ocenę spraw, na rzecz oceny kolektywnej. Socrealizm poucza, że to jest tylko realne i słuszne, co służy interesom socjalistycznej (komunistycznej) partii; polrealizm poucza, że to jest tylko realne i słuszne, co służy interesom polskiego narodu. Na tym jednak to bliskie pokrewieństwo się kończy. Gdyż socrealizm rozciąga swą akcję na wszystkie narody świata, podczas gdy polrealizm przeciwstawia mu akcję jednego tylko narodu. O ile nie ma wątpliwości, co do tego, kto kieruje i ustanawia wytyczne socrealizmu, o tyle nie ma nigdy pewności, kto właściwie rozstrzyga o wytycznych polrealizmu, a tym samym o słuszności lub niesłuszności interesów narodowych i każdorazowych postulatów, podnoszonych nieraz do rangi świętych dogmatów.

Jest rzeczą naturalną, że w zestawieniu z sytuacją pod rządami komunistycznymi, na emigracji słusznie mówi się o wolności słowa. Jeżeli chodzi jednak o wolność jego wyrazu, to nie zawsze jest on w praktyce dostępny dla wyrażania poglądów sprzecznych z obowiązującym polrealizmem — we wszystkich rzeczach istotnie ważnych, w sprawach naprawdę zasadniczych. Nie podjąłbym się tu jednym tchem wyliczyć tych ważnych problemów, które zgodnie z postanowieniem polrealizmu, nie podlegają krytyce, lecz — jednomyślności.

Stan jednomyślności w sprawach zasadniczych, czy jeżeli kto woli: ilość spraw narodowych nie podlegających dyskusji, która nas wyróżnia od innych społeczeństw wolnego świata, nawet w obecnej atmosferze kolektywnego ich sposobu myślenia, — datuje się nie od dziś. Tradycyjnie narzekamy na polskie „warcholstwo” i „polską niezgodę”. W rzeczywistości, w porównaniu do innych narodów, staliśmy się nie od wczoraj jednym z najbardziej zdyscyplinowanych narodów na świecie. Jest to niewątpliwy skutek wiekowej niewoli i narzuconej przez to jednokierunkowości myśli politycznej. Rzeczy te są zbyt znane, aby je tu omawiać. Nie wchodząc tedy w bliższą ocenę dyscypliny narodowej, wypadnie jednak stwierdzić

obiektywnie, że już w okresie zaborów, zwłaszcza zaś pod wpływem przypadającego w tym czasie rozrostu idei nacjonalistycznych, nastąpiło w Polsce znaczne „odhumanizowanie” myśli narodowej na rzecz jej „upolitycznienia”. Miejsce „człowieka”, coraz bardziej zaczął wypełniać „Polak”. Proces ten uplastyczniał nam może zestawienie literatury polskiej z literaturą rosyjską XIX wieku. Podczas gdy w literaturze rosyjskiej bohaterem głównym był człowiek, w literaturze polskiej wydawał się być nieraz tylko pretekstem, za którym ukrywał się istotny bohater — Polska. Stąd wielka literatura rosyjska cieszyła się dużym wzięciem w całym świecie, gdyż człowiek — interesuje każdego innego człowieka. Podczas gdy polska literatura, mimo talentów pisarskich, takiego wzięcia nie miała, gdyż Polska — interesowała tylko znikomą ilość ludzi na świecie.

Oczywiście, w atmosferze wielkich ruchów humanistycznych XIX wieku i myśl polska odznaczała się w tym okresie jeszcze stosunkowo szerokim wachlarzem w zestawieniu ze stanem, do jakiego doszła w dobie totalitaryzmów XX wieku. Szczytowy punkt kolektywnej jednomyślności osiągnięty został w czasie i po drugiej wojnie światowej. I trwa do dziś dnia, mimo mylących czasem pozorów, wywołanych różnicami raczej taktycznej, a często tylko personalnej natury, i mimo podziału na kraj i emigrację.

W czasie wojny rozbudowany został jednostronny totalizm polrealistyczny nieomal do stanu ekstazy. Nie pomógł on w niczym do odzyskania suwerenności państwowej po wojnie. A przyczynił się znacznie do zdegradowania suwerenności myśli.

To skarłowacenie prawie do wewnętrznej dyscypliny jednego stronnictwa, wydaje się, dlatego szczególnie fatalne, gdyż następuje właśnie w chwili, gdy czarna chmura niosąca zniszczenie wolności ducha ludzkiego, objęła już pół nieba nad światem.

Polska nie leży już pomiędzy Niemcami i Rosją

Czy istnieje jeszcze Rosja?

Koncepcja dzisiejszego POLREALIZMU opiera się na dwóch fundamentalnych tezach: 1. Państwo polskie w dalszym ciągu istnieje, mimo że opanowane jest przez „reżym” komunistyczny. 2. Polska w dalszym ciągu położona jest pomiędzy Rosją i Niemcami.

Naszym zdaniem obydwie tezy są błędne i pochodzą od pierwotnego nierozpoznania istoty rewolucji bolszewickiej 1917 roku. Całość koncepcji wychodzi z założenia, że Związek Radziecki, a dziś centrala tzw. „Światowego systemu socjalistycznego (komunistycznego)” jest w substancji swej dawną Rosją. Ponieważ jednocześnie wielu innym czynnikom w wolnym świecie — jakkolwiek z rozmaitych względów — także zależy na utrzymaniu definicji: „Rosja”, przeto polrealizm nie tylko włącza się do akceptowanej powszechnie, mylącej

percepcji politycznej, ale przyczynia się do jej pogłębienia, a tym samym do podtrzymania kapitalnej dezinformacji. Dezinformacji na temat, co to jest Rosja, co to jest w ogóle tzw. „wschód europejski”.

Opinie. — Nie obniżając, w niczem zasług wielu uczonych, polityków, pisarzy, ma się czasami wrażenie, że gdyby o Wschodzie europejskim napisano nieco mniej, może byśmy go znali lepiej. Zdarza się często, że specjaliści, nawet w dziedzinie nauk ścisłych, ulegają często skłonności do zbyt pochopnej diagnozy. Ta skłonność, z punktu widzenia ludzkiego zrozumiała, znajduje tym szersze pole w dziedzinach mniej konkretnie określonych. Do nich należy właśnie „europejski wschód”. Znanie jest przysłowie o drzewach, które zasłaniają widok lasu. Otóż dziedzina europejskiego wschodu jest tak obszerna, że z natury rzeczy dostarcza niezliczonej ilości drzew, które wcale skutecznie potrafią zasłaniać widok lasu.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych zasłon tego typu jest teoria, że bolszewizm stanowi rzekomo historyczną konsekwencję dawnej Rosji. Że jest wytworem typowo wschodnim, skoro sama Rosja była zawsze wytworem Wschodu. Teoria ta po prostu nie uwzględnia faktów tak prostych jak ten np., że Rosja przedrewolucyjna, państwo (ustawowo nawet!) związane z wiarą w Boga, oparte na moralności chrześcijańskiej, własności prywatnej, wolnej konkurencji, kapitalistycznej strukturze gospodarczej, indywidualności ludzkiej itd. — bardziej zbliżone było, powiedzmy, do Portugalii położonej na zachodnim cyplu Europy zachodniej niż do dzisiejszego państwa Sowietów, jeżeli już o porównania chodzi. Nie można naturalnie zaprzeczać specyficznym różnicom geograficznym, klimatycznym, etnicznym, obyczajowym, historyczno-rozwojowym i mnogim innym. W sumie jednak nie tworzyły one różnic organicznych większych od tych, jakie normalnie zachodzą pomiędzy tym czy innym krajem zachodnioeuropejskim. Życie w Petersburgu czy Moskwie bardziej podobne było do życia w Londynie, niż życie w Londynie do życia na Sycylii. W rzeczywistości nie istniała ta,

podniesiona nieomal do mitycznej potęgi linia podziału na Wschód i Zachód europejski, którą się zwykło przeciągać.

Spór teologiczny. — Mimo to ta linia podziału jest bardzo stara. Zrodziła się ze sporu między Kościołami zachodnim i wschodnim, między katolicyzmem i prawosławiem. Spór czysto teologiczny. To, co się obecnie zwie kulturą zachodnią jest spuścizną kultury łacińskiej, krótko: katolickiej. Propaganda nie jest wynalazkiem ostatnich czasów. Propaganda była zawsze. Klasycznym jej pierwowzorem była propaganda kościelna. Na Zachodzie całe pokolenia pozostawały pod wpływem propagandy katolickiej, która przez długie wieki formowała poglądy. Dziś jeszcze przeciętny Europejczyk, gdy mu się zaproponuje by w trzech słowach sformułował historię Europy, odpowie: Rzym — średniowiecze — odrodzenie. Prawie nie ma miejsca w jego pamięci na dzieje 1000-letniego cesarstwa bizantyjskiego. W istocie zaś Bizancjum było długowiecznym ośrodkiem kultury europejskiej i to wtedy właśnie, gdy zachodnia jej część tonęła w tzw. mrokach średniowiecza. Stało się jednak tak, że propaganda łacińska w jej sporze z prawosławiem nie tylko postarała się o zapomnienie tej historycznej roli, ale przeistoczyła ją nawet w pojęcie ujemne. Co oznacza określenie: „bizantyjski”, wiemy wszyscy. Natomiast nie wszyscy zdają sobie sprawę, że ów „mot d'ordre” miał wtenczas identyczne znaczenie, co w dobie nacjonalizmów hasła służące do rozbudzenia — rzekomo historycznych — niechęci między narodami. Tak, więc cokolwiek było złego w Bizancjum, piętnowano jako „bizantyjskie”, czyli wschodnie. Natomiast takie same zło na Zachodzie pozbawione było stałego epitetu i uchodziło za objaw przejściowy, niejako chwilowego pobłędzenia.

W istocie nie było zasadniczej różnicy jakościowej, ani w dodatnich, ani ujemnych objawach Wschodu i Zachodu europejskiego. Mordowano i wyłupiano oczy tu i tam. Objawy barbarzyństwa musiały być wszędzie analogiczne, jeżeli nie identyczne. Gdy się dziś często we Włoszech ogląda zabytki sztuki bizantyjskiej, częściowo pozamazywane lub poniszczone tylko, dlatego że nie były łacińskie, trudno się oprzeć wrażeniu,

że takie postępowanie poczytano by za typowo „bizantyjskie”, gdyby właśnie nie było rzymskie. Podobnie wiele okropności, wojen, prześladowań religijnych, a już na pewno procedurę Św. Inkwizycji, zaliczono by do kategorii typowo wschodnich, gdyby nie były zachodnimi.

Terytorialną granicę podziału, zbliżoną zresztą do obecnej, charakteryzowała nazwa „przedmurza chrześcijaństwa”. W istocie jednak przedmurze to nie leżało na granicy chrześcijaństwa, a jedynie na rubieżach Kościoła katolickiego. Kawalerowie Mieczowi największą swą bitwę stoczyli na jeziorze Pejpus w r. 1242 nie z poganami, lecz z Aleksandrem Newskim, późniejszym świętym Kościoła wschodniego. Pod datą r. 1386 występuje w historii Polski chrzest Litwy. W istocie jednak Wielkie Księstwo Litewskie wykazywało w tym czasie znikomą ilość pogan, a olbrzymia większość mieszkańców dawno już przyjęła chrześcijaństwo pod postacią religii prawosławnej. Najstarsze świątynie w Wilnie i Grodnie należą właśnie do tego obrządku. Mianem, więc chrztu ochrzczono właściwie tylko intronizację Kościoła katolickiego na Litwie.

I odwrotnie:, gdy 29 maja 1453 r. padała pod naporem niewiernych stolica 1000-letniego cesarstwa chrześcijańskiego na Wschodzie, Zachód łaciński nie udzielił jej żadnej pomocy, z wyjątkiem floty weneckiej, a i ta nie przybyła do Konstantynopola wskutek niepomyślnych wiatrów.

Dwie miary. — Z tej tradycyjnej, wzajemnej zresztą niechęci dwóch Kościołów bierze swój początek owa podwójna miara w ocenie tzw. Wschodu i Zachodu europejskiego, która przetrwała do naszych czasów. Pamiętam jak w okresie przedrewolucyjnym niemetryczny system w Rosji traktowano jako typowe zacofanie. Analogiczny system w Anglii, nb. panujący do dziś dnia, ma świadczyć tylko o przywiązaniu do tradycji. Gdy ostatni cesarz, Mikołaj II, piastował godność głowy Kościoła, stanowił przykład „typowego bizantynizmu”. Gdy natomiast młoda pani, królowa Elżbieta II, jest dziś głową dwóch Kościołów naraz, świadczy to o „popularności monarchii”. Gdy w dzisiejszej nędzy bolszewickiej ludzie potulnie stają w kolejkach przed sklepami, mówi się często o rabskiej

uległości, spuściznie Iwana Groźnego, itd. Gdy w Londynie przy mniej ważnych okazjach ludzie z niejaką przyjemnością ustawiają się w posłuszne kolejki, cytuje się jako przykład dyscypliny społecznej. Gdy carski gorodowej tłukł w zęby pięścią, był przykładem barbarzyńskiego Wschodu. Gdy policja francuska z powodów, bywa, mniej koniecznych, tłucze po głowie pałkami, nie jest to traktowane jako typowe dla Zachodu. Możemy być przekonani, że gdyby Szwajcaria nie leżała w środku Europy, a na jej wschodzie, znalazłoby się wielu rzeczoznawców, którzy by pozbawienie kobiet prawa głosu w wyborach potrafili naukowo uzasadnić jako przeżytki tatarskiego wpływu. Podobnie pogromy żydowskie z r. 1905 w Rosji, proces Bejlisa w Kijowie o rzekome zabójstwo rytualne w r. 1913, również uchodziły swojego czasu za możliwe tylko na ciemnym Wschodzie. A przecież samo *zestawienie* tamtych ekscesów ze straszliwą formą, jaką przybrało prześladowanie Żydów przez Hitlera, wydaje się naiwne. Dodajmy, że prześladowania Żydów w tym czasie, wprawdzie pod naciskiem i na rozkaz tegoż Hitlera, odbywały się jednak w całej Europie, dokonywane rękami Węgrów, Francuzów, Holendrów, Belgów i wielu innych Zachodnioeuropejczyków.

Wieleż to erudycji przelano na papier gazet zachodnich podczas procesów moskiewskich z lat 1937/38, dla przeprowadzenia dowodu, że niesłychany wylew pokajań oskarżonych objaśnić można jedynie spuścizną bizantyjskiej psychiki i wychowania w wiecznym rabstwie. Gdy jednak po roku 1945 w analogicznych procesach bolszewickich analogiczne pokajania składali: generał niemiecki, attache brytyjski, biskup katolicki, kardynał rzymski etę. — nie było już mowy o „wschodnich duszach”, tylko o tajemniczych pigułkach.

Czy istnieje „dusza wschodnia”? — Jest wielu fachowców tej dziedziny, którzy podkreślają rzekomą odrębność duszy wschodniej, zwłaszcza duszy rosyjskiej, powołując się na wypowiedzi filozofów, wielkich pisarzy rosyjskich, cytują Hercena, Bakunina, Gogola, Chomiakowa, Aksakowa, Tiutczewa, Dostojewskiego i innych: „Posłuchajcie, co sami piszą o

sobie!". Nie będziemy się tu zagłębiać aż tak dalece w polemikę historiozoficzną, jak nie będziemy zabierać głosu w sporze, który" z Kościołów ma rację: czy ten, co utrzymuje, że Duch św. pochodzi tylko od Boga Ojca, czy też ten, co twierdzi, że od Ojca i Syna? Bo to, jak wiadomo, jest główną podstawą rozbieżności. Wydaje się, że obie polemiki, tamta z VI do XI w. i obecna z XIX i XX w., mają pewne cechy wspólne w ich nieco zawiłym talmudyźmie. Natomiast trudno oprzeć się przekonaniu, że trudności, na jakie natrafia wielu specjalistów w poszukiwaniu „duszy rosyjskiej” polegają na tym, że poszukują rzeczy, która nie istnieje.

Istniejąca odrębność pomiędzy psychiką zachodnioeuropejską i wschodnioeuropejską, tam gdzie ona występuje, tkwi raczej w zacofaniu cywilizacyjnym wschodnich połaci Europy i wywodzącego się stąd analfabetyzmu. Pamiętam, jak w roku 1911, gdy jako dziecko poraż pierwszy byłem we Francji, zwrócono mi uwagę: „Patrz! Dorożkarz na koźle czyta gazetę!". Chłop rosyjski gazet nie czytał. Nie interesowało go zagadnienie, która drużyna zwycięży w footballu, i wiele innych zagadnień poruszanych w gazetach. W wolnych od zajęć chwilach interesowało go zagadnienie bardziej do rozmyślań dostępne: czy Bóg jest i gdzie leży prawda? Stąd owe przysłowiowe, rzekomo typowo rosyjskie „bogo- i prawdoiskatelstwo”, które znalazło też odbicie w literaturze. — W Ameryce, Ernest Hemingway napisał książkę pt. "The Old Man and the Sea", za którą w roku 1954 otrzymał Nagrodę-Nobla, gdzie czytamy że stary człowiek, rybak, walcząc z oceanem i rybą, sam między niebem i wodą, myślami wciąż powraca do "Baseball", do "American League" w zawodach z inną Ligą sportową.

Z drugiej jednak strony, w tejże Ameryce istnieje 118 Kościołów przeróżnych wyznań, a zarówno w literaturze za katolicki, kardynał rzymski etc. — nie było już mowy o „wschodnich duszach", tylko o tajemniczych pigułkach.

Czy istnieje „dusza wschodnia"? — Jest wielu fachowców tej dziedziny, którzy podkreślają rzekomą odrębność duszy wschodniej, zwłaszcza duszy rosyjskiej, powołując się na wypowiedzi filozofów, wielkich pisarzy rosyjskich, cytują Her-

cena, Bakunina, Gogola, Chomiakowa, Aksakowa, Tiutczewa, Dostojewskiego i innych: „Posłuchajcie co sami piszą o sobie!”, Nie będziemy się tu zagłębiać aż tak dalece w polemikę historiozoficzną, jak nie będziemy zabierać głosu w sporze, który” z Kościołów ma rację: czy ten co utrzymuje, że Duch św. pochodzi tylko od Boga Ojca, czy też ten co twierdzi, że od Ojca i Syna? Bo to, jak wiadomo, jest główną podstawą rozbieżności. Wydaje się, że obie polemiki, tamta z VI do XI w. i obecna z XIX i XX w., mają pewne cechy wspólne w ich nieco zawiłym talmudyźmie. Natomiast trudno oprzeć się przekonaniu, że trudności na jakie natrafia wielu specjalistów w poszukiwaniu „duszy rosyjskiej” polegają na tym, że poszukują rzeczy która nie istnieje.

Istniejąca odrębność pomiędzy psychiką zachodnioeuropejską i wschodnioeuropejską, tam gdzie ona występuje, tkwi raczej w zacofaniu cywilizacyjnym wschodnich połaci Europy i wywodzącego się stąd analfabetyzmu. Pamiętam, jak w roku 1911, gdy jako dziecko poraż pierwszy byłem we Francji, zwrócono mi uwagę: „Patrz! Dorożkarz na koźle czyta gazetę!”. Chłop rosyjski gazet nie czytał. Nie interesowało go zagadnienie, która drużyna zwycięży w footballu, i wiele innych zagadnień poruszanych w gazetach. W wolnych od zajęć chwilach interesowało go zagadnienie bardziej do rozmyślań dostępne: czy Bóg jest i gdzie leży prawda? Stąd owe przysłowiowe, rzekomo typowo rosyjskie „bogo- i prawdoiskatelstwo”, które znalazło też odbicie w literaturze. — W Ameryce, Ernest Hemingway napisał książkę pt. "The Old Man and the Sea", za którą w roku 1954 otrzymał Nagrodę-Nobla, gdzie czytamy że stary człowiek, rybak, walcząc z oceanem i rybą, sam między niebem i wodą, myślami wciąż powraca do "Baseball", do "American League" w zawodach z inną Ligą sportową.

Z drugiej jednak strony, w tejże Ameryce istnieje 118 Kościołów przeróżnych wyznań, a zarówno w literaturze za dodatnią. Mianowicie w okresie przedrewolucyjnym pozbawiał doły społeczne tej pseudokultury, która dziś zalewa Zachód, znajdując odbiorców wśród mas pół- i ćwierćinteligentnych. Na wschodzie tzw. „społeczeństwo” stanowiło wówczas wyłącznie

warstwy górne o kulturze nie ustępującej najwyższemu poziomowi kultury zachodniej. Self-made-man z dołów społecznych, przechodził od razu do tej kultury i zaczynał od czytania klasyków z pominięciem, tego pośrednika, który w języku niemieckim nosi miano: „Schundliteratur”.

Związek Radziecki to: nie dalszy ciąg; to: zaprzeczenie dawnej Rosji. — Dopiero październikowa rewolucja bolszewicka dokonała w Rosji przemiany odwracając porządek rzeczy. Zniósłszy, jako „burżuazyjną”, dawną kulturę warstw wyższych, „podniosła” masę z analfabetyzmu, ale właśnie do poziomu pseudokultury. Odejmując policyjnym zakazem zagadnienia Boga i prawdy nie dała w zamian innych, gdyż wszystkie zagadnienia świata zostały już z góry rozstrzygnięte przez Lenina i wystarczy je tylko umieć na pamięć. Wątpienie stało się karalne. A tam gdzie nie ma wątpliwości, nie może być zastanowienia, a więc nie może być myśli poszukującej. Stąd dawna Rosja, przesadnie być może, słynąca z „rozcinania włosa”, przeistoczyła się w kolektyw bezmyślnie powtarzający wersety leninowskich dogmatów.

Niewątpliwie należy się zgodzić ze zdaniem wypowiedzianym przez J. A. Kurganowa („Nacii SSSR i russkij wopros”, 1961) że: „Rosja nie tylko się zmieniła, lecz stała się ZSSR, to znaczy w istocie nowym krajem prawie zupełnie niepodobnym do poprzedniej Rosji, ani do żadnego innego kraju wolnego świata.” — Wydaje się jednak, że można zaryzykować twierdzenie, że ZSSR jest więcej niż tylko zmianą dawnej Rosji, bo jest niejako jej — odwróceniem. I to pod każdym względem: polityczno-ustrojowym, gospodarczym, filozoficznym, obyczajowym a najbardziej może — psychicznym. Zachowując zewnętrzne ramy imperium, zmieniono jego substancję wewnętrzną.

W uproszczonym skrócie można by powiedzieć, że: Rosja XIX wieku była krajem spiskowców i buntowników, Sowiety stały się krajem milczącego posłuszeństwa; symbolem Rosji były jej kopulaste cerkwie ze złotymi krzyżami, symbolem

Sowietów jest zniesienie krzyża; poezja rosyjska opiewała lasy i przestrzenie, poezja sowiecka opiewa kominy fabryczne; literatura rosyjska opanowana była duchem sprzeciwu i krytyki, literatura sowiecka duchem uległości i pochwały; w dawnej Rosji gromadzili się ludzie by bronić pokrzywdzonego, w Sowietach schodzą się na zgromadzenie by podeptać pokrzywdzonego; w dawnej Rosji ulubionym tematem była wątpliwość wszystkiego, w Sowietach jedynym tematem jest niezachwiana pewność; w Rosji szpieg i donosiciel pogardzany był nawet przez tych, którzy się nim posługiwali, w Sowietach donosicielstwo podniesione zostało do godności cnoty obywatelskiej; Rosja XIX wieku wytworzyła warstwę „inteligencji” społecznej i krzykliwej opinii publicznej, Sowiety zniosły społeczeństwo i unicestwiły opinię publiczną; Rosja, po reformie sądownictwa, zasłynęła z najbardziej bezstronnych sądów w Europie, Sowiety słyną z najbardziej krwawej parodii sądownictwa w dziejach; można by w ten sposób mnożyć porównania nieomal bez końca.

Wielu powołuje się na politykę zagraniczną Sowietów, wskazując na jej częstą analogię z polityką zagraniczną carskiej Rosji. Ale wytyczne polityki zagranicznej wynikają z położenia geograficznego. Gdybyśmy Włochów zastąpili Chińczykami lub Skandynawami, poprowadzą taką politykę zagraniczną, jaką narzuca im położenie geograficzne półwyspu Apenińskiego.

Lenin pouczał, że dla osiągnięcia celu dopuszczalny jest dosłownie każdy chwyt taktyczny. Byłoby, więc raczej dziwnym, gdyby wykluczał przytem chwyt dawnej Rosji. Ale może właśnie całość polityki zagranicznej Sowietów stanowi moment najbardziej różniący od dawnej Rosji. Polityka sowiecka nie jest, bowiem polityką państwa, a polityką spisku przeciwko innym państwom. Byłoby bez sensu, gdyby placówki dyplomatyczne dawnej Rosji np. w Chili, Argentynie, Kongo, Indiach, Malajach i na całej kuli ziemskiej, przeznaczone były głównie do tego, aby obalać rządy i ustroje tych krajów przy których są akredytowane. W polityce sowieckiej stanowi to ich główny sens działania. Nie rosyjski zatem imperializm posługuje się międzynarodowym komunizmem, lecz

międzynarodowy komunizm posługuje się metodami rosyjskiego imperializmu, w wypadkach gdy mu to na rękę. Niekiedy słyszy się pytanie mające służyć za argument: „Czym się jednak tłumaczy, że komunizm zapuścił korzenie właśnie w Rosji?” — Można na nie odpowiedzieć obszernym traktatem, można też lapidarnym kontr pytaniem: A czym się tłumaczy, że krwawa rewolucja francuska zapuściła korzenie we Francji, czy też czym się tłumaczy powrót restauracji? Czym się tłumaczy, że twórca europejskiego romantyzmu, naród „Dichter und Denker”, dopuścił do hitleryzmu? Hitleryzm był rzeczą antypatyczną, więc wrogowie Niemiec usiłują dowieść że zrodził się ze swoistej duszy germańskiej. Bolszewizm jest rzeczą antypatyczną, więc wrogowie Rosji starają się dowieść, że „skaził naukę Marksa” przez wprowadzenie do niej pierwiastków czysto rosyjskich. Tymczasem zapanowanie komunizmu w Rosji jest analogicznym wynikiem zbiegu wielu okoliczności, jak zapanowanie hitleryzmu w Niemczech, faszyzmu we Włoszech, czy chociażby tegoż komunizmu na Kubie. Nie wiele, jak wiemy, brakowało do jego tryumfu na zachodnim krańcu Europy, w Hiszpanii.

„Tajemnica” komunizmu leży na Zachodzie. — Zazwyczaj tajemniczej dyspozycji psychicznej bolszewików szuka się w Moskwie. Niesłusznie. W Moskwie panuje przymus zewnętrzny, czyli uboczny czynnik mechaniczny, wpływający na zniekształcenie badanego przedmiotu. Poza tym dostęp do Moskwy jest utrudniony. Wydaje się więc że byłoby bardziej celowe przeniesienie badań na teren, gdzie fenomen komunizmu występuje w formie prawie czystej, tzn. bez przy-mieszki zewnętrznego nacisku policyjnego, a jednocześnie w ośrodkach ogólnie i łatwo dostępnych. Tak np. we Włoszech p. Togliattiego lub we Francji p. Thoreza, gdzie do 30% ludności głosuje na komunistów z wolnego, nieprzymuszonego wyboru. Nie da się również zaprzeczyć, że komunizm jest wytworem nie wschodniej ale zachodniej Europy.

Rozpowszechniony jest slogan głoszący, że bolszewizm jest wytworem wschodu („Azji”). Slogan ten kursuje często za-

równy w zachodnich sferach tzw. antysowieckich (antyrosyjskich), jak i wśród filorewolucyjnych poprawiaczy bolszewizmu, wśród „rewizjonistów”, nacjonal-komunistów itp. Był on też głęboko zakorzeniony wśród hitlerowców. Głosił go w III Rzeszy dr Alfred Rosenberg. W lipcu 1941 roku przekonywał Hitlera, że: „Bolszewizm zniósł dawną panującą warstwę Rosji i zastąpił ją nową, o pochodzeniu kaukasko-azjatyckim.”—Legenda ta wszakże stoi w jawnej sprzeczności z prawdą historyczną. Właśnie w azjatyckich prowincjach Rosji walka z bolszewizmem trwała najdłużej, bo aż do roku 1927. Jedyni autentyczni azjaci w Rosji europejskiej, buddyści, nadwołżańscy Kałmucy, należeli do najbardziej zaciętych wrogów bolszewizmu i dlatego użyci zostali przez kontrrewolucję do tzw. oddziałów karnych.

Lenin, jak wiadomo, przebywał więcej w Szwajcarii, Berlinie, Paryżu, Londynie itd. aniżeli w Moskwie. Nie z Rosji, lecz z zachodniej Europy czerpał swe inspiracje ideologiczne. Był przeciwnikiem wszystkich typowo-rosyjskich, niemarksistowskich partii rewolucyjnych. I marksizm kroczył drogą z Zachodu na Wschód, a nie odwrotnie. W końcu XIX wieku z niemieckiej socjaldemokracji przeniknął najpierw do Polski i opanował Polską Partię Socjalistyczną (PPS). Głównie jednak znalazł charakterystyczny i radykalny wyraz — już wtedy zbliżony do bolszewizmu — w partii „Socjal Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy” (SDKPiL), na czele której stanęli, tak słynni w przyszłości komuniści jak: Róża Luxemburg, Marchlewski i pierwszy czekista w Rosji, Polak, Feliks Dzierżyński. Byli oni najściślej związani z niemiecką Socjal-Demokracją przez prekursorów światowego komunizmu o typie Karola Liebknechta i Karola Radka, i z Berlina czerpali natchnienie ideologiczne. Lenin pisał w „Raboczej Prawdzie” (z 16. 7.1913) o niemieckiej socjaldemokracji:

„... jedynie całkowicie postępową i w najlepszym sensie... masowa partia robotników...”

Chronologicznie, marksizm przejęty przez przywódców żydowskiego „Bundu” w Wilnie, w porozumieniu z „Bundem” kijowskim, dał początek Rosyjskiej Partii Socjal-Demokratycznej (SDPRR), założonej na tajnym zjeździe w Mińsku, w marcu 1898 roku. Dopiero po formalnym przystąpieniu do niej Lenina, doszło na drugim zjeździe partyjnym w Londynie, w lipcu-sierpniu 1903, do rozłamu na „mieńszewików” i „bolszewików”.

Bolszewików nie było prawie w Petersburgu w chwili wybuchu rewolucji lutowej 1917 i abdykacji cesarza. Główna ich czołówka przewieziona została z zachodniej Europy, z inicjatywy rządu i sztabu generalnego cesarskich Niemiec, w „zaplombowanych wagonach”, 500 osób wraz z rodzinami, przy usługowym współdziałaniu rządów Szwajcarii i Szwecji. Wszystkie, więc drogi wiodły z Zachodu na Wschód, a nie odwrotnie...

Wielu zwłaszcza z pośród b. komunistów i filokomunistów europejskich, zrażonych co nieco do metod „stalinowskich”, upiera się przytem, że „rosyjski bolszewizm” to nie to sarno co „europejski komunizm”. Trudno z twierdzeniem tym polemizować, gdyż oparte jest na jawnym zlekceważeniu powszechnie znanych faktów, które świadczą o identycznej ideologii, ścisłych więzach i jednakiej dyscyplinie wewnętrznej całego międzynarodowego komunizmu, pod każdą szerokością geograficzną. W dostrzeganiu więc różnic zasadniczych występuje raczej typowy „wishful thinking”, czyli widzenie tego co się chce widzieć.

Fenomen komunizmu. — O komunizmie napisano tysiące książek. Chciałbym tu wskazać na fenomen, moim zdaniem, najbardziej charakterystyczny. Jest nim odebranie ludzkim słowom ich pierwotnego znaczenia. Fenomen ten występuje pod rozmaitą postacią. Czasem chodzi tylko o zamącenie znaczenia słowa, czasem o nadanie mu wręcz odwrotnego sensu. To zdegradowanie mowy ludzkiej, a tym samym głównego instrumentu kultury ludzkiej, do rzeczy bez wartości, występuje w epoce po XX a zwłaszcza po XXII zjeździe partii i

„destalinizacji”, w sposób może jeszcze bardziej rażący niż w okresie Lenina-Stalina. Nigdy, bowiem z taką wyrazistością nie stwierdzono dotychczas z trybuny partyjnej, że miliardy słów, wygłaszane w przeciągu dziesiątków lat w najwyższych aeropagach politycznych, w literaturze, w teatrach, w szkołach, na wiecach etc. nie tylko nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości, ale zwalniają od odpowiedzialności wskutek masowego charakteru.

Zarówno w samym Związku Radzieckim jak w jego filiach „ludowych”, przy całkowitym zachowaniu ustroju, główni aktorzy pozostali z reguły na swych stanowiskach, mimo iż lata całe mówili i pisali rzeczy dzisiaj potępione. Byłe dzisiaj mówili i pisali to, co jest nakazane. Zresztą w tych samych słowach i tym samym tonem. To administrowanie z góry sensem, a raczej bezsensem słów, przybrało rozmiary nie notowanej w dziejach żonglerki. Tak np. procesy czystek stalinowskich z lat 1936/38 i pokajania starych komunistów, podanych bądź co bądź nieznanym bliżej represjom, wydać się mogą mniej dziwne, niż w roku 1961 oskarżanie Woroszyłowa, zasiadającego na podium prezydiatnym, w obliczu 5 tysięcy delegatów z całego świata. Co za fenomenalny nacisk psychologiczny, aby starzec całe życie poświęciwszy rewolucji bolszewickiej, mógł się w takich warunkach kajać w sposób najbardziej absurdalny! Tym razem nie z więzienia, a z wolnej stopy...

Możliwe to jest tylko w systemie, który na zdewaluowanie ludzkiego słowa zużywa w istocie materialną energię bloku państw obejmującego największy obszar na świecie. Rzecz jest bez precedensu, gdyż przeciw deprecjacji słowa nie wolno w ustroju komunistycznym bronić się nawet milczeniem. Odwrotnie, wszyscy muszą mówić. Mówić to, co im się każe.

W ten sposób komunizm staje się w hierarchii zjawisk politycznych fenomenem nadrzędnym, ponadnarodowym i ponadpaństwowym. W żadnym razie nie może być identyfikowany z Rosją, tak samo zresztą jak z żadnym narodem czy państwem na świecie. Przez pozbawianie słów ich pierwotnego znaczenia, nazywania agresji „wyzwoleniem”, niewoli „wolnością”,

nietolerancji „tolerancją”, nominacji „wyborami” etc. etc. zmierza do zmuszenia, nie narody, lecz wszystkich ludzi do posługiwania się językiem — na własną niekorzyść. Tzn. obiecując w nagrodę za wyrzeczenia się dotychczasowych słów, kultury i wolności ducha, — niewolę totalną.

Polska pod Rosją Polska pod komunizmem

Jeżeli porównamy sytuację Polski po roku 1945 z sytuacją Polski pod zaborem rosyjskim do roku 1914, to przy obiektywnej ocenie rzeczy musimy dojść do wniosku, iż zachodzi tu nie analogia sytuacji historycznej, a raczej odwrócenie sytuacji. Odwrócenie wynikające logicznie z takiegoż odwrócenia rzeczy w Rosji.

W końcu XVIII stulecia Polska została napadnięta przez trzy państwa sąsiednie i przemocą pomiędzy te trzy państwa podzielona. Przemoc tę, którą możemy emocjonalnie piętnować jako „niesłychaną” w słusznym oburzeniu, w rzeczywistości jednak „niesłychaną” nie była. Stanowiła rodzaj przemocy, którą by można określić mianem: konwencjonalnej, w odwiecznych stosunkach między narodami i państwami. Niemal cała historia ludzkości składa się z wojen zaborczych, w których państwo silniejsze pognębia lub zagarnia terytoria państwa słabszego. Bardziej niezwykłym wydać się może prawie zupełny brak skutecznego oporu ze strony królestwa tak ongiś potężnego. Ale i to nie stanowi wyjątku w historii, ani nie nakłada szczególnie ujemnego piętna na naród polski, gdyż chyba wszystkie narody świata przeżywały i przeżywają przejściowe okresy wzlotu i upadku, głębokie kryzysy wewnętrzne i związane z tym przemiany psychologiczne. Raczej powinno służyć za ostrzeżenie przed zbyt pochopnym wyciąganiem wniosków uogólniających „organiczną” charakterystykę poszczególnego narodu na podstawie li tylko któregoś z jego okresów historycznych.

„Strona polska” i „strona rosyjska”. — Polska popadła pod wpływ Rosji jeszcze przed rozbiorami. Ostatni król, Stanisław August, uważany jest przez niektórych historyków za bezwolne narzędzie a nawet marionetkę w rękach Katarzyny II. Inni temu zaprzeczają. Nie wchodząc w istotę sporu i historycznych interpretacji, wypada wszelako stwierdzić że jakkolwiek ocenimy jego skłonność do kompromisów, Stanisław August pozostawał w każdym wypadku „stroną” przeciwną w politycznym znaczeniu, „stronie rosyjskiej”. Innymi słowy w stosunkach Polski z Rosją reprezentował (znów, abstrahując od tego, czy źle czy dobrze) interesy państwowości polskiej i narodu polskiego. To samo dotyczy osób go otaczających, rządu, sejmu polskiego. Ta „strona polska” zmuszona jest przeciwstawiać się, czy w inny sposób reagować na nacisk i wpływy rosyjskich posłów w Warszawie, powiedzmy, Repnina, czy Stackelberga, którzy w miarę wzrastania potęgi rosyjskiej i osłabienia państwa polskiego, wpływ swój zwiększają aż do roli faktycznych dyktatorów, narzucających Polsce interesy państwowe rosyjskie. Jest to, więc forma postępowania i nacisku nie odbiegająca od konwencjonalnego typu przemocy zewnętrznej w stosunkach pomiędzy państwami.

„Strona komunistyczna”. — Z chwilą, gdy Polska znalazła się pod panowaniem komunistycznym, zaszła rzecz nie analogiczna, lecz odwrotna. Najwyższy przedstawiciel „Polski Ludowej”, szef komunistycznej partii, reprezentuje w rzekomo „międzypaństwowych stosunkach polsko-radzieckich”, nie stronę polską, lecz przeciwnie, radziecką. To samo dotyczy osób go otaczających, członków partii rządzącej, samego rządu, sejmu, a zresztą całego bez wyjątku aparatu państwowego i wszystkich innych instytucji narzuconych krajowi. Państwowość tzw. Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL) staje się „stroną” nie przeciwną państwowości radzieckiej, a przeciwną polskiemu narodowi. Jest to państwowość nie broniąca interesów narodu polskiego w stosunkach z państwem radzieckim, a przeciwnie — narzucająca narodowi polskiemu

interesy międzynarodowego komunizmu, reprezentowane przez państwo radzieckie.

Podobnie odwrócona zostaje i rola posłów radzieckich w Warszawie. Jeżeli pominiemy drobne poruczenia obserwacyjno szpiegowskie, rola posła sowieckiego w Warszawie sprowadza się do figuranta. Gdyż w hierarchii międzynarodowego komunizmu, szef partii polskiej zajmuje wyższe stanowisko od dyplomaty sowieckiego. W ten sposób, gdyby teoretycznie zaszła taka potrzeba, nie poseł radziecki Gomułka, a Gomułka posłowi radzieckiemu mógłby powiedzieć, co ma czynić.

Konstanty Pawłowicz i Konstanty Rokossowski. — Charakterystyczną ilustracją odwrócenia sytuacji w porównaniu z zaborem rosyjskim, a zarazem ilustracją tego uporu, z jakim polrealizm usiłuje nie dostrzegać stanu faktycznego i podtrzymywać dezinformację, — służyć może porównanie roli w. ks. rosyjskiego Konstantego Pawłowicza z rolą marszałka sowieckiego, Konstantego Rokossowskiego.

Jak wiadomo Kongres Wiedeński 1815 roku ustanowił Królestwo Polskie („kongresowe”) pod berłem Aleksandra I cesarza Rosji, ale z własnym rządem i sejmem. Namiestnikiem Królestwa został gen. Józef Zajączek, wszelako dowództwo armii oddane zostało nie w ręce polskie, a Rosjaninowi, bratu cesarskiemu, w. księciu Konstantemu Pawłowiczowi, który niebawem stał się pierwszą osobą w Warszawie. — Gdy w roku 1949 naczelnym wodzem w Polsce Ludowej mianowano radzieckiego marszałka Konstantego Rokossowskiego, który wszedł jednocześnie do prezydium polskiej partii komunistycznej, zwolennicy polrealistycznej wykładni politycznej dopatrzyli się w tym analogii historycznej, przypisując Rokossowskiemu rolę w. ks. Konstantego. Ponieważ działo się to w okresie „zimnej wojny” i dozwolonej przez mocarstwa zachodnie antysowieckiej propagandy radiowej, przeto wszystkie polskie oddziały amerykańskich, brytyjskich, francuskich etc. rozgłośni, specjalnie na kiel wzięły osobę Rokossowskiego. Zwłaszcza wyzyskano identyczność imienia:

Konstanty. Posypały się na ten temat docinki i dowcipy, zruszczano imię na: „Kanstantin”, albo zgola: „Kostja”, wymawiano nazwisko akcentem: „Ra-ka-ssow-skij”. Wszystko to miało podkreślić „rosyjskość” Rokossowskiego, jako rzecz decydującą przy jego nominacji.

W rzeczywistości Rokossowski jest autentycznym Polakiem. Nie narodowość jednak i nie to, że był marszałkiem sowieckim, decydowało o jego nominacji na „polskiego marszałka”, a brak wśród ówczesnej generalicji polskiej kandydata o równym stażu partyjnym. Słowem Moskwa kierowała się nie kryterium: Polak, czy Rosjanin, ale: zaufany lub niezaufany komunista.

Natomiast w upartym zestawianiu Konstantego Rokossowskiego z w. ks. Konstantym, przeziarała niedwuznacznie tendencja mająca wykazać, że Polska Ludowa „stacza się” niejako do sytuacji z okresu Polski Kongresowej; do analogii z zaborem rosyjskim. W rzeczywistości żadna analogia tu nie zachodziła. Rokossowski nie miał wpływu na bieg wydarzeń w Warszawie, bo nie on wydawał rozkazy partii lecz partia jemu. Nie miał, i zresztą jak każdy zawodowy wojskowy w ustroju komunistycznym, nie mógł mieć większego znaczenia w Moskwie od polskich dygnitarzy partyjnych. Żadnej poważniejszej roli nie odegrał, a jak wykazały późniejsze wypadki, odwołanie jego w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na zmianę sytuacji. Analogia nie mogła powstać poza tem dlatego, gdyż stopień zależności Polski pod panowaniem komunistycznym jest wielokrotnie większy ilościowo, a odwrócony jakościowo, niż pod panowaniem rosyjskim. Świadczy o tym proste porównanie „treści polskiej” z okresu zaboru rosyjskiego, z „formą polską” obecnego zaboru komunistycznego.

Sedno polityczne na wywrót. — W okresie zaboru rosyjskiego nawet kierunek skrajnie kompromisowy pozostał do końca wspomnianą wyżej: „stroną polską”, w jej przeciwstawieniu „stronie rosyjskiej”. Obóz ugodowy, poczynawszy od polityki hr. Aleksandra Wielopolskiego w połowie XIX wieku, poprzez późniejsze formy reprezentujących go przed pierwszą

wojną ugrupowań, mimo wszelkich kompromisów wygradzał interesy polskie od interesów rosyjskich. Granica przebiegająca pomiędzy tymi przeciwstawnymi interesami była wyraźnie nakreślona. W okresie przeprowadzanej przez rząd rosyjski rusyfikacji, obrona interesów polskich sprowadzała się do uzyskania istotnych ulg i uprawnień umożliwiających polską działalność narodową: szkoła z polskim językiem wykładowym, książka, gazeta, teatr w języku polskim, polskie stowarzyszenie, wyższe kursy w języku polskim i itd. stanowiło istotę ówczesnego interesu polskiego, w obronie polskiej treści przed groźbą rusyfikacji. Stanowiło przedmiot „koncesji” uzyskiwanych od strony rosyjskiej.

Pod panowaniem komunistycznym polska treść przeobraziła się w rzeczywistości w polską formę, gdyż istotną treścią stał się „socjalizm” (komunizm). W ten sposób typ poprzednich „koncesji” utracił wszelki sens, gdyż istota tych koncesji przeobraziła się w jej przeciwstawność, i stała się nie ustępstwem na rzecz narodu polskiego, a odwrotnie, narzędziem oddziaływania wrogiej władzy na naród. Szkoły, uniwersytety, książki, gazety, teatry i kina, radio, stowarzyszenia, organizacje, kółka, działalność społeczna, nawet nauki ścisłe, nawet muzyka i malarstwo, — wszystko to, bezpośrednio lub pośrednio, w mniejszym lub większym stopniu, służy komunistom za skuteczny instrument tzw. przekuwania wolnego narodu, wolnego społeczeństwa, w komunistyczny kolektyw. Instrument tym skuteczniejszy ile stosowany w języku danego narodu. Stąd powstało zjawisko pozornie paradoksalne: nie, jak poprzednio, rusyfikacja, lecz odwrotnie: „polonizacja” stała się narzędziem ujarzmnienia narodu polskiego. Paradoks zanika, gdy się zważy, że chodzi naturalnie o „polonizację” tylko z formy, z treści zaś o bolszewizację, sowietyzację, komunizację.

Jeżeli zaś chodzi o koncesje treści „organicznej”, tzn. oczyszczonej z przymusowej infiltracji komunistycznej, to w przeciwieństwie do zaboru rosyjskiego, uzyskanie ich jest niemożliwe, ani w postaci szkoły, ani kursów, ani gazety, ani organizacji, która stanowiłaby opozycję lub w innej postaci przeciwstawiała się panującej władzy.

Wprawdzie polrealizm emigracyjny dla odwrócenia uwagi od rzeczywistego stanu rzeczy i podtrzymania swej tezy o Związku Radzieckim jako „Rosji”, — wielokrotnie próbował lansować dezinformację o rzekomo uprawianej w kraju rusyfikacji, ale próby te należy odnieść do kategorii takiej samej legendy, jak zestawiania „dwóch Konstantych”. Mniej więcej wg wzoru: Obchód Puszkina w Warszawie — „rusyfikacja”; ale obchód Mickiewicza w Moskwie — nie jest „polonizacją”. Także objazdy teatrów warszawskich nie tylko w Moskwie, ale w Litwie, na Białejrusi, Ukrainie etc. nie są objawem „polonizacji”. Problem ten wchodzi w zakres ogólnej polityki narodowościowej ustroju komunistycznego i roztrząsanie go tu, zajęłoby za dużo miejsca. Zauważmy jedynie na marginesie, że w Moskwie można i tańczyć i śpiewać „Krakowiaka” i nabywać płyty w sklepach; podczas gdy „Czubczika”, „Stieńka Razina”, „burłackie” i inne rosyjskie pieśni przedrewolucyjne dziś zakazane, fabrykuje się ręcznym sposobem na starych płytach, i sprzedaje na rynku spod poły. Zresztą trzeba przyznać, że w ostatnich czasach wersja o rzekomej rusyfikacji, gruntownie pozbawiona podstaw, została prawie całkowicie wycofana z obiegu polrealistycznej dezinformacji.

Porównanie: „człowiek”. — Rosja carska była państwem stanowym. Nie tyle państwem niesprawiedliwości społecznej, — bo w przeliczeniu na dzisiejsze czasy, łatwiej w niej było nieraz o sprawiedliwość niż w późniejszych demokracjach — ile wielkiej nierówności społecznej. Mimo przeprowadzanej czasem drakońskimi środkami rusyfikacji, opierała się nie na narodzie, a na warstwach stanowych. Jeżeli chodzi o życie codzienne w Polsce, to prawdziwym „panem” na swojej ziemi pozostał więc jak był, szlachcic polski, a nie urzędnik lub policjant rosyjski, który mu się raczej nisko kłaniał. Przeglądając roczniki nominacji oficerskich przed rewolucją, największą ilość szlacheckich nazwisk polskich znajdujemy w Korpusie Paziów, w pułkach kawalergardów, kirasjerów gwardii i innych gwardyjskich. Odsetek ten gwałtownie maleje w piechocie zwykłej armii, ustępując nazwiskom wyłącznie

prawie rosyjskim. To jest tylko ilustracja na marginesie, ale zarazem wskazówka, że błędem jest identyfikować ówczesne pojęcie „prześladowania narodowego” per analogiam z prześladowaniami wieku XX. Albowiem pojęcie „prześladowania” łączy się dziś niejako automatycznie z pojęciem losu ludzkiego. Tymczasem wówczas, wskutek tego, że 80% polskich działaczy niepodległościowych rekrutowało się jeszcze z uprzywilejowanej klasy szlacheckiej, wytwarzała się sytuacja, w której 80% narodu rosyjskiego, nie posiadającego praw szlacheckich, mogło raczej zazdrościć losowi „prześladowanych” Polaków...

Odwrotne też było podejście do tzw. „przestępstw politycznych”. Prof. Władysław Studnicki, wielki wróg Rosji, duszą i sercem nienawidzący wszelkiej rosyjskości, ale człowiek z gruntu prawy i brzydzący się kłamstwem, opowiadał mi kiedyś o swoim zesłaniu na Sybir w okolice Minusinska. Słuchając na emigracji jego relacji o warunkach ówczesnego zesłania, miałem wrażenie żebym chętnie zamienił swój los dzisiejszego emigranta na jego ówczesny, zesłańca politycznego... Los prof. Studnickiego na zesłaniu wynikał nie tylko z jego przynależności do stanu uprzywilejowanego, lecz ze stosunku do — niejako „uprzywilejowanego” przestępstwa. Albowiem przestępstwo polityczne należało do kategorii jakby „honorowej” i traktowano go w przeciwieństwie do dzisiejszych norm komunistycznych, nie jako coś „gorszego”, lecz jako coś „lepszego” od innego rodzaju przestępstw.

Sądzę, iż podłoża tego odmiennego traktowania można by szukać w odmiennym podejściu do jednostki, człowieka (zresztą zgodnie z panującą wówczas w świecie atmosferą), jako obiektu chronionego zasadniczo przez prawo boskie, ludzkie i państwowe. Żadne z tych praw nie chroni dziś człowieka, poddanego ustrojowi komunistycznego, przed normami prawa partyjnego.

Znany przed rewolucją w Rosji adwokat Gruzenberg, Żyd rosyjski, wydał na emigracji swe wspomnienia. Z treści wynika, że autor pała szczerą nienawiścią do ustroju carskiego, do tego, co wówczas było. m.in. opisuje słynny proces Bejlisa w

Kijowie, Żyda oskarżonego o zabójstwo rytualne. Z gniewem i oburzeniem przytacza Gruzenberg chwytły, za pomocą których władze policyjne usiłowały wpłynąć na chłopów wybranych do kolegium ławy przysięgłych, aby osiągnąć skazanie Bejlisa. I oto po tych licznych zabiegach — jak twierdzi — szalę na rzecz uniewinnienia przechylił chłop, sędzia przysięgły, który podczas narady wstał nagle, przeżegnał się na ikonę i powiedział: „Nie będę brał grzechu na sumienie i głosował za skazaniem niewinnego.” — Cytując z głęboką odrazą przebieg tego procesu, adwokat Gruzenberg nie przeprowadza porównań. Gdyby to uczynił, sam by się może zdumiał, do jakiego stopnia cała ówczesna procedura nacisku policyjnego wydaje się dziś naiwnie anachroniczna. A ogromny wkład energii aparatu policyjnego, zmarnowany w końcu wskutek przeżegnania się jednego chłopca na ikonę, świadczy o liczeniu się z człowiekiem. Podczas gdy dziś podejście do mas odbywa się w Sowietach za pociśnięciem guzika, a pojedynczy człowiek w ogóle nie jest brany w rachubę. Na jedno skinienie palca nie tylko wszyscy sędziowie bloku komunistycznego, ale wszystkie miliony zamieszkujących go ludzi, wydadzą każdy wyrok i powezmą każdą uchwałę, jakiej by od nich zażądała władza partyjna.

O ile życie polityczne w Polsce pod zaborem rosyjskim podlegało ograniczeniu władz, o tyle z reguły nie istniała ingerencja tych władz w życie prywatne człowieka. Słusznie zwraca uwagę prof. Fedor Stepun w swych wspomnieniach („Bywszeje i niesbywszejesia”, 1956):

„Jakaż ogromna różnica pomiędzy caryzmem i bolszewizmem... Despotyzm państwowy straszny jest nie tyle w jego politycznych zakazach, ile w jego kulturalno politycznych nakazach, w jego pomysłach stworzenia nowego człowieka i nowego człowieczeństwa. Przy całym swoim despotyzmie, Rosja carska nikogo duchowo nie zamierzała wychowywać, i w dziedzinie duchowo-kulturalnej nic nikomu nie przykazywała. Byłaby to zresztą rola wykraczająca poza jej możliwości. Poszczególne anegdoty w niczym nie zmieniają zasadniczego faktu.”

Niewątpliwie różnica pomiędzy: tylko zakazem, a powszechnym nakazem, stanowi różnicę najbardziej istotną pomiędzy zaborem rosyjskim i zaborem komunistycznym.

Nie należy zapominać, że demokracja to jeszcze nie wolność. Demokracja to tylko równość. Dopiero liberalizm jest — wolnością. Połączenie równości z wolnością ma wreszcie stwarzać ów ideał, który wszyscy pragniemy osiągnąć. Otóż Rosja carska nie była państwem demokratycznym, ale w końcu swego istnienia była państwem liberalnym. Ustrój komunistyczny liberalizm uważa za swego największego wroga.

Nie pod zaborem państwa, lecz pod zaborem partii. —

Widzimy, że po roku 1945, obecni władcy Polski, polscy komuniści, są najbardziej gorliwymi rzecznikami nie polskich, lecz sowieckich interesów politycznych. Zachodzi więc pytanie:

kim są oni, t j. nie w swych przekonaniach ideowych, a w ich stosunku do Polski? Urzędnikami państwa Radzieckiego? Gdyby tak było, to' Polska zostałaby niewątpliwie podporządkowana wewnętrznemu aparatowi sowieckiego państwa. Tymczasem nie tylko formalnie, ale nawet praktycznie, Polska Ludowa nie jest włączona do wewnątrzno-państwowej aparatury sowieckiej. Mamy do czynienia z zupełnie nową strukturą, wynikająca ze specyficznej struktury Związku Radzieckiego, a odrębnej od reszty świata. W myśl tej struktury obecni rządcy Polski zaliczeni są nie do wewnętrzne państwowych instancji Sowietów, a do wewnątrzno-partyjnego centrum. W ten sposób Polska nie jest podporządkowana państwu sowieckiemu, a podporządkowana bezpośrednio komunistycznej partii, która tym państwem rządzi.

Interesy partii stoją ponad interesami państwa, czy to Związku Radzieckiego, Polski Ludowej, czy innych członów bloku komunistycznego. W ten sposób Polska, jako kraj, w stosunku do Rosji jako kraju, pozostaje nie w stosunku zależności, lecz jakby w stanie „koleżeństwa” we wspólnym podporządkowaniu tej samej partii. Rzec by można, we wspól-

nocie nieszczęścia, jakie na obydwu kraje i zamieszkujące je narody, spadło.

Polska nie została włączona do Związku Radzieckiego jako jej 17 Republika Związkowa, co może odpowiadałoby interesom radzieckiego państwa, ale nie pokrywało się z interesem światowej polityki partii. W interesie „światowego systemu socjalistycznego” leży utrzymanie fikcji suwerenności Polski, podobnie jak innych republik „ludowych”. Fikcji zupełnej, a jednak jak widzimy, wcale skutecznej.

Obecne położenie Polski podporządkowanej nie państwu sowieckiemu, a komunistycznemu centrum światowemu, nie oznacza oczywiście że Polska Ludowa rozporządza wskutek tego tymi, czy innymi wartościami ilościowymi w zestawieniu np. z Ukraińską Związkową ZSR, czy innymi włączonymi do Związku Sowieckiego republikami, gdyż sprawa nie leży w tej płaszczyźnie. Oznacza tylko że Polska, w myśl planów międzynarodowego komunizmu została „dyslokowana” w inną płaszczyznę, i odegrywa w tych planach inną, niż republiki związkowe wyznaczoną jej rolę — jakościową. Zarazem oznacza to, że Polska znajduje się w większej — jeżeli użyjemy potocznego określenia — niewoli, niż kiedykolwiek na przestrzeni całej swej historii. A mianowicie pod działaniem sprężonego ucisku, który nie tylko odbiera jej niepodległość, ale paraliżuje treść jej organicznego bytu, zagrażając tym samym przeistoczenie całego narodu w odmienny, wg planów komunistycznych, „socjalistyczny naród”.

*

Czy do tego dojdzie, nie wiemy. Na razie interesuje nas pytanie, jak doszło do tego, że wtrącenie Polski w największą niewolę myśli i ducha traktowane być może przez wielu Polaków za ciągłość państwowości polskiej, a tylko w najgorszym wypadku zestawiane z niewolą „rosyjską”, która była ilościowo mniejsza, a jakościowo zupełnie odmienna?... Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, nie wystarczy uświadomić sobie w pełni otaczającą nas atmosferę światową, której szemat [plan,

schemat, szkic] próbowaliśmy przedstawić w poprzednim rozdziale. Trzeba sięgnąć do praźródła tej fałszywej diagnozy, która stała się wszelkim początkiem dzisiejszej dezinformacji. Czyli cofnąć wstecz do historycznych elementów, które przyczyniły się do obecnego przeobrażenia wschodniej Europy, a stały jednocześnie zagrożeniem współczesnego świata.

Między bolszewizmem i nacjonalizmem

W życiu nie ma nic stałego, ani nic niestałego. Historia może się powtarzać, albo nie powtarzać. Czasem ma się wrażenie, że ci którzy upierają się, że „historia się nigdy nie powtarza”, czynią tak bo lenią się z nią zapoznać. W dziejach komunizmu, od jego powstania do dnia dzisiejszego, główne elementy powtarzają się jak na zgranej taśmie fotograficznej. — Czy był to przypadek, czy też Lenin przewidział genialnie rolę jaką przypadnie nacjonalizmowi w dziele ugruntowania bolszewizmu?

Przewrót bolszewicki oparł Lenin na dwóch dekretach: „Dekrecie o pokoju” i „Dekrecie o ziemi”, ogłoszonych już nazajutrz po wybuchu rewolucji, tj. 8 listopada 1917 roku. Ale zaledwie po tygodniu, dnia 16 listopada, dołącza słynną „Deklarację Praw Narodów Rosji”, która obwieszcza: „prawo wszystkich narodów b. imperium do samostanowienia i niepodległości, włącznie z oderwaniem i stworzeniem samodzielnego państwa”. Pozornie akt ten mógł doprowadzić do zupełnego rozproszenia sił rewolucyjnych, a tym samym do unicestwienia rewolucji bolszewickiej, która wobec znikomej garstki jej zwolenników, widoki powodzenia oprzeć mogła wyłącznie na potężnym zcentralizowaniu władzy. Czy więc znajomość mentalności nacjonalistycznej, czy po prostu psychiki ludzkiej, podpowiedziała Leninowi że w ten sposób przede wszystkim i w pierwszym rządzie potrafi rozproszyć ale — solidarność wszystkich sił antybolszewickich? — Prawda, że w istocie „Deklaracja” była pustym frazesem, gdyż decyzja co jest „prawdziwym wyrazem woli narodu”, oddana została nie w ręce narodu, lecz w ręce jacejek bolszewickich. Tym niemniej potwierdziła słuszność taktyki Lenina w całej

rozciągłości. Mimo, iż oczywiste zafałszowanie ujawniło się prawie natychmiast, absolutna większość przywódców nacjonalistycznych uznała, że przy pewnym kompromisie i współdziałaniu z bolszewikami, raczej można się spodziewać uzyskania niepodległości, niż we współdziałaniu z kontrrewolucją.

**Z innymi nacjonalizmami przeciwko bolszewikom?
Czy z bolszewikami przeciwko innym nacjonalizmom? —**

Postawione przed szematem tego pytania, poszczególne nacjonalizmy (można by je dziś nazwać: „nacjałrealizmy”) wybrały z reguły to drugie. Żaden z zainteresowanych narodów, z rosyjskim włącznie, nie wziął pod uwagę pozanarodowej, czysto ludzkiej strony zagadnienia i nie rozeznał w bolszewizmie-komunizmie właściwej jego istoty, nowej treści, stanowiącej nadrzędne, ponadnarodowe niebezpieczeństwo. Kierownicze czynniki narodów dążących do samodzielności i wyzwolenia spod panowania rosyjskiego imperium, dostrzegły w bolszewizmie raczej osłabienie tego imperium, czyli z reguły „mniejsze zło”, większe upatrując w zwycięstwie kontrrewolucji, a niebawem i w roszczeniach sąsiednich narodów. Zaś kierownicze czynniki rosyjskiej kontrrewolucji potraktowały w wielu wypadkach niepodległościowe dążenia, względnie „separatyzmy” poszczególnych nacjonalizmów, za większe dla Rosji niebezpieczeństwo niż groźbę bolszewizmu.

W ten sposób doszło do historycznego rozwoju wydarzeń, których przypomnienie dziś wydaje się nie tylko aktualne, ale nade wszystko pouczające przez ich analogię do tych współczesnych poglądów, które w tym świetle wydają się, jakby od tego czasu nie uległy zmianie. Czasem wsłuchując się w dzisiejsze koncepcje, chciałoby się po prostu wykrzyknąć: Ale przecież to już raz było! Dlatego, sądzę, że ludzie, którzy chcą obiektywnie ocenić to co dziś jest, muszą się przede wszystkim z tym właśnie — co było, zapoznać.

Finlandia wycofała się z frontu antybolszewickiego, w chwili gdy los rewolucji bolszewickiej wisiał na włosku. Dnia 10 października 1919 grupa wojsk rosyjskich, tzw. „Armii

Północnej" pod wodzą gen. Judenicza, przerywa linie 7 armii bolszewickiej koło Jamburga. 21. 10. zajmuje pozycje na wzgórzach Pułkowskich, ostatniej rubieży południowych przedmieść Petersburga. W Petersburgu wybuchają antybolszewickie rozruchy. Lenin woła: „Nigdy jeszcze sowiecka republika nie stała w obliczu tak śmiertelnego niebezpieczeństwa!” — Oficjalna sowiecka „Kratkaja Istoria Grażdanskoj Wojny" (Moskwa, 1960) pisze o tym okresie:

„W najostrzejszym momencie walki małe burżuazyjne państwa odmówiły na szczęście pomocy Judeniczowi. Pierwsze oświadczenie o odmowie pomocy złożyła Finlandia. Próba wciągnięcia do walki z Rosją Sowiecką burżuazji małych państw, nie udała się... Finlandia otwartej wojny przeciwko bolszewikom nigdy nie podjęła...”

Istotnie, Finlandia zajęła pozycję „zbrojnej neutralności”. Raz tylko, z osobistej inicjatywy Mannerheima w maju 1919 fiński oddział partyzancki pod wodzą Elwengreina, uderzył w kierunku Karelii. Był to epizod bez znaczenia.

Estonia nie miała w ogóle wojsk do obrony przeciwko bolszewikom w pierwszym okresie, i dlatego przy pomocy Anglii wypłacała nawet żołd oddziałom „północnej armii” Judenicza, które ją przed bolszewikami zasłaniały. Ale już 28 lipca 1919 r. generał angielski, March, wystosował do niego ultimatum żądając uznania niepodległości Estonii w przeciągu — 40 minut..., w przeciwnym wypadku groził wstrzymaniem wszelkiej pomocy do dalszej walki z bolszewikami, która właśnie zaczęła się rozwijać pomyślnie. — (Ach, jakże znamy te gesty!) — Uznanie takie nastąpiło wprawdzie dopiero 18 sierpnia, ale już Estończykom, którzy w międzyczasie starali się nawiązać rokowania z bolszewikami, dalsza ofensywa kontrrewolucji była nie na rękę i nie tylko odmówili dalszego wsparcia, ale natychmiast po jej nieudaniu przystąpili do rozbrojenia białych oddziałów rosyjskich. Pokój Estonii z bolszewikami podpisany został 2 lutego 1920 r., gdy jeszcze na

pozostałych frontach toczyły się zmagania z rewolucją bolszewicką. Był to pierwszy pokój i pierwsza „koegzystencja”, pomiędzy Sowietami i państwem kapitalistycznym. J. Majskij, późniejszy ambasador sowiecki w Londynie, nazwie ją: „...oknem do Europy przebitym poraż drugi w historii...”

Litwa zajęła od początku bardziej przychylne stanowisko wobec bolszewików niż wobec Polski, ze względu na spór o Wilno. W grudniu 1918 r. rząd polski proponował rządowi litewskiemu zawarcie porozumienia celem wspólnego odparcia nawały bolszewickiej. Rząd litewski uzależnił takie porozumienie od uznania Wilna stolicą Litwy. Rząd polski odmówił. Tymczasem wojska sowieckie podchodziły już pod Wilno. W mieście, Komitet Polski zaimprovizował własną „samoobronę” Wilna i zwrócił się do rządu litewskiego z propozycją wspólnego odparcia najazdu. Rząd litewski nie tylko propozycję odrzucił, ale ponadto zgłosił uroczysty protest przeciwko

organizacji antybolszewickiej polskiej samoobrony i opuścił miasto 1 stycznia 1919 r., udając się do Kowna pod osłonę wojsk niemieckich, które tam jeszcze stały. Słaba polska „samoobrona” została przez bolszewików rozbita i wojska czerwone zajęły kraj do linii Szawle—Możejki—Kowno—Olita—Grodno—Prużany—Kobryń. — Gdy w lutym 1919 Polska zaczęła oswobadzać kraj od bolszewików, rząd litewski i współdziałający z nim rząd „Narodowej Republiki Białoruskiej”, mimo iż same nie rozporządzały własnymi siłami dla wyparcia bolszewików z okupowanych terytoriów, zaprotestowały formalnie przeciwko ofensywie polskiej, która 19 kwietnia osiąga Wilno, a 8 sierpnia Mińsk.

Spór o granice terytorialne i roszczenia narodowe, przesłaniał całkowicie świadomość wspólnego zagrożenia ze strony bolszewizmu. — W czasie wielkiego odwrotu armii polskiej latem 1920 r., Litwa podpisuje 12 lipca traktat pokojowy z Sowietami, który zawiera tajną klauzulę o przemarszu wojsk bolszewickich przez terytorium Litwy przeciwko Polsce. Mimo, iż jednocześnie istnieje formalnie komunistyczny rząd „Litewsko-Białoruskiej Republiki” bolszewickiej, roszczący

pretensje do tych samych terytoriów! („Lit-Bieł”). Ale Litwa przytrzymuje się polityki, którą uważa za „realną”, a która traktuje Polskę za większe zagrożenie niż zagrożenie komunistyczne. Jakikolwiek minimalne rozpoznanie istoty bolszewizmu, musiałoby unaocznić zupełną iluzoryczność tego rodzaju polityki. Jedynie zwycięstwo polskie pod Warszawą uchroniło Litwę przed włączeniem do Związku Sowieckiego już w r. 1920.

Po złamaniu przez Piłsudskiego polsko-litewskiego traktatu w Suwałkach z 7 października 1920 r., oraz zajęciu Wilna przez Żeligowskiego, Litwa w stosunku do Polski staje się notorycznym partnerem Sowietów. Wyłamuje się też z popieranego jakiś czas przez Zachód, antybolszewickiego „Cordon-sanitaire”, ponieważ główne ogniwo tego łańcucha stanowi Polska. — Ten stan przetrwał aż do drugiej wojny światowej, gdy wraz z upadkiem Polski Litwa, i inne Państwa Bałtyckie zagarnięte zostały przez Sowiety.

Białoruś zajęła jeszcze bardziej jednoznaczne stanowisko, gdy chodziło o wybór „raczej” po stronie bolszewickiej, a przeciw nacjonalizmom rosyjskiemu, a głównie polskiemu. Decydujący wpływ miał przytem radykalizm społeczny, który cechował białoruski ruch narodowy. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej, hasła rzucone przez białoruską „Hramadę” w praktyce nie różniły się prawie od bolszewickich haseł socjalnych. Za głównego wroga „Hramada” uznała: „polską reakcję i rosyjską kontrrewolucję”. Wprawdzie już 28 grudnia 1917 roku zwołany został do Mińska „Ogólnobiałoruski Kongres”, który powołując się na „Deklaracja” Lenina, żądał niepodległości, i niepodległość „Białoruskiej Republiki Narodowej” (BRN) istotnie została proklamowana 9 marca 1918 roku, — to jednak przeszła bez większego echa w kraju, zarówno ze względu na brak rozporządzalnej siły, jak indyferentyzm narodowy mas białoruskich. Po wycofaniu Niemców, bolszewicy zajęli 7 grudnia 1918 Mińsk bez żadnego oporu. Rada BRN uciekła do Kowna.

Gdy natomiast 30 grudnia 1918 r. tzw. „VI Kongres Komunistycznej Partii Północno-Zachodniego Kraju” przybrał nazwę „I Kongresu Komunistycznej Partii Białorusi” i proklamował utworzenie „Białoruskiej Socjalistycznej Republiki” w granicach obejmujących terytorium od Smoleńszczyzny po Augustów (uroczysta proklamacja nastąpiła 1.1.1919), znaczna część działaczy narodowego ruchu białoruskiego przeszła już otwarcie na stronę bolszewicką, a nawet wstąpiła do partii. Historyk białoruski J. Mienski tłumaczy to w ten sposób („Die Gründung der weissruthenischen SSR”, — Sowjetstudien, Nr 1, Monachium 1956):

„Przez długi czas należeli oni do narodowych organizacji, dążących do przeistoczenia Białorusi w państwo narodowe. Dla nich strona narodowa była decydującą w danym wypadku... Również białoruscy komuniści udzielali pierwszeństwa sprawie narodowej. W ten sposób wszakże, iż wyzwolenie narodowe usiłowali skoordynować z ideologią komunistyczną.”

Mamy, więc tu do czynienia nie tylko z pierwszym łańcikiem klasycznego „narodowego komunizmu”, ale i z argumentacją, która do dziś, po 43 latach, służyć będzie za wzór uzasadnienia „koordynacji komunizmu z interesem narodowym”, albo „stawiania sprawy narodowej ponad ideologiczną”.

Analogiczną też taktykę zastosował Lenin i w stosunku do emigracji białoruskiej. W czerwcu 1920 r., za pośrednictwem rządu łotewskiego, nawiązał tajne kontakty z Radą Białoruską w Kownie i zaprosił poufnie jej przedstawicieli do Moskwy. Zaproszenie zostało przyjęte; delegaci Rady udali się na tajne narady, które obracały się wokół utworzenia „niezależnej” Białorusi pod protektorem komunistycznej Moskwy. Od tej chwili w kołach białoruskich przeważać poczęło tzw. „realne podejście do sprawy narodowej”, uwieńczone niebawem szczytowym osiągnięciem taktyki leninowskiej w postaci pierwszego narodowego NEP-u.

Ukraina. — Pomijamy okres hetmana Skoropadzkiego, związany całkowicie jeszcze z okupacją niemiecką. — Z chwilą załamania Niemiec w listopadzie 1918, Skoropadzki podpisuje 14 listopada 1918 „Hramotę” o federacji Ukrainy z Rosją, usiłując w ten sposób znaleźć oparcie w walce z bolszewikami wśród antybolszewickich sił rosyjskich. W dwa dni później, 16 listopada, zostaje obalony przez ukraińskie lewicowe partie opozycyjne. Dnia 19 grudnia 1918 powstaje tzw., Dyrektoriat na czele którego staje Winniczenko obok Petlury. Ale w tym samym czasie wkraczają już na Ukrainę wojska bolszewickie w imieniu „Sowieckiej Socjalistycznej Republiki Ukraińskiej”. Dyrektoriat uchodzi do Równego na Wołyniu. Wytwarza się chaotyczna sytuacja, Ukrainę reprezentują trzy rządy jednocześnie: Dyrektoriat, marionetkowy rząd sowiecki, oraz prowizoryczny rząd ZUNR (Zachodnio Ukraińskiej Na-rodnej Republiki), ten ostatni zajęty przede wszystkim walką przeciwko Polsce o Lwów i Galicję.

W tej sytuacji Dyrektoriat stawia problem wprost: Z kim iść? Na kim się oprzeć? Na mocarstwach zachodnich, które doraźnie wspierają antybolszewicką Rosję, względnie Polskę, czy też z bolszewikami przeciwko Rosji i Polsce? Przewodniczący Dyrektoriatu, Winniczenko, opowiada się raczej za bolszewikami. Rozumowanie jego nie jest pozbawione znowuż tychże „narodowo-komunistycznych”, czy jeżeli wolimy: „narodowo realnych” argumentów, które wysunięte były przez działaczy białoruskich. Winniczenko tłumaczy: Państwa Antanty popierają Rosję kontrrewolucyjną i Polskę reakcyjną. W rezultacie Rosja i Polska podzielią Ukrainę między sobą, jak to było przed wiekami. Lepiej niech będzie Ukraina chociażby bolszewicka, aniżeli pod panowaniem Polski czy Rosji. Interes narodowy przed interesem ideologicznym.

Większość Dyrektoriatu opowiada się przeciwko „wszelkiej interwencji”, co w praktyce oznacza kompromis z bolszewikami. Jedynie Petlura wypowiada się raczej za sojuszem z Polską, przeciwko bolszewikom. Dochodzi do rozłamu, w wyniku którego Petlura ogłasza się „naczelnym atamanem Ukrainy”.

Tymczasem rząd ZUNR zawiera wprawdzie 6 listopada 1919 przejściowe porozumienie z Denikinem w Ziótkowiczach, podporządkowując mu swą „Ukraińską Galicyjską Armię” (UGA), ale już 12 stycznia 1920 r. przechodzi ona w całości na stronę bolszewików, przemianowując się po prostu z UGA na CUGA (Czerwona Ukraińska Galicyjska Armia).

W tym czasie przewodniczący Dyrektoriatu, Winniczenko, dołącza już jawnie do bolszewików. Ogłasza on Polskę za pierwszego wroga, i zostaje zastępcą przewodniczącego ukraińskiego Sownarkomu. (Przewodniczącym był wtedy znany K. Rakowski, stary bolszewik, mianowany następnie ambasadorem sowieckim w Paryżu, do r. 1928.)

Po stronie anty bolszewickiej pozostaje w praktyce jedynie Petlura. Podpisuje on 22 kwietnia 1920 tzw. „Pakt Warszawski” z Piłsudskim, stypulujący wspólne działanie przeciwko bolszewikom i wytyczenie przyszłych granic między Polską i Ukrainą. Ale oczekiwane spontaniczne opowiedzenie się ludności ukraińskiej po stronie Petlury zawiodło. Petlura rozpoczął wprawdzie formowanie dwóch dywizji, które miały walczyć w składzie 3 i 6 armii polskiej, nie odegrały jednak dużej roli. — Piłsudski nie dotrzymał „Paktu Warszawskiego”, w którym to obydwie strony zobowiązały się uroczyście do nie zawierania oddzielnego pokoju, i po nieudanej wyprawie Kijowskiej, taki pokój, jak wiadomo, zawarł z bolszewikami w Rydze. Późem nastąpiło rozbrajanie i internowanie — (podobnie jak w Estonii armii Judenicza) — oddziałów ukraińskich w Polsce. Protest Petlury zgłoszony w imieniu „Ukraińskiej Narodowej Republiki”, pozostał bez echa.

Piłsudski. — Naturalnie żadna ze stron zainteresowanych, nie przedstawia przebiegu wypadków w tym świetle, jak to czyni powyższy skrót. Każda wykazuje tendencję obarczania winą za to co było, inną stronę. Młode nacjonalizmy, wchodzące ongiś w skład historycznego polsko-litewskiego państwa, główne zarzuty kierują pod adresem Polski, a zwłaszcza jej ówczesnego kierownika, Piłsudskiego. Przeważnie jest w tym dużo niesłuszności, ale też i sporo racji. — Piłsudski przeszedł

do historii jako „romantyk” polityczny. Legenda ta zakorzeniła się nie tylko w Polsce, ale utrwałała również na Zachodzie. Jak wiele tego rodzaju legend wydaje się nie do obalenia. W istocie rzecz miała się raczej odwrotnie.

Piłsudski był nie za dużym, ale za małym „romantykiem”. Jego zwolennicy i apologety przyznają, iż nikt jego planów nie znał dokładnie, gdyż nie leżało w jego zwyczaju dzielić się nimi nawet z najbliższym otoczeniem. Działo się tak nie tylko dlatego, że raz uznany za geniusza, nie potrzebował się liczyć z otoczeniem, a wymagał jedynie ślepego posłuszeństwa od tych, którzy w ten geniusz wierzyli. Bardziej może dlatego, że przez całe życie przywykł działać w atmosferze spisku, konspiracji. Wyniesiony na piedestał męża opatrznosciowego, niewątpliwie sam głęboko wierzył we własne posłannictwo. Stąd pozwalał sobie w stosunkach z ludźmi na kostyczność ostrość i lekceważenie, drażniąc i zrażając tych, których powinien był zjednać. Dotyczy to przede wszystkim zachowania wobec przedstawicieli młodych nacjonalizmów, opanowanych obsesją jeszcze stanowo-społecznego kompleksu, a tym samym niezmiernie drażliwych na każdy przejaw pogardy. Piłsudski za bardzo sądził, że wszystko da się osiągnąć za pomocą faktów dokonanych, — „z rewolwerem w rękę”, jak to pisał 4 kwietnia 1919 w liście do Wasilewskiego. Ten jego przesadny „realizm” wykazywał jednocześnie głęboką nieznajomość psychologii ludzkiej. Stąd zupełna niezdolność rozpoznania m.in. i fenomenu bolszewickiego, opartego właśnie na psychologii mas.

Sprawę litewską chciał Piłsudski rozwiązać za pomocą konspiracji POW, czym przyczynił się do zatrucia atmosfery polsko-litewskich stosunków. W ciągu jednego roku 1920 złamał dwa traktaty, z Litwinami „Suwalski”, z Ukraińcami „Warszawski”. Zwłaszcza złamanie umowy Suwalskiej było zupełnie zbyteczne i tłumaczy się wyłącznie zamiłowaniem do skostniałych form konspiracyjnych. „Bunt Żeligowskiego”, jeżeli już chciał, dałby się skutecznie tymi samymi środkami i w tym samym czasie, bez narażania honoru Polski na szwank przez kładzenie podpisu pod traktat z przesądzonym z góry

zamiarem niedotrzymania go nazajutrz; w dodatku w odniesieniu do „bratniego” narodu... Ta niezmiennie przykra afery Suwalska, pokryta w Polsce częściowo zakłamaną, częściowo tramtadracką apologetyką, wystarczyłaby sama dla wykazania braku poczucia „romantyzmu” w działaniach Piłsudskiego. — Skończyło się na tem, że Piłsudski, który w przeciwieństwie do endeków wyciągał rzekomo braterską dłoń do Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, i dążył do współżycia na zasadach federacji, został przez nich znienawidzony i stał się symbolem „złej Polski” bardziej niż najzacieklejsi nacjonałści polscy.

Nie te jednak fragmenty polityki Piłsudskiego zaważyły znacznie na losach Europy wschodniej. Oceniając rzecz obiektywnie, można przypuszczać że gdyby nawet polityka Piłsudskiego na „wewnętrznej” linii, w stosunku do Litwinów, Białorusinów i Ukraińców była inna, w małym tylko stopniu potrafiłaby wpłynąć na „zewnątrzną”, w stosunku do bolszewików, postawę tych narodów. Albowiem zacierzwienie w dziedzinie interesów narodowych, połączenie radykalizmu narodowego z radykalizmem społecznym, narzucało powszechnie stosunek do bolszewizmu jako „mniejszego zła”, które można raczej wykorzystać do walki z sąsiednim nacjonalizmem. Otóż w tym właśnie fragmencie, najważniejszym w obliczu dziejowego przeobrażenia, Piłsudski nie tylko nie wyróżniał się odmienną koncepcją, ale przeciwnie, był tej powszechnej koncepcji przodującym wyrazicielem i pierwszym prekursorem utrwalonych do dziś poglądów.

Z jego błędnej diagnozy wynikała naiwna wiara, że wystarczy wystąpić ze sloganami narodowymi, aby Ukraina i ludy b. W. Ks. Litewskiego zjednoczyć „przeciw Rosji”. Tymczasem nie tylko przywódcy nacjonalizmu litewskiego woleli wówczas Rosjan od Polaków (pierwsze zadanie: „od-polszczyć Litwę!”), ale grający na radykalizmie społecznym przywódcy Białorusinów i Ukraińców licytowali się z bolszewikami w podżeganiu przeciw „panom polskim”. Jednocześnie zaś bolszewicy grali na hasłach niezależności narodowej o wiele skuteczniej od Piłsudskiego.

Chłopskie powstania i rozruchy antybolszewickie tamtych czasów miały charakter jednoznacznie kontrrewolucyjny. Wynikały z prostej, ludzkiej nienawiści do systemu. Nie potrafiły jednak wytworzyć syntezy ideologicznej, gdyż zainteresowani przywódcy narodowi wtłaczali je w sztuczne ramki ruchów nacjonalistycznych, którymi w istocie nie były. Natomiast bolszewicy, operujące tymi samymi sloganami odbierali im „wiatr z żagli”. Formuły skostniałe w walce z dawnym imperium rosyjskim, nie miały i nie mogły znaleźć zastosowania w walce z bolszewikami. Były anachroniczne.

„Jedynaja i niedielimaja”. — W tej fałszywej diagnozie istoty bolszewizmu, nacjonalizm rosyjski nie stanowił wyjątku. Rosyjska kontrrewolucja nie potrafiła zdobyć się na przeciwstawienie mu czegoś innego poza kryterium interesu ściśle państwowego. Hasło „jednej i niepodzielnej Rosji” przesłoniło rozpoznanie rzeczywistości do tego stopnia, że przywódcy „białego ruchu” byli raczej gotowi zrezygnować z pomocy antybolszewickich „separatystów”, niż w czymkolwiek uwzględnić ich roszczenia. — „Za pomoc w walce z bolszewikami — pisał Denikin — ani piędzi ziemi rosyjskiej!”

Minister Sazonow złożył w końcu roku 1918 przedstawicielom rządów państw zachodnich w Ekaterynodarze memoriał, w którym m.in. zaznaczał:

„Efemeryczne twory państwowe, które uzyskały pozory niezależności, nie mogą brać udziału w procesie oswobodzenia (od bolszewików) Rosji, dopóki nie zrzekną się swych pretensji do samodzielnego istnienia. Należy z dużą ostrożnością odnosić się do roszczeń Ukrainy, Donu, Litwy, Krajów Bałtyckich, Kaukazu...”

Rosjanie uznali jedynie za bezsporną niepodległość Polski („w granicach etnograficznych”). Ale już w stosunku do Finlandii wysuwano zasadnicze zastrzeżenia. W maju 1919, po uznaniu niezależności Finlandii przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone, Denikin pisał:

„Rosja odnosi się do tego przychylnie... Ale decyzja powzięta bez jej zgody, jest dla narodu rosyjskiego nie do przyjęcia."

Generał Judenicz, aby uzyskać pomoc w walce z bolszewikami dążył do bezwzględnego uznania Finlandii. Na to minister Makłakow: „Nie możemy go w tym zamiarze hamować, ale również nie możemy podtrzymywać." — Oświadczenie „najwyższego rządcy Rosji", admirała Kołczaka złożone mocarstwom Antanty w dniu 4 czerwca 1919 r., zawierało m.in. takie punkty:

3. ...uznanie Polski i nawet Finlandii; ale wytyczenie ich ostatecznych granic, odłożyć należy do zwołania Zgromadzenia Ustawodawczego.

4. ... Estonia, Łotwa, Litwa, Kaukaz — winny uzyskać autonomię zatwierdzoną przez Zgromadzenie Ustawodawcze."

Gdy Bratianu, w sierpniu 1919 zwrócił się do Denikina z propozycją, że Rumunia udzieli mu wszelkiej pomocy w walce z bolszewikami, w zamian za zrzeczenie się Besarabii na rzecz Rumunii, — Denikin wspomina z dumą: „Tego weksla nie podpisałem." — Podobnie odrzucił z góry propozycję pułk. Stryżewskiego, którą ten w imieniu, dosyć zresztą niepewnych sił ukraińskich, wysunął za pośrednictwem gen. Gerua w Bukareszcie, aby prowadzić wspólną walkę z bolszewikami bez przesądzania z góry rozwiązań politycznych. Denikin odpowiedział, że „walczy za jedną i niepodzielną Rosję. W jej granicach Ukraina może liczyć jedynie na uzyskanie autonomii. Jeżeli natomiast pragnie się oderwać, jest takim samym wrogiem jak bolszewicy."

Jakkolwiek więc w odróżnieniu od innych nacjonalizmów b. imperium, wszystkie partie rosyjskie poza skrajnie lewicowymi, uważały bolszewików za „bandę morderców i bandytów", odmawiały każdego z nimi kompromisu, oraz odrzuciły stanowczo wysunięty 12 stycznia 1919 przez Wilsona i Lloyd George'a projekt rokowań z bolszewikami — (Nawet perswazję

lorda Curzona: „Rozmawiać z rozbójnikami, nie oznacza przecie uznawać rozboju.”) — mimo groźby cofnięcia pomocy zachodniej, to jednak w zasadzie zachowały podobnie do innych nacjonalizmów, prymat interesów narodowo-państwowych przed interesem wspólnego zwalczania „zarazy bolszewickiej”. Trzymano się kurczowo programu: „Przywrócenie całkowitego status quo... za wyjątkiem ziem mających odejść do Polski.”

„Ale — pisze Denikin w swych wspomnieniach już na emigracji — gdybyśmy nawet uznali roszczenia niepodległościowe wszystkich tych narodów, czy takie uznanie pobudziłoby je do ofiar w walce o uwolnienie Rosji? (Nazwijmy to konkretniej: zniszczenia ośrodka powszechnego zagrożenia.) Dalsze dzieje mówią nam co innego.”

Istotnie, wydaje się iż sceptycyzm Denikina co do tego, jest bardziej niż uzasadniony, a powołać się nań mógłby z tym większą słusnością, gdyby był dożył do dni dzisiejszych.

Teoria o „ewolucji komunizmu” z przed 43 lat! — W tej krótkiej relacji pomijamy ówczesne stanowiska państw Antanty, które dziś występują pod mianem „mocarstw zachodnich”. Byłyby to analogie nazbyt stereotypowe. Polityka Lloyd George’a i polityka dzisiejszej W. Brytanii, polityka późniejszego Roosevelta i dzisiejszego Kennedy, polityka ówczesnego i późniejszego Bevina („Ręce precz od Rosji!”); wężenie wówczas w antykomuniźmie „reakcji”, jak dziś „fasyzmu”, to są już powtórzenia banalne.

Nie można się jednak powstrzymać od przytoczenia fragmentu, mogącego zainteresować polrealistów, którzy jednomyślnie dziś popierają pomoc amerykańską dla komunistycznego rządu Gomułki pod szyldem „pomocy dla narodu polskiego”. I to już było! W asyście identycznych prawie sloganów, identycznych spekulacji politycznych ...

W końcu roku 1919, czyli w okresie trwających jeszcze walk z bolszewizmem, Lloyd George znosi nagle blokadę Sowietów, postanawia nawiązać stosunki handlowe z komunistami i udzielić im pomocy gospodarczej pod pretekstem nawiązania

kontakty z „narodem rosyjskim”, oraz „pomocy narodowi rosyjskiemu”. Był to niewątpliwy cios zadany siłom antybolszewickim w ich ciężkiej walce o wolność. O tych postanowieniach donosi z Londynu min. Makłakow w liście do Denikina:

„. . . Ale co ważniejsze, że mnóstwo Rosjan uważa za „przestępstwo” nie poparcia decyzji Lloyd George’a. Twierdzą oni, że dopóki wyzwolenie Rosji zdawało się bliskie, blokada mogła być utrzymana. Skoro jednak wyzwolenia nie osiągnięto, dalsze utrzymanie blokady byłoby „przestępstwem wobec narodu rosyjskiego”... Jeżeli zaś chodzi o polityczne sfery zachodnie, to są one zdania że nawiązanie stosunków z Sowietami, przez sam fakt kontaktu ich z zagranicą, może wpłynąć na zmianę istoty bolszewizmu, na jego przeobrażenie
...”

Widzimy z tego, że nawet współczesna teoria o „ewolucji komunizmu” i wpływie jaki na tę ewolucję wywrzeć może pomoc gospodarcza Zachodu, nawiązanie kontaktów i „wymiana kulturalna”, — uważana dziś przez niektórych za ostatni krzyk mody politycznej — jest w istocie stara jak sam bolszewizm, i odrzeczana z koncepcji powstałych już nieomal pół wieku temu.

*

Przyczyn ostatecznego zwycięstwa bolszewizmu było naturalnie wiele. Na tym świecie żadna rzecz nie powstaje z jednej przyczyny, lecz z wielorakiej ich sumy. Zapoznaliśmy

czytelnika z rolą, jaką w tym łańcuchu przyczyn i skutków, odegrały racje widziane pod kątem wyłącznie interesów narodowych. Poniżej spróbuje przedstawić fragment z tego łańcucha najdonioślejszy. Nie tylko dlatego, że walczył przyczynił się on do uratowania międzynarodowego komunizmu w momencie najbardziej dlań krytycznym. Ale też dlatego, że mimo odległości lat, wpłynął pośrednio na ukształtowanie mentalności i poglądów dzisiejszego polrealizmu.

Mikaszewicze

Przedstawiony poniżej przebieg wypadków nie jest znany na ogół większości czytelników polskich, gdyż tradycyjnie nasświetlany był wyłącznie pod kątem uważanym wówczas za „polską rację stanu” i za „polski interes narodowy”. W rzeczywistości było tak:

Kołczak. — Za wodza wszystkich sił antybolszewickich w Rosji uznany został admirał Kołczak, rozporządzający w końcu roku 1918 i początkiem 1919 największą siłą militarną, zgrupowaną w zachodniej Syberii. Wiosną 1919 rozpoczął on wielką ofensywę w ogólnym kierunku na Wołgę. Po jej sforsowaniu zamierzał iść na Moskwę. — W tym czasie wybuchają powstania antybolszewickie w Homlu, Symbirsku i Samarze. 14 marca Kołczak zajmuje Ufę. Źródła sowieckie („Istoria Graždanskoj Wojny”) przyznają:

„Sytuacja naszych wojsk komplikowała się wskutek kucłackich buntów na naszych tyłach, które przecinały połączenia, niszczyły koleje.”

Bolszewicy wyteżyli wszystkie siły aby zahamować ofensywę Kołczaka i odrzucić go z powrotem za Ural. Dnia 29 maja 1919 r. Lenin depeszuje do „Rewolucyjnego Sowietu Wschodniego Frontu”:

„Jeżeli do zimy nie opanujemy Uralu, uważam klęskę rewolucji za nieuniknioną!” — (Lenin, „Soczinienija”, t. 35, str. 330.)

Tymczasem fala powstań antybolszewickich narasta. Mnożą się spiski i tajne kontrrewolucyjne organizacje. Wybuchają strajki, zamachy i bunt. Zwiększa się dezercja z armii czerwonej; niektóre oddziały w całości przechodziły na stronę białych. Dnia 31 maja 1919 Lenin i Dzierżyński podpisują odezwę wzywającą ludność do „czujności”, donosów i itd.; rozpętany zostaje terror o niebywałych dotąd rozmiarach. W nocy na 14 czerwca „Czeka” dokonała masowych obław w Petersburgu; rzekomo znaleziono wielką ilość ukrytej broni i amunicji. Następują masowe rozstrzeliwania ludzi posądzanych o sprzyjanie kontrrewolucji. Mimo tej atmosfery strachu i terroru, antybolszewicka organizacja, tzw. „Centrum Narodowe”, pod wodzą porucznika Nekliudowa, chwyciła za broń opanowując główny fort na dostępach do Petersburga, Krasnaja-Gorka. Na stronę powstańców przeszła znaczna część sowieckiej załogi, a wkrótce forty Sieraja-Łoszad i Obruczew. W 7 armii sowieckiej wybuchły rozruchy anty-bolszewickie. Kronsztad! znalazł się pod ostrzałem zbuntowanych fortów. Powstańcy oczekiwali lada chwila interwencji ze strony floty brytyjskiej, pomocy ze strony Finlandii, Estonii i gen. Judenicza. Ale pomoc z nikąd nie nadeszła, a Judenicz, sam walcząc z trudnościami, spóźnił się. Bolszewicy zdławiли powstanie i zdążyli wszystkie siły obrócić przeciw Koczakowi.

W ryzach doktryny. — Piłsudski, całe swe życie poświęciwszy walce z carską Rosją, z właściwym dla polityków o jednostronnej rutynie uporem, był najdalszy od poddania rewizji starej doktryny. Fenomenowi rewolucji bolszewickiej nie rozumiał. Traktował ją po prostu jako osłabienie Rosji, zaś obalenie bolszewizmu przez kontrrewolucję, jako jej potencjalne wzmocnienie. Stąd stawiał na Rosję „słabszą”, a więc stanowiącą mniejsze zagrożenie dla Polski. Pewną rolę musiały też odegrywać momenty emocjonalne. Zapewne musiał odczuwać odrazę na samą myśl wspierania b. carskich generałów przeciwko rewolucjonistom, do których przez całe życie sam się zaliczał. Łączyły go też ścisłe więzy z PPS, czyli kierunkiem narodowych socjalistów, pokrywającym się w

pewnym sensie z lewicowo-radykalnym nacjonalizmem sąsiadów.

W połowie maja 1919 roku przybywa do Warszawy, wysłany z tajną misją przez Lenina, najwybitniejszy wówczas komunista polski, Julian Marchlewski. Zostaje dobrze przyjęty w kołach PPS i w bliskim otoczeniu Piłsudskiego. Konferuje z ówczesnym wiceministrem spraw wewnętrznych Józefem Beckiem, Tadeuszem Hołówką etc. Dziś nie może ulegać wątpliwości, że już wtedy musiała zapaść ostateczna decyzja co do tego, której „z dwóch Rosji” należy życzyć zwycięstwa. Piłsudski stawia na „Rosję czerwoną”, na bolszewików. W chwili, gdy Lenin rozpoczyna decydującą kontrofensywę przeciwko Kołczakowi, na łamach naczelnego organu PPS, „Robotnika”, pojawia się długa seria znamienych artykułów:

„Kołczak nie został uznany przez Koalicję!” (Nr 201, z 29. 5. 19); „Kołczak i Denikin łączą się” (Nr 202, z 30.5.); „Jeszcze o Kołczaku” (Nr 203, z 31.5.); „Ameryka nie uznaje Kołczaka” (Nr 206, z 3.6.); „Kołczak działa” i „O Kołczaku” (Nr 207, z 4. 6.).

A więc dzień po dniu. Następne artykuły ukazują się w dniach 11, 12, 15 i 16 czerwca. Aż wreszcie programowy artykuł Tadeusza Hołówki w dniu 17 czerwca 1919 r. pt. „Widmo caratu”.

O wszystkich tych i późniejszych artykułach, pisze obecnie komunista polski, Józef Sieradzki:

„Sprawa nie schodziła dosłownie ze szpalt naczelnego organu PPS, co świadczy o całej akcji publicystycznej, co najmniej inspirowanej przez Juliana Marchlewskiego... Uchwytujemy tu bez wątpienia wątki rozmów warszawskich Marchlewskiego z ludźmi, z którymi się spotykał... Tak czy owak, widmo kontrrewolucyjnej Rosji dla wskrzeszonej Polski, a także logika argumentacji sprawiała, że Piłsudski „pozwalał im na kontynuowanie jego (Marchlewskiego) dzieła”, a po pewnym czasie władze polskie wydelegowały oficera mającego

towarzyszyć Marchlewskiemu, udającemu się do Lenina w celu odbycia z nim narady." — („Przegląd Kulturalny", Warszawa, I. 1958.)

W tym czasie wojska polskie stoją na linii Berezyny. Działania wojenne zacięły prawie zupełnie. — Wydana przez 2. Korpus Polski w Rzymie 1945 r. broszura pt. „Polska, a kapitalistyczna interwencja w stosunku do ZSRR", pochwała tę decyzję Piłsudskiego, pisząc (str. 16):

„Wojska polskie zatrzymują się mimo jak najbardziej sprzyjającej sytuacji dla kontynuowania dalszej ofensywy. Głównym powodem tego zatrzymania było głębokie uświadomienie sobie przez ówczesny rząd polski i polską myśl społeczną przekonania, że dalsza ofensywa polska mogłaby w dużym stopniu przyczynić się do zwycięstwa kontrrewolucji rosyjskiej... Polska, jak to świadczą dokumenty, uczyniła wiele by ułatwić sytuację czynnikom rewolucyjnym rosyjskim w zduszeniu kontrrewolucji reakcyjnej i zapewnić zwycięstwo czynnikom politycznym, które uważała za postępowe."

W maju i czerwcu 1919 udało się wprowadzić bolszewikom odeprzeć ofensywę Kołczaka i odrzucić jego wojska na wschód od Wołgi, ale już po kilku tygodniach narasta nowe, tym razem śmiertelne niebezpieczeństwo dla bolszewizmu, od południa. Istnienie dzisiejszego centrum międzynarodowego komunizmu, zawisło wówczas, rzecz można na włosku. Wystarczyłoby ten włoszek przeciąć, a runęłoby w przepaść na zawsze...

„Najkrytyczniejszy moment socjalistycznej rewolucji!" — Tak właśnie nazwał Lenin ówczesną sytuację. („Soczinienija", t. 29, str.402.)

W czerwcu 1919 Denikin zdobywa Charków, Carycyn (Stalingrad-Wołgograd), Ekaterynosław. Kozacy nad Donem chwytają za broń. Prawie wszędzie na tyłach armii sowieckiej wybuchają powstania chłopskie. Na Ukrainie operują bandy Machno, Grigorjewa i in. Dnia 4 lipca 1919 rozpoczyna się wielka ofensywa Denikina w głównym kierunku na Kursk—

Orzeł—Tulę—Moskwę. Dnia 9 lipca Lenin ogłasza swe słynne wezwanie:

„Wszystko do walki z Denikinem! Wszystkie siły robotników i chłopów, wszystkie siły sowieckiej Republiki winny być rzucone dla odrażenia Denikina!...”

29 lipca Denikin zajmuje Połtawę; w sierpniu uwalnia od bolszewików Nikołajew, Chersoń, Odessę; 10 sierpnia konny korpus gen. Mamontowa przerywa front i zajmuje Tambów;

31 sierpnia Denikin zajmuje Kijów. W Sarańsku wybucha bunt antybolszewicki w sowieckim konnym korpusie Mironowa. Dnia 12 września Denikin wydaje rozkaz marszu na Moskwę i zdobywa Kursk; 6 października Woroneż; 13-go Orzeł. W tym samym czasie Judenicz ponawia atak na Petersburg. Lenin pisze:

„Nigdy jeszcze wróg nie był tak blisko Moskwy, nigdy jeszcze nie był tak blisko Piotrogradu!” („Soczin.” t. 30, str. 30.)

W Petersburgu, Penzie, Saratowie i samej Moskwie powstały liczne spiski antybolszewickie. Dnia 25 września rzucone zostały bomby w czasie posiedzenia moskiewskiego komitetu partyjnego, które zabiły 12 wybitnych członków partii. Lenin i Dzierżyński odpowiada krwawym terrorem, który zaćmił poprzednie. — Do października 1919 Denikin uwolnił od bolszewików 18 guberni! i okręgów, łącznie 810 tys. kw. wiorst o ludności ca 42 miliony.

Ale już poczynszy od 25 września, bolszewicy wycofują z frontu polskiego, najpierw „Łotewską Dywizję”, później brygadę Pawiowa i nowosformowaną kawalerię „czerwonego kozactwa”, i rzucają na odcinki najbardziej zagrożone. — Wojska polskie, na rozkaz Piłsudskiego, stoją z bronią u nogi.

Zamiast „Mozyrza” — „Mikaszewicze”. — W wytworzonej sytuacji strategicznej, Denikin zaproponował

Piłsudskiemu, aby wykonał uderzenie w ogólnym kierunku na Mozyrz z wyjściem na prawy brzeg Dniepru. Nie będziemy omawiali projektowanej operacji w szczegółach. Rzut oka na mapę ówczesnych frontów wystarczy aby się przekonać, iż byłby to cios śmiertelny zadany w bok prawego skrzydła głównych sił sowieckich. W ten sposób cała 12 armia sowiecka utrzymująca front przeciw Polsce, od Białorusi po Wołyń, znalazłaby się w potrzasku i ulegała zniszczeniu. Jednocześnie zwolnione zostałyby wojska polskie na odcinku południowym i zabezpieczone lewe skrzydło armii Denikina. Ostateczna klęska bolszewików, byłaby nieunikniona.

Piłsudski zdawał sobie z tego w zupełności sprawę, pisząc:

„Uderzenie na bolszewików w kierunku na Mozyrz niewątpliwie mogłoby się stać momentem decydującym... Polska na froncie poleskim miała dostateczną ilość sił, by takie uderzenie wykonać.” — (Por.: Kutrzeba: „Wyprawa Kijowska”).

Dlaczego nie zostało wykonane? Tłumaczy to sam Piłsudski:

„Współpraca z Denikinem w jego walce z bolszewikami nie odpowiada polskim interesom państwowym... Podstawą polityki naczelnika Państwa Polskiego jest fakt, że nie chce dopuścić, aby rosyjska reakcja zatriumfowała w Rosji. I dlatego będzie on robić wszystko, by do tego nie dopuścić.”

Zamiast zniszczenia głównej siły bolszewickiej, zaszło coś odwrotnego: wojska polskie nie ruszają się, a bolszewicy wyciągają z frontu polskiego 43 tysiące żołnierza i całą 12 armię, która po prostu robi zwrot w tył i całym ciężarem runie na lewo skrzydło rosyjskich wojsk antybolszewickich... A oto jak do tego doszło:

Za pośrednictwem Marchlewskiego Piłsudski utrzymywał stały kontakt z Leninem. Rzecz była zachowana w największej tajemnicy, jak to zresztą leżało w konspiracyjnych zamiłowaniach Piłsudskiego. W pierwszej dekadzie lipca 1919, Marchlewski ponownie przybywa do Polski. W Białowieży

nastąpiło spotkanie z pełnomocnikiem Piłsudskiego, hr. Kosakowskim. Bliższe szczegóły tych narad nie są znane. Musiało jednak dojść do zasadniczego porozumienia, że Polska nie wesprze antybolszewickich sił rosyjskich. Marchlewski wraca z tym do Moskwy. W początku października 1919 jest już z powrotem w Polsce. Tym razem jako oficjalny, choć tajny, wysłannik rządu sowieckiego. Pełnomocnictwo wystawione mu przez „Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych RSFSR” nr 11/853, podpisane jest przez ludowego komisarza Cziczierina dnia 4 października 1919 r. Ze strony Piłsudskiego występuje kapitan Ignacy Boemer, późniejszy attache w Moskwie (1924/25), a następnie minister poczt i telegrafów w Warszawie. Jakąs rolę pośrednika odegrywa również dziennikarz, w wojsku porucznik, M. Birnbaum. Na miejsce tajnych rokowań wyznaczono Mikaszewicze, małą miejscinę na Polesiu. O tych rokowaniach napisze później sam Marchlewski („Rosja Proletariacka a Polska Burżuazyjna”, Moskwa, 1921):

„W czasie rokowań mikaszewickich położenie Rosji Sowieckiej poprawiło się znakomicie... Judenicz został rozbity, Denikin również. Kołczak odparty daleko na wschód...”

Istotnie, zawdzięczając przyjaznej neutralności Piłsudskiego, udało się bolszewikom zgromadzić wszystko rozporządzalne siły do rzucenia ich przeciwko Denikinowi. Już w końcu października odzyskują Orzeł, w listopadzie zajmują Kursk i Czemihów, w grudniu wypierają białych z Charkowa i Kijowa. — Tymczasem Marchlewski, otrzymawszy dyrektywy od Piłsudskiego udaje się do Moskwy i 21 listopada 1919 wraca do Mikaszewicz z odpowiedzią Lenina „precyzującą stanowisko radzieckie we wszystkich sprawach objętych oświadczeniem Piłsudskiego”.

Piłsudski nie byłby urodzonym konspiratorem, gdyby w międzyczasie nie wysłał jednocześnie polskiej misji do Denikina. Przybywa ona do Taganrogu 13 września 1919, w składzie gen. Kamickiego, Iwanickiego i mjr Przeździeckiego.

Cel tej misji nie jest jasny. Być może miała wysondować prawdziwe zamiary i postawę polityczną Denikina. Raczej jednak właściwym jej celem było uspienie ewentualnych podejrzeń, a także odwrócenie uwagi tych kół mocarstw zachodnich, które popierały Denikina. W każdym razie Karnicki wyraźnie grał na zwłokę, a na pytania: dlaczego Piłsudski nie rusza?, — dawał wymijające odpowiedzi. Tymczasem sytuacja antybolszewickich sił rosyjskich pogarsza się katastrofalnie.

26 listopada 1919 Denikin wysłał osobiste pismo do Piłsudskiego, prosząc go o pomoc w imię wspólnej sprawy, w obliczu zagrożenia bolszewickiego. Jest to właśnie dzień, w którym kpt. Boerner składa raport Piłsudskiemu o Wynikach rokowań mikaszewickich, oraz treść odpowiedzi Lenina. Indagowany przez misję zachodnie, Piłsudski oświadcza, że „nie ma z kim rozmawiać, bo i Kołczak i Denikin, to reakjoniści i imperialiści”. — A bolszewicy zwyciężają na całym froncie wojny domowej. — Jak dokładnie konspiracja była zachowana i jak wielka była dezorientacja dowództwa rosyjskiej, antybolszewickiej tzw. „Armii Ochotniczej”, świadczy memoriał gen. Wrangla jeszcze 25 grudnia 1919, w którym proponuje on zerwać z dotychczasowym oparciem o Kozaków, — (którzy pod wpływem propagandy nacjonalistycznej [„separatystycznej”] coraz częściej odmawiają walki poza granicami własnego obszaru) — a oprzeć się całkowicie o Polskę... — Na ponawiane prośby o pomoc, Piłsudski oświadcza w styczniu 1920 r., że być może będzie mógł udzielić pomocy na wiosnę... Brzmi to jak szyderstwo, gdyż w międzyczasie następuje agonía wszystkich antybolszewickich „sił południa Rosji”. Niedobitki chronią się na Krym.

Najkrytyczniejsza chwila Polski. — Piłsudski dokonał wyboru. Katastrofalne skutki tego wyboru są znane. Bolszewicy po rozgromieniu armii białych, wszystkimi siłami runęli na Polskę i w pół roku później, już nie egzystencja bolszewizmu, a z kolei los Polski zawisł na włosku. Tenże sam Julian Marchlewski, wczoraj jeszcze pośrednik tajnego porozumienia pomiędzy Piłsudskim i Leninem, staje teraz na rozkaz Lenina, na czele

pierwszego komunistycznego rządu polskiego („Tymczasowy Komitet Rewolucyjny”), do którego wchodzi ponadto Feliks Dzierżyński, Feliks Koń, Edward Pruchniak, oczekując w Białymstoku na zdobycie Warszawy, aby przeistoczyć Polskę w to, w co zostanie przeistoczona 25 lat później, 1945 roku.

Czego Piłsudski, tak samo zresztą jak Denikin, jak inni ówcześni przywódcy narodowi, a dziś ich epigoni reprezentujący tzw. „realnych polityków” — nie rozumiał i nie rozróżniał, to jest: nie-równorzędność płaszczyzn zachodząca pomiędzy bolszewizmem i Rosją, jak zresztą każdym innym państwem na świecie; a wykluczająca wybór w tej samej płaszczyźnie np. pomiędzy „Rosją białą” i „Rosją czerwoną”. Albowiem treść, czy to rozgrywki, czy porozumienia, odbywa się w danym wypadku w różnych poziomach. Treścią stosunku do bolszewizmu nie może być zagadnienie takiego, czy innego terytorium, takiej czy innej granicy. Lenin bynajmniej nie dążył do „inkorporowania” Polski do państwa sowieckiego, lecz do opanowania Polski dla przemarszu przez nią, celem opanowania innych krajów dla rewolucji bolszewickiej. Doraźnym celem marszu w roku 1920 była nie Warszawa, a Berlin. Słynne jest powiedzenie Lenina:

„Berlin jest kluczem do Europy. Kto posiada Berlin ten posiada Europę. Kto posiada Europę, ten posiada świat.”

Już 20 czerwca 1920 r. omawiano w Moskwie plany organizacji „Sowieckiej Polski”, „Sowieckich Niemiec”, „Sowieckich Węgier” i „Sowieckiej Finlandii”. Dnia 2 lipca 1920 r., rozpoczynając wielką ofensywę, Tuchaczewski ogłosił swój znamienity rozkaz do podległych mu dwudziestu dywizji uderzeniowych:

„Na Zachodzie rozstrzygnie się los Rewolucji Światowej! Poprzez trupa Polski wiedzie nas droga do powszechnego pożaru światowego! Naprzód, na Mińsk — Wilno — Warszawę!”

Rozkaz Rewwojensowietu frontu, za nr L. 1847 z dnia 20 lipca 1920 głosi:

„Żołnierze Czerwonej Armii, pamiętajcie, że front zachodni, jest frontem światowej rewolucji!”

Dnia 19 sierpnia 1920, C. K. partii bolszewickiej wydał odezwę podpisaną przez Lenina, Krestyńskiego, Trockiego, Stalina i Bucharina:

„W związku z wszechświatowym historycznym znaczeniem polskiego frontu, C. K. uważa siebie za uprawnionego wezwać wszystkich komunistów świata do heroicznego wysiłku!”

Polska znalazła się na skraju przepaści. Piłsudski, który onegdaj jeszcze oskarżał Denikina i Kołczaka o „imperializm i reakcyjność”, wygrywając niejako przeciwko nim lewicowe sympatie Zachodniej Europy, teraz sam stał się celem ataków ze strony europejskich „postępowców”. 6 sierpnia 1920, sekretarz brytyjskiej Labour Party, Henderson, ostrzegał z naciskiem przed jakimkolwiek popieraniem Polski; 10 sierpnia Ernest Bevin, przewodniczący brytyjskiego związku transportowców, protestował przeciwko wysyłaniu do Polski broni i amunicji; opanowane przez lewicowe partie Niemcy i Czechosłowacja, odmówiły tranzytu sprzętu wojennego; robotnicy portowi w Gdańsku odmówili wyładowania amunicji; rząd czeski w Pradzie nie zezwolił na przemarsz 30 tysięcy kawalerii węgierskiej w pomoc Polsce, i itd. itd.

Wiadomo, że prawie tylko „cudem” udało się powstrzymać nawałę bolszewicką i rozbić ją w bitwie pod Warszawą. Nie w „cudzie” jednak leżał załazek przyszłego dramatu, — jak to na łamach „Izwestij” kpił sobie Karol Radek: „Nie jest dobrze polegać na cudach, albowiem wszelkie cudy mają tę właściwość, że się na zamówienia nie potwarzają...”, — a w tym, że z tego wielkiego doświadczenia nie wyciągnięty został właściwy wniosek. Zwycięska bitwa pod Warszawą uchroniła Polskę i Europę, odroczyła zalew komunizmu na lat przeszło 20. Stąd lord d'Abemon, gdy wypowiadał swą słynną sentencję, zaliczając bitwę warszawską do „18 decydującej bitwy w

dziejach świata", miał oczywiście słuszość. Ale czy sam Piłsudski, który stał wtedy na czele zwycięskich wojsk polskich, podzielał istotne znaczenie sentencji lorda d'Abemona? Wydaje się, że nie.

„Tajemnica” traktatu Ryskiego. — Lord d'Abernon w "Eighteenth Decisive Battle of the World" tak określa cele polityki sowieckiej w r. 1920:

„Jedyną ich wiarą, była wiara w zniszczenie istniejącego porządku, jedyną ich polityką, to chęć zniweczenia wszystkiego, co jest zgodne z naszymi pojęciami... Trudno jest ocenić względną ważność wydarzeń z dziesiątego i siedemnastego stulecia w zestawieniu z bitwą pod Warszawą w naszych czasach, ale można z całą pewnością przypuszczać... że gdyby armie sowieckie przełamały opór Polaków i zdobyły Warszawę, bolszewizm byłby z pewnością zapanował w całej Europie...”

Inaczej Piłsudski. Istniała ogromna różnica w pojmowaniu celów prowadzonej wojny, pomiędzy Piłsudskim i Leninem.

Piłsudski usiłował wojnie z bolszewikami, wbrew oczywistym faktom, nadać charakter narodowy, na wskroś bilateralny, sprowadzić do sprzeczności interesów państwowych; obrony interesów polskich i tylko polskich. Odbierał jej przeto charakter ideologiczny, integralnej walki z „zarazą bolszewicką”. Lenin ujmował ją dialektycznie. Dla niego nie była to wojna narodowo-państwowa a wojna rewolucyjna. Stosunek do Polski był sprawą podrzędną i schodził niejako na plan drugi. Nie był to konflikt pomiędzy państwami, lecz integralna walka z ustrojem kapitalistycznym wszystkich państw świata. A zatem rozgrywka nie bilateralna, lecz globalna. Identyczną interpretację spotykamy we wszystkich wypowiedziach leaderów bolszewickich, nie tylko Lenina, ale i Trockiego, Zinowjewa, Stalina, Kamieniewa etc. Nie chodzi im o Polskę, chodzi o rozdmuchanie rewolucji w całej Europie. Tuchaczewski w swej książce pt. „Pochód za Wisłę”, wyraźnie przyznaje, że wojna sowiecko-polska traktowana była jako

środek rewolucyjnego opanowania całej Europy zachodniej. L. Diegtiarow w swej pracy: „Politrabota w krasnej armii” (Moskwa 1930), pisze:

„Szczególnie ważny wpływ na międzynarodowy ruch rewolucyjny miał nasz pochód na Warszawę w 1920. Pociągnął on za sobą polityczny kryzys w Europie i współdziałał z rozwojem ruchu rewolucyjnego. Naskutek powodzeń czerwonej armii powstały w Anglii „Komitety Akcji”, w Italii robotnicy poczęli zagarniać fabryki i zakłady przemysłowe, całe Niemcy zakotłowały się. Nie było chyba kraju, w którym robotnicy i chłopci nie śledziliby ze zdenerwowaniem i pełni nadziei powodzenia wojennego armii czerwonej. Przeciwnie znów: porażka czerwonej armii pod Warszawa, pociągnęła za sobą klęskę klasy robotniczej w całym szeregu państw.”

Marchlewski — (którego z obiektywną ścisłością określić możemy, jako niedoszłego wówczas poprzednika Bieruta i Gomułki) — w pracy swej pt. „Wojna i Pokój” (1921) w ten sposób, z punktu bolszewickiego logiczny, wyklada:

„Kiedy wojna jest prowadzona pomiędzy dwoma państwami tego samego typu społeczno-ustrojowego, np. pomiędzy państwami kapitalistycznymi, wchodząca na terytorium przeciwnika armia organizuje „władzę okupacyjną”* w celu administracyjnym... Inaczej rzecz się ma, gdy wojnę prowadzą dwa państwa innego typu ustrojowego. W tym wypadku armie wchodzące na teren przeciwnika... siłą konieczności niszczą istniejący w okupowanym kraju ustrój społeczny. Czerwona armia państwa proletariackiego, wchodząc do Polski burżuazyjnej, niszczyła ustrój burżuazyjny i wymiałała śmieci kapitalizmu, niszczyła prawa własności, wprowadzała system sowieców...”

Temu kryterium globalnego przewrotu Piłsudski usiłował przeciwstawić partykularyzm interesów polskich, podkreślając z naciskiem brak jakiegokolwiek ich łączności z interesami międzynarodowej, anty bolszewickiej interwencji. — Analogia z dzisiejszym polrealizmem rzuca się w tym wypadku w oczy.

Nie mniejszej analogii dopatrzyć się można w optymizmie, pomniejszającym fenomen niebezpieczeństwa bolszewickiego. W wywiadzie z londyńskim "Times" z dnia 14 lutego 1920, Piłsudski oświadcza:

„Nie sądzę, ażeby propaganda bolszewików stanowiła niebezpieczeństwo dla tych, którzy ich znają.”

A powinien był raczej powiedzieć: „Niebezpieczeństwo propagandy bolszewików ocenić mogą w całej pełni dopiero ci, którzy ich znają...” Widzimy więc, że uporu z jakim Piłsudski reprezentował sztywność anachronicznych poglądów, nie zdołały przełamać nawet doświadczenia.

W takich to okolicznościach i atmosferze, po wygranej bitwie warszawskiej, dochodzi do podpisania traktatu pokojowego z bolszewikami w Rydze. Jest on zaprzeczeniem „idei federacyjnej Piłsudskiego”. Wszyscy są zdumieni: Jakże to?! Piłsudski, naczelnik państwa, który robił dotychczas co chciał, nie licząc się z większością swych oponentów decydował o losach wojny i Polski, skapitulował nagle na rzecz tych oponentów, właśnie w chwili gdy autorytet jego, zwycięskiego wodza, doszedł chyba do zenitu?!... Pytanie to pozostaje dotychczas zagadką, nękającą jego stronników i apologetów. Próby zrzucania winy na „intrygi opozycji” i „niedojrzałość społeczeństwa”, nie tłumaczą niczego, albowiem „niedojrzałość” i „intrygi” były też przedtem. Jeden z bezwzględnych wielbicieli Piłsudskiego, pisał jeszcze kilka lat temu:

„Wydaje się, że nikomu z dotychczasowych biografów Piłsudskiego nie udało się rozwiązać tajemnicy; dojść źródła Jego wówczas psychicznej rezerwy...”

Rzecz w tym, że armie bolszewickie nie tylko zostały rozbite pod Warszawą, ale w dalszym ich odwrocie poszły prawie w rozsypkę. Droga dla zwycięskiej armii polskiej stała otworem. I oto mamy do czynienia z ponownym, tajemniczym ich zatrzymaniem na ćwierć drogi. Piłsudski sam wypowiedział się

na ten temat raz tylko, w odczycie wygłoszonym w Wilnie 24.4.1923 r.:

„Armia bolszewicka była wtedy tak doszczętnie rozbita na całej linii frontu, że nie miałem żadnej przeszkody w tym, aby sięgnąć tak daleko, dokąd bym zechciał. To, co mnie powstrzymało był brak moralnej siły w narodzie.”

To, raczej mgliste powołanie się na raczej niekonkretną przeszkodę, z trudem zaledwie pokrywa się z pośpiechem, z jakim Piłsudski już 12 października 1920 roku zawiera z tymi doszczętnie rozbitymi bolszewikami „pokój prowizoryczny”, zatrzymując dalszy pochód swych wojsk. Otóż ten „pokój prowizoryczny” podpisany w Rydze (formalny zawarty został dopiero 18 marca 1921) wydaje się stanowić istotny klucz do całej zagadki. Albowiem rozgromienie bolszewików przez Polskę w jesieni 1920, w znacznym stopniu przywróciło sytuację z jesieni 1919.

Podobnie jak w jesieni 1919 generał Denikin, tak teraz gen. Wrangel, który w kwietniu 1920 objął naczelne dowództwo na Krymie nad garstką niedobitków białej armii, przechodzi do ofensywy. Wprawdzie rozporządza względnie słabymi siłami, ale może skorzystać właśnie z klęski bolszewików w Polsce. Poza tem jego mała armia została zreformowana i obficie zaopatrzona w sprzęt, głównie francuski. Wykorzystując tedy moment ogólnego rozprężenia po stronie bolszewickiej, wyszła z Krymu i posuwa się szybko naprzód. Niebawem przybył do Warszawy przedstawiciel Wrangla gen. Machrow, który przy energicznym poparciu Francji usiłował doprowadzić do uzgodnienia działań przeciwko bolszewikom, celem ostatecznego ich zniszczenia. Gen. Wrangel oświadcza w wywiadzie ogłoszonym 14 października 1920 w „Wola Rossii”:

„Polska winna wejść z nami w porozumienie i związać na swym froncie największą ilość wojsk; gdyby te warunki zostały dopełnione, do przyszłej wiosny 1921 roku nastąpi ostateczny upadek bolszewizmu.”

Minister spraw zagranicznych rządu krymskiego, Piotr Struwe, w wywiadzie udzielonym paryskiemu „Matin”, oświadczył:

„Główne zagadnienie to sprawa polska... od niej zależy przyszłość. Jeżeli Polacy zaprzestaną wojny i podpiszą pokój z Moskwą, cała armia czerwona skoncentruje się przeciwko nam i rozdusi nas swą liczebnością.”

Makłakow, z kolei przedstawiciel Wrangla w Paryżu, dokładał ze swej strony wszelkich usiłowań, by rząd francuski przeszkodził pertraktacjom ryskim. Polityk i publicysta rosyjski, P. Mikulow, w swej historii rewolucji rosyjskiej, „Rossija na pierelomie” (Paryż, 1927), pisze:

„Próba Wrangla, którą podjął Struwe przez Paryż, aby utrzymać wojska polskie na froncie i skierować je na Kijów nie odniosły skutku. Polacy nie chcieli wojować, a w szczególności nie chcieli pomagać Wranglowi.”

O odmówieniu przez Piłsudskiego pomocy Wranglowi w jego zmaganiach z bolszewikami, znajdujemy ponadto szczegóły w książce G. Rakowskiego „Koniec białych” (Praga, 1921), u A. Walentinowa „Krymskaja epopeja” (T. 5. „Archiw russoj rewolucji”) i in. — Piłsudski nie dał się odwieść od swej doktryny, że „bolszewicy są mniejszym złem”, ani argumentami, ani doznany doświadczeniem. Wspomniana już raz broszura, wydana przez 2. Korpus w Rzymie, pisze:

„Podobnie jak przedtem w stosunku do Denikina, tak samo w r. 1920 w stosunku do Wrangla rząd polski i dowództwo polskie unika nawet pozoru jakiegokolwiek współpracy, a rządowa, i stronnictwa rządowe reprezentująca prasa polska, popierając polski wysiłek wojenny nie ukrywa jednocześnie swej radości, że rewolucja rosyjska dławi do reszty tak znenawidzoną przez Polaków białogwardyjską reakcję rosyjską.”

Wydaje się więc, że „tajemnica traktatu ryskiego”, a raczej jego prowizorium, podpisanego już w październiku 1920 r., wynikała z obawy Piłsudskiego, aby owa „białogwardyjska reakcja” nie zwyciężyła bolszewików, jeszcze w ostatniej chwili. Zatrzymał tedy wojska, aby bolszewikom po raz drugi ułatwić jej rozgromienie. Nawet za cenę oddania im wschodnich połaci Białorusi i Ukrainy. Siły antybolszewickie w Rosji istotnie zostały zdławione definitywnie.

*

Zatrzymaliśmy się tak szczegółowo nad wypadkami z przed 43 lat, gdyż stanowią w istocie początek tego co jest dzisiaj. Zarazem genezę tej „bilateralnej” polityki w podejściu do globalnego problemu Związku Sowieckiego.

Generał Denikin, który swojego czasu sam uroczyście oświadczał: „Ani piędzi ziemi rosyjskiej za pomoc!” (przeciw bolszewikom), napisał już na emigracji, w latach trzydziestych, nawiązując do polityki Piłsudskiego, która doprowadziła Polskę na skraj katastrofy 1920 roku, — słowa mogące służyć za wzór prorocstwa: „Czy Nemesis historii za pomocą tej katastrofy dokonała już wyroku za czyny wodzów, niewinnych temu narodów, czy był li to tylko piorun przed burzą?” — Dziś wiemy, że był to tylko ostrzegawczy „piorun”; w roku 1945 przyszła ta „burza”, której już żaden drugi „cud” odeprzeć nie zdołał. I cała Polska znalazła się w niewoli komunistycznej, jak 25 lat przedtem, cała Rosja.

Historiografia polska stanęła na stanowisku, że ówczesne decyzje Piłsudskiego były jedynie słuszne i możebne, gdyż Kołczak, Denikin i inni przywódcy anty bolszewickiej Rosji nie chcieli uznać innej Polski jak tylko w granicach „etnograficznych”. To święta prawda. Ale ta sama historiografia nie bierze pod uwagę, że Lenin i wszyscy przywódcy bolszewicy, nie uznawali w gruncie rzeczy nawet Polski „etnograficznej”... To znaczy nie dlatego, że byli „lepszą” czy „gorszą”, „słabszą” czy „silniejszą Rosją”, a dlatego po prostu, że z założenia doktryny, z założenia globalnej rewolucji wy-

chodząc, nie mogli dążyć do uznania innej Polski jak ta, którą reprezentował „Komitet Rewolucyjny” Marchlewskiego-Dzierżyńskiego w Białymstoku, a dziś reprezentuje Gomułka w Warszawie; tzn. Polski komunistycznej. W tym kontekście sprawa granic państwowych jest dla komunistów rzeczą w praktyce podrzędną, bądź wygrywaną jedynie dla celów taktycznych. Piłsudski natomiast popierając raczej bolszewików przeciwko „białej” Rosji, dlatego że nie chciała ona uznać roszczeń polskich na wschodzie, sprowadzał swą politykę *nie-jako* do „obrony granic wschodnich”. Dziś roszczenia do tamtych granic wydają się już wielu anachronizmem, natomiast współcześni „realiści” popierają z kolei — raczej komunistów przeciwko Niemcom, „w obronie granic zachodnich”.

Piłsudski niewątpliwie wpłynął decydująco na ugruntowanie tej polskiej myśli politycznej która, mimo że wschodni sąsiad przeistoczył się z narodowej Rosji w centrum „międzynarodowego systemu socjalistycznego”, uznaje ciągłość położenia Polski „pomiędzy Niemcami i Rosją”. W tym wypadku podtrzymany przez swego największego oponenta, Romana Dmowskiego, jakkolwiek z przeciwnych względów. Polityka endecji, usiłując odwrócić uwagę od wschodu, a skierować ją ku zachodowi, przeciwko Niemcom, których uważała za głównego przeciwnika, nie mogła naturalnie stać na stanowisku, że jednocześnie na wschodzie, tzn. na tyłach tego frontu który pragnęła obrócić na zachód, zaistniał przeciwnik-super, przeciwnik nadrzędny, zagrażający nie tylko Polsce ale i całej Europie, ba, światu. Stąd konsekwentne podtrzymanie tezy o ciągłości „tej samej Rosji” (Stanisław Stroński:

„Nic, tylko Rosja!”). Rezultat był taki, że w ciągu niepodległego 20-lecia, — jak to w tendencyjnej formie, ale w niezbyt odbiegającej od stanu faktycznego treści, przedstawia komunistyczny publicysta, Mieczysław F. Rakowski w „Polityce” (z 21.10.1961):

„Cała machina propagandowa nastawiona była na realizację programu wychowawczego opartego na tezie: między Rosją carską i Rosją Radziecką nie ma żadnych różnic.”

Jak widzieliśmy poprzednio (i z jakich względów), pogląd ten w ogólnych zarysach pokrywał się ze stanowiskach wszystkich nacjonalizmów Europy Wschodniej, (z poprawką, że w gruncie Rosja Radziecka jest lepsza od Rosji carskiej) — co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu na kształtującą się właśnie względem nowopowstałego Związku Sowieckiego, postawę Zachodniej Europy.

«Gomułkizm» z lat dwudziestych

Tytuł tego rozdziału jest naturalnie tendencyjny. Powinien brzmieć: „Leninowski NEP-narodowy”, bo o nim tu będzie mowa. Tendencja tkwi w tym, aby zwrócić uwagę na identyczność taktyki komunistycznej, o której wielu bądź zapomniało bądź, nie znając historii, nawet nie słyszało. Rozwiewa ona modne dzisiaj złudzenie o tzw. „ewolucji komunizmu”, znajdującej rzekomo swój wyraz w przejściu do „narodowego komunizmu”.

W rzeczywistości „narodowy komunizm” jest wynalazkiem b. starym, bo jeszcze Lenina, i stanowił w zaraniu rewolucji podstawę wyjściową taktyki bolszewickiej. Wywołał też identyczne skutki w postaci tzw. wówczas „poputniczestwa” ze strony „realistycznie myślących”, nacjonalistycznych sfer niekomunistycznych.

Nacjonal-komunizm — przez ogłoszenie gazetowe... —

Klasycznym przykładem tworzenia „gomułkizmu” pierwszych lat rewolucji bolszewickiej, służyć może sowiecka Białoruś. — Sądzę, że moi przyjaciele Białorusini nie wezmą mi za złe przytoczenie tych szczegółów. Nie może być bowiem nic ubliżającego w stwierdzeniu, że narodowy ruch białoruski znajdował się w tym okresie w stadium zaczątkowym. Każdy ruch ma kiedyś swój początek. Ilość uświadomionych Białorusinów nie stała w żadnej proporcji do rozległych obszarów etnograficznie białoruskich, zjednoczonych od 30 grudnia 1922 r. w Związkowej Sowietkiej Republice Białoruskiej, czyli BSSR. W ten sposób eksperyment białoruski Lenina uważać można za wzorcowy w tej dziedzinie; tak jak całość eksperymentu „narodowego-NEPu” stała się wzorcem dla przyszłych Republik

Ludowych, a więc i dla PRL. Stwierdza to zresztą oficjalna wykładnia radziecka:

„Doświadczenia NEPu miały znaczenie międzynarodowe...Obecnie w krajach ludowych demokracji, w zależności od ich właściwości, ich historycznego rozwoju i konkretnych warunków, stosowane są te same podstawowe zasady, które stanowiły fundament polityki NEPu w ZSRR.” — („Politycz. Słownik”, Moskwa, 1958, str. 388.)

Na Białorusi rząd sowiecki przystąpił, podobnie jak w innych republikach związkowych, nie do russyfikacji, a przeciwnie do odrussyfikowania. Okazało się jednak, że brakuje inteligentów władających językiem białoruskim. Wobec tego w lutym 1921 roku, Centralny Komitet Wykonawczy w Mińsku powziął uchwałę wzywającą wszystkich, ktokolwiek władają językiem białoruskim w piśmie do powrotu na teren Białorusi. Wezwanie to rozesłane zostało w formie ogłoszenia do gazet sowieckich:

„... Nie szkodzi nawet, jeżeli władacie swoim językiem niepoprawnie! Tu, wśród rodaków, przypomnicie go sobie i opanujecie na nowo.”

W marcu 1923, na XII kongresie związkowym potępiony zostaje system russyfikacyjny Rosji carskiej i powzięta uchwała o praktycznym przeprowadzeniu białorutenizacji. W lipcu 1924, plenum CK partii BSSR postanawia wprowadzić przymusowo język białoruski we wszystkich urzędach, instytucjach i organizacjach partyjnych, państwowych i społecznych. Pracownicy, którzy nie nauczą się po białorusku w terminie przewidzianym, będą zwolnieni ze służby. W tym celu utworzone zostają przymusowe kursy języka białoruskiego. W październiku 1925 wyrażono naganę czynnikom odpowiedzialnym za niedostateczną białorutenizację kraju i polecono zdwoić wysiłki. W październiku 1926, plenum CK postanawia: „Cała komunistyczna partia bolszewików Białorusi musi rozmawiać

po białorusku." — W roku 1927 jest już wiele tysięcy szkół początkowych, 4 białoruskie uniwersytety, 4 fakultety robotnicze, 30 szkół fachowych, 30 szkół zawodowych, 15 szkół rzemieślniczych, wszystko z językiem wykładowym białoruskim. Jednocześnie powstaje szereg instytutów naukowych, sztuk pięknych, muzeów, teatrów, bibliotek etc. na czele z „Instytutem Białoruskiej Kultury” (INBIELKULT). Wydawane są masowo gazety, czasopisma, książki i inne druki białoruskie.

Należy przyznać, że tempo tego eksperymentu jest zawrotne, jeżeli się weźmie pod uwagę, że poczęte dosłownie z niczego. — Analogicznie przebiega proces ukrainizacji sowieckiej Ukrainy. „Encyklopedia Ukrainoznawstwa” na emigracji (New York — Monachium, 1949) pisze:

„Ukraińska literatura, sztuka, teatr i itd. doszły w owych latach, (1922—1933) do niebywałego dotychczas rozkwitu.”

Ze strony komunistycznej jest to tylko taktyka, obliczona na tym skuteczniejsze skomunizowanie mas ludzkich. Według klasycznej tezy: „Narodowa forma, socjalistyczna treść.”

Narodzenie pierwszego „poputniczstwa”. — Mimo iż taktyka wówczas, podobnie jak dziś, była w gruncie zupełnie jasna, a chwilami wydawała się naiwnie jawna, Lenin nie omylił się, co do rezultatów, jakie wywoła w „zbiorowisku oślepionym żądzą zrealizowania krzewionych przez nich sloganów”. Stąd narodził się pierwszy wielki ruch „poputniczstwa”, który po latach, w „gomułkaźmie” osiągnie punkt szczytowy, chociaż pierwotna jego nazwa wyjdzie z obiegu.

Już wtedy czołowi „realiści” narodowi wysunęli hasło, że to co się dzieje, dzieje się nie za sprawą taktyki komunistycznej, lecz: „pod naciskiem mas narodowych”... Jakkolwiek właśnie w klasycznym przykładzie Białorusi, o żadnym „nacisku z dołu, nacisku mas” już dlatego nie mogło być mowy, gdyż uświadomienie narodowe mas prawie nie istniało. Mimo to teza o decydującym wówczas „wpływie społeczeństwa”, będzie obowiązywać nacjonalistów białoruskich do dnia dzisiejszego,

podobnie jak polrealistów obowiązuje teza o „Polskim Październiku”. Analogiczna jest też argumentacja:

„Należy wyzyskać możliwości, aby w legalnej formie krzewić kulturę narodową i rozwijać poczucie własnej państwowości.” — (Białoruski historyk, U. Hłybinny.)

Większość białoruskich i znaczna część ukraińskich działaczy narodowych, opowiedziała się za współpracą z komunistami. Wiele emigrantów zdecydowało się wracać „do kraju”, aby podjąć tam pracę organiczną dla dobra narodu. Wśród Ukraińców powrócili m.in. tacy wybitni politycy i działacze jak: prof. M. Gruszewskij, A. Nikowskij, M. Czczel, P. Christiuk, M. Szrug etc. Również spora liczba oficerów b. ukraińskiej armii narodowej.

Nacjonalista białoruski dr S. Trampowicz decydując się na współpracę z komunistami, zwrócił się do swych rodaków z wezwaniem:

„Inteligencja białoruska musi podjąć inicjatywę i dowieść, że pragnie ponosić odpowiedzialność za pracę i przyszłe losy narodu.”

Senior historyków i krytyk literacki białoruski, Wsiewołod Ignatowski, wzywał aby wszystko wykorzystać dla białoruskiego ruchu: „Z chwilą gdy ustrój stał się taki, że kieruje nim komunistyczna partia, należy wykorzystać tę komunistyczną partię.” Następnie sam wstąpił do partii, twierdząc że tylko w ten sposób można realnie pracować dla dobra białoruskiej sprawy. — Taktyka ówczesnego, jak go nazwaliśmy „gomułkizmu” białoruskiego, nie pozostała bez wpływu i na białoruski kler katolicki. Ks. Adam Stankiewicz, w tym okresie poseł do sejmu polskiego, rzucił w roku 1926 z trybuny sejmowej w Warszawie oskarżenie pod adresem administracji polskiej, przeciwstawiając pozytywnie stan jaki panuje pod Sowietami:

„Faktem pozostaje, że tam ... życie ludu białoruskiego płynie wartkim nurtem, że powstało tysiące szkół białoruskich w BSSR!”

W roku 1925 udał się z Mińska do Pragi i Berlina w tajnej misji z polecenia rządu komunistycznego, działacz białoruski Żyłunowicz, celem nawiązania poufnego kontaktu z ówczesnym rządem „Narodowej Republiki Białoruskiej” na emigracji. Potrafił on namówić dwóch kolejnych premierów tego rządu, Cwikiewicza i Łastowskiego, do powrotu. — (Dziwna koincydencja do akurat dwóch premierów polskiego rządu emigracyjnego, którzy w ten sam sposób dali się namówić •— trzydzieści lat później.) — Spowodowało to chwilowe rozpadnięcie, a nawet oficjalną „likwidację rządu emigracyjnego”. W powziętej uchwale mówi się, że „narodowy NEP urzeczywistnił nadzieje, co do przeistoczenia BSSR w prawdziwie narodowe państwo”. Dnia 15 października 1925 r. podpisany został protokół likwidacyjny, który głosi m.in.:

„Uznając, że urzędujący w Mińsku, stolicy Sowieckiej Białorusi, rząd ludowy istotnie próbuje rozbudzić kulturalne i państwowe dążenia ludu białoruskiego, i że Sowiecka Białoruś jest dziś jedyną realną siłą, zdolną do wyzwolenia Zachodniej Białorusi spod jarzma polskiego... zdecydowaliśmy zlikwidować Rząd Białoruskiej Republiki Narodowej i uznać Mińsk jako jedyne, legalne centrum narodowego i państwowego odrodzenia Białorusi.”

W uchwale tej znajdujemy dwa znamienne momenty: Po pierwsze uznanie BSSR, mimo niejakiich zastrzeżeń („*próbuje* rozbudzić”), za państwo białoruskie; po drugie wspólny z komunistami interes w postaci wspólnego frontu antypolskiego. Nazwałem te momenty „znamienne”, gdyż trudno doprawdy oprzeć się rzucającej się w oczy analogii z postawą dzisiejszych polrealistów: uznanie Polski Ludowej, mimo zastrzeżeń, za państwo polskie, oraz wspólny z komunistami front antyniemiecki.

(Porównaj, Juliusz Mieroszewski: „...odrzucaamy zasadę prymatu jakiejkolwiek ideologii nad interesami narodowymi. Jesteśmy z komunistami wszędzie tam gdzie służą bezspornym polskim interesom...” — Kultura, Paryż, nr 12/170, grudzień 1961, str. 6. — Oraz porównania w dalszych rozdziałach niniejszej pracy.)

Narodowo-komunistyczny front antypolski. —

Komuniści, jeszcze z doświadczenia wojny domowej wiedzą, że niczym tak się nie przyciąga i nie wiąże ze sobą nacjonalizmu, jak popieraniem jego nienawiści do innego narodu. Z drugiej strony, unifikacja w komunizmie wymaga zatarcia rozbieżności narodowych. Przeto umiejętnie niwecząc animozje narodowe w granicach ZSRR, potrafili celowo dynamikę tych animozji skierować na zewnątrz, w kierunku dla nich właśnie pożądanym. W Białoruskiej jak i Ukraińskiej republikach sowieckich krzewiona jest zatem konsekwentnie i systematycznie nienawiść do Polski, pod hasłem „odzyskania” zachodniej Białorusi i Ukrainy. Tak np. utworzona już w grudniu 1923 „Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi” (KPZB), łączy się w r. 1924 z „Białoruską Rewolucyjną Organizacją”, a wkrótce jednoczy w białoruskiej „Hramadzie” elementy zarówno komunistyczne jak nacjonalistyczne, antypolskie. „Hramada” kierowana jest bezpośrednio z Mińska, a zasilana funduszami via Stockholm z Moskwy.

O identycznej akcji antypolskiej prowadzonej na Ukrainie, pisze m.in. Witwicki i Baran w artykule „Ukraiński Zemli pid Polszczeju” (Encykl. Ukrainozn.) co następuje:

„Prosowieckie nastawienie wśród ukraińskich ugrupowań, miało swe podłoże zarówno w nierozsądnej polityce Polski, jak również w polityce sowieckiej w latach 1924/29... Budziła bowiem ona nadzieje, że ukraińska kultura narodowa uzyskała pod Sowietami możliwości rozwoju nie tylko w formie, ale i w treści... Do tego przekonania doszły nawet

te sfery, które dotychczas z komunistycznym światopoglądem nie miały wspólnego."

Na płaszczyźnie tego „wspólnego interesu” doszło do coraz bliższych kontaktów pomiędzy komunistami i szeregiem wybitnych nacjonalistów ukraińskich. Wyraźnie prosowieckie stanowisko zajęli tacy nacjonaściści jak: Kruszelnicki, Bobinski, M. Łozinski, S. Rudnicki, M. Czajkowski, F. Samora, M. Gawriłow, J. Kossak! i wiele innych. Skrajnie antypolskie i prosowiecki kierunek przyjął SELROB rozporządzający we Lwowie dwoma organami prasowymi, „Wola Narodu” i „Nowe Słowo”. W r. 1927 powstała z rozłamu w UNDO, prosowiecka „Ukraińska Partia Robotnicza”, wydając tygodnik „Rada”. We Lwowie wychodzą za pieniądze otrzymywane z sowieckiego Kijowa: „Nowi Szlachi” A. Kruszelnickiego, oraz „Wikna” W. Bobinskiego. Równoległe rozwija intensywną działalność Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (KPZU), wydając m.in. nawet legalny organ „Nowa Kultura”. To są tylko niektóre przykłady.

*

Polityka polska w stosunku do tzw. „mniejszości narodowych” była niewątpliwie fatalna, zwłaszcza w odniesieniu do Ukraińców i Białorusinów, zamieszkujących zwarte, historyczne tereny. Czy jednak gdyby była inna, potrafiłaby zmienić nastroje antypolskie tych narodów, nastroje które przybrały z czasem charakter programowej nienawiści, i do dziś dnia piętnują nieraz każdą ówczesną próbę porozumienia z niemniejszą namiętnością niż Polacy „kolaborację” z Niemcami? Prawdopodobnie by nie potrafiła. Z tej prostej przyczyny, że eksperyment ówczesnego „gomułkizmu”, czyli narodowego NEPu, udał się komunistom znakomicie. Skoro większość działaczy białorusko-ukraińskich uznała, lub skłaniała się ku uznaniu BSSR i USSR za ich „państwa”, Polska została kapitalnie przelicytowana przez taktykę komunistyczną, jeżeli

chodzi o rozwiązanie problemu białorusko-ukraińskiego w ramach wewnętrzno-polskich.

Dlaczego koniecznie „Rosja”!

Dlatego aby nie dopuścić do tezy: — wspólne zagrożenie ponadnarodowe.

Rozgromienie „Nacdemszczyzny”. — Leninowski NEP-narodowy zakończył się w pierwszych latach trzydziestych rozgromieniem tzw. „nacdemszczyzny”, czyli „burżuazyjno-nacjonalistycznego odchylenia od linii partii”. Komuniści uznali w tym czasie, że taktyka nacjonal-komunizmu osiągnęła rezultaty wystarczające, zrobiła swoje, należy więc z nią skończyć i przejść do następnego etapu. Stalin przystąpił jednocześnie do przymusowej kolektywizacji. Nacjonal-komuniści natomiast skłaniali się (zresztą w naiwnej wierze) ku utrzymaniu indywidualnej gospodarki chłopskiej („chutornoje choziajstwo”). W podjętej na wielką skalę „czystce” wszelkiej wewnętrznej opozycji i wszystkich odchylen od linii partyjnej, rzecz jasna; że i „nacdemy” nie mogły być z niej wyłączone. Ofiarą padły w pierwszym rządzie wszelkie zbyt wybujałe, jak na system komunistyczny, „wolności” i przywileje narodowościowe (nacjonal-komunistyczne).

Należy zaznaczyć, że o jakiegokolwiek „rusyfikacji” w tym czasie mowy nie było i zresztą być nie mogło, gdyż w dalszym ciągu za wroga wewnętrznego nr 1 uważany był: wielkopañstwowy rosyjski szowinizm („Wielikodierżawnyj russkij szowinizm”). W poprzednim okresie wszelka „rosyjskość” nie tylko nie była uprzywilejowana, a raczej wręcz przeciwnie: cieszyła się mniejszymi w praktyce przywilejami niż inne „formy narodowe”. Obecnie nastąpiło skasowanie tamtych przywilejów i wyrównanie w ujednoliceniu wspólnej normy dla wszystkich. Był to, zatem typowy proces pogłębiania komunizmu, z towarzyszącymi mu, zwłaszcza skutek „rozkułaczania wsi”, terrorem, zubożeniem miast, nędzą wsi aż do głodu, aż do ludożerstwa. Słowem kolejna, straszna w swej beznadziejności plaga, która spada na życie ludzkie pod pano-

waniem komunistów i nęka wszystkich, bez różnicy wieku, płci, rasy i narodowości.

Tymczasem zaszła rzecz taka: Wielu nacjonal-komunistów i niepotrzebnych już poputczików zostało aresztowanych, zesłanych, rozstrzelanych; znaczna większość, w tym częstokroć najwybitniejsi poeci narodowi etc. włączyli się do nowego kursu i poczęli wielbić Stalina. — Natomiast ci, którym udało się zbiec zagranicę, oraz przebywający od początku na emigracji, a obecnie rozczarowani do Sowietów, — wysunęli nie spodziewaną „tezę rosyjską”. To znaczy winę za obalenie NEPu rzucili nie na partię, nie na komunizm, a na „szowinizm rosyjski”, który rzekomo opanował szczyty partyjne i nawrócił do tradycyjnej polityki „odwiecznej Rosji”, prześladowającej inne narody. Od tej chwili ta „teza rosyjska” identyfikuje Sowiety ze starą Rosją, i ten znak równania staje się hasłem przywódców zniewolonych przez komunistów narodów, aż po dzień dzisiejszy. Głosi ona, że światowy komunizm jest li tylko produktem ubocznym, narzędziem w rękach rosyjskiego imperializmu. — Dlaczego tak się stało?

Z kilku względów. m.in. ujawnienie np. przez białoruskich i ukraińskich nacjonalistów, istotnej taktyki sowieckiej, równałoby się ujawnieniu własnych złudzeń i własnej naiwności, czyli gruntownym skompromitowaniem polityki „poputniczestwa”, której byli gorącymi zwolennikami jeszcze do niedawna. Zwalając natomiast winę na „Rosję” przedstawiali rzecz tak, jakoby komunizm w gruncie nie był zły, że zatem mieli rację iż z nim chcieli współpracować, i mogliby współpracować nadal, gdyby nie został on opanowany przez „imperializm rosyjski”. Główna jednak przyczyna wysunięcia tej tezy tkwiła w czym innym, z czego zarówno wówczas jak dziś, nie wszyscy zdają sobie sprawę.

Teza „rosyjska” równa się tezie „antypolskiej”. — Brzmi to wprawdzie paradoksalnie, ale paradoksem nie jest. Albowiem w całej sprawie chodziło nie tylko o rozbudzenie antagonizmów antyrosyjskich, ile niedopuszczenie tezy, że Sowiety mogą stanowić wroga hierarchicznie nadrzędnego. Gdyż z chwilą

przyjęcia takiego stanowiska, czyli uznania Sowietów za centralę światowego zagrożenia, czy jak mówiono jeszcze wówczas: „zarazy”, Polska automatycznie stawała się wrogiem mniejszym, a nawet mogła potraktowana zostać za sojusznika w obliczu wroga wspólnego. A tego właśnie nacjonalizm białoruski i ukraiński, rozhuśtany w propagandzie antypolskiej, pragnął uniknąć za wszelką cenę. Natomiast sprowadzenie poziomu międzynarodowego komunizmu do poziomu narodowej Rosji, wytwarzało wartości z wagi gatunkowej równorzędne: Rosji i Polski, jako wrogów jednej płaszczyzny.

W praktyce zresztą, zwłaszcza niektórych ugrupowań ukraińskich, utrzymało się uznanie Polski za wroga większego, z którym żadne kompromisy nie są możliwe.

Właśnie gdy w Sowietach kończył się fatalnie narodowy NEP, w Wiedniu zwołany został kongres ukraińskiej OUN;

a 29 lipca 1930 rzucono hasło zbrojnych wystąpień antypolskich, które jak wiadomo pociągnęły za sobą smutną pamięć „pacyfikacji Galicji”.

Teza „rosyjska” — teza „antyniemiecką”. — Jak to zaznaczyliśmy na wstępie, metodą niniejszej pracy jest metoda porównawcza. Porównując antyrosyjskie stanowisko nacjonalistów białoruskich i ukraińskich z początku lat trzydziestych, do antyrosyjskiego stanowiska dzisiejszych polrealistów, dostrzeżemy analogię historyczną.

W Niemczech istnieje, zwłaszcza wśród sfer szukających zbliżenia z Polakami, rozpowszechniony pogląd, że ci Polacy którzy nastawieni są z pobudek narodowych antyrosyjsko, tym łatwiej przyjąć mogą postawę filoniemiecką. Jest to pogląd wynikający z anachronicznej oceny, przeważnie na podstawie doświadczeń z pierwszej wojny światowej (Władysław Studnicki). Dziś tezę „antyrosyjską”, tzn., że Sowiety są w gruncie „tą samą Rosją”, a międzynarodowy komunizm jest niczym więcej jak tylko narzędziem starego imperializmu rosyjskiego, reprezentują przed innymi najwięksi właśnie przeciwnicy Niemiec. Z tych samych bowiem względów, dla jakich najbardziej antypolskie sfery białorusko-ukraińskie

sprowadzały Sowiety do hierarchicznie równorzędnej płaszczyzny: „Rosja-Polska”, — polskie sfery antyniemieckie sprowadzają do równorzędnej płaszczyzny: „Rosja—Niemcy”, a mianowicie dla niedopuszczenia poglądu, że Sowiety z wagi gatunkowej, stanowić mogą przeciwnika nadrzędnego. Albowiem utrwalenie tezy, że komunizm jest zagrożeniem ludzkości a nie narodu, sprowadzałoby automatycznie Niemcy do przeciwnika hierarchicznie mniejszego, lub nawet do potencjalnego sojusznika w walce z zagrożeniem powszechnym. Wywracałoby zatem koncepcję polrealistów, którzy uznanie granicy na Odrze-Nysie uważają za postulat ważniejszy niż odzyskanie wolności, a Niemców za przeciwnika nr 1.

Trudno orzec czy wielu zdaje sobie sprawę z roli, jaką sprowadzenie Sowietów („Rosji”) na jedną płaszczyznę z Niemcami, odegrywa w odwróceniu uwagi od międzynarodowego zagrożenia komunistycznego. Na pewno jednak najwybitniejsi z obozu polrealistycznego. Gdyż inaczej sformułowanie takie, jak na przykład:

„.... Członkostwo w bloku antykomunistycznym oznaczać by musiało akceptację hegemonii Niemiec...” — (Kultura, Paryż, grudzień 1961, str. 12.)

— mogłoby się wydać zaskakujące, lub wręcz niezrozumiałe. Niewątpliwie zdają sobie też z tego sprawę komuniści. Nie od dziś bowiem, propagując z jednej strony jawnie rewolucję światową, z drugiej strony profilują po cichu z tezy „państwo rosyjskie”, i nawet, jak to zaraz zobaczymy, sami lansują podobną dezinformację.

Pierwsza wielka prowokacja o rzekomej „ewolucji komunizmu

Tajna afera „Trustu” GPU. — Wskazywaliśmy na fakty historyczne, które działały na korzyść komunizmu. Oczywiście nie wszystko składało się tak jednostronnie. W pierwszej dekadzie lat po rewolucji bolszewickiej, mimo poputniczystwa nacjonalizmów, mimo prokomunistycznego nastawienie „progresistów” europejskich, istniały na Zachodzie potężne jeszcze czynniki, które ze szczerą odrazą odnosiły się do bolszewizmu. — (W Polsce samej, słowo: „bolszewik”, uchodziło wśród szarych ludzi przez dłuższy czas za połajankę!) — Wiele państw odmawiało uznania rządowi bolszewickiemu. Z Państw Bałtyckich, Polski i Rumunii próbowano stworzyć *cordon sanitaire* przeciwko „zarazie bolszewickiej”.

Zrozumiałe więc, że wysiłki sowieckie, równoległe do podminowania rewolucyjnego Europy i Ameryki, zmierzały jednocześnie do przełamania tego negatywnego nastroju. — Wspominaliśmy, że stawka niektórych kół zachodnich na stopniowe złagodzenie, nadzieje na ewolucję komunizmu, datują się jeszcze z okresu wojny domowej. Nadzieje te kiełkowały nie tylko w głowie Lloyd George'a. Nawet separatyzm dońskich i kubańskich kozaków, zmęczonych wojną i odmawiających walki poza granicami własnych okręgów, zaledwie dwa lata po rewolucji bolszewickiej posługiwał się już optymistycznym argumentem: „Ee..., bolszewicy już nie ci, co dawniej... Zmęczyli się, zmądrzeli...”. — Optymizm jest, jak wiadomo, potężnym czynnikiem w życiu jednostki i w życiu zbiorowisk ludzkich. — Bolszewicy postanowili wyzyskać ten

ludzki ciąg ku optymizmowi. W tym celu zmontowali jedną z największych prowokacji, znanych pod nazwą: „Trust”.

Nie potrafię tej sprawy przedstawić lepiej od największego jej znawcy, oddaje przeto głos temu zresztą świetnemu publicyście i rzeczoznawcy, Ryszardowi Wradze. Poniżej wyjątki jego artykułu, zamieszczonego w londyńskich „Wiadomościach” z dnia 10 września 1961 r.:

„Afera ‚Trustu’ jest, jak dotychczas, jedną z najbardziej ciekawych w historii prowokacji. Sens jej polegał na tym, że już w r. 1922 GPU drogą podstawionej własnej organizacji rozpoczęło opanowywanie najbardziej bojowych antybolszewickich organizacji rosyjskich, oraz wszystkich aktywnych wywiadów zachodnich. Podstawową *ideą* prowokacji było *wmówienie w Zachód że bolszewizm przeistacza się stopniowo w ... kapitalizm, a Związek Sowiecki staje się ‚normalnym państwem’, że wszelka interwencja z zewnątrz pociągnęłaby za sobą jedynie odrodzenie wojującego bolszewizmu, podczas gdy ‚współlistnienie pokojowe’ przyczynia się do wzmocnienia sił restauracji narodowej.* — (Wszystkie podkreślenia moje.) — Kulminacyjny okres, bez przesady rzecz można — światowych wpływów ‚Trustu’ (objął on swą inspiracją również i Stany Zjednoczone), przypada na lata 1925—1926, kiedy to prowokacja sowiecka zabłysnęła niebywałym szlagierem: sprowadzono do Rosji ‚konspiracyjnie” jednego z najbardziej nieprzejednanych reakcjonistów rosyjskich, Szulgina, który zachwycony odrodzeniem Rosji, ogłosił po powrocie słynne ‚Trzy stolice’. Wyłożył w nich wiernie, pod dyktando GPU wszystkie te tezy, które jak najbardziej *służyły do rozbrowienia nie tylko emigracji ale i Zachodu.*

‚Trust’ miał dziesiątki odgałęzień, włącznie ze ściśle naukowymi, jak eurazyjska, masońska, arystokratyczna, literacka etc. Prowokacja ta nie jest bynajmniej produktem czysto moskiewskim. W konstrukcji ‚Trustu’ po stronie GPU Rosjanie nie odgrywali wielkiej roli. ‚Trust’ był dziełem Polaków, Żydów, Łotyszy i różnych obieżyświatów, czerwonych kondotierów i fanatyków, którymi wypełnione były wówczas po

brzezi takie instytucje bolszewickie jak Narkomindiel, Wnieszorg, biura Kominternu, a przede wszystkim GPU. Na całość afery złożyło się moc okoliczności: osobliwości NEPu; niedoświadczenie wywiadów europejskich w sprawach związanych z komunizmem; sprzeczności i konflikty powszechnie w Europie, a przede wszystkim fakt, że *naczelną zasadą wszystkich polityk Zachodu w stosunku do bolszewizmu już wówczas stało się wszechwładne "wishful thinking"*.

Gdy czyta się dzisiaj, po upływie bez mała lat czterdziestu, artykuły czy książki emigrantów rosyjskich, ma się ochotę pociągnąć do odpowiedzialności za plagiat dzisiejszych polskich—londyńskich, paryskich czy monachijskich publicystów i dziennikarzy. Różnice polegają jedynie na tym, że tamci stawiali na „państwowe”, „antykominternowskie” ambicje Stalina i na „antystalinizm” Trockiego, ci stawiają na „patriotyzm” i „antyrosyjskość” Gomułki i „antystalinizm” rewizjonistów.

W r. 1927 GPU dla wielu powodów przerwało wielce owocną dla siebie zabawę... To, że „Trust” został zdekonspirowany przez swych twórców, nie przesądziło o jego dalszym funkcjonowaniu. Idea „Trustu” zbyt głęboko tkwiła w nastrojach nie tylko emigracyjnych ... zbyt głęboko była związana z kapitulacyjnym kołtuństwem „pokojowego współistnienia”, żeby nawet ogłoszenie przez GPU prawdy mogło go zlikwidować. „Trust” odrodził się natychmiast, w wielorakiej postaci wśród różnych emigracji, przedostał się z zakamarków szpiegowskich do gabinetów ministerialnych i redakcji pism. Po drugiej wojnie światowej „Trusty” stały się czymś nieodzownym w życiu międzynarodowym, i nikt dziś nie jest w stanie stwierdzić, gdzie i kiedy są one organizowane przez komunistów, a gdzie powstają z inicjatywy „prywatnej”...”

Wraga wspomina następnie o innych prowokacjach sowieckich, a m.in. o legendzie rzekomego spisku Tuchaczewskiego, stworzonej w istocie wspólnym wysiłkiem GPU i Gestapo, a — „... podchwyconą później przez tę część emigracji rosyjskiej, która dla różnych powodów ogłupia Zachód wizjami... przewrotów pałacowych. Nie śpieszmy jednak z drwinami pod

adresem Rosjan. Te głupie, a szkodliwe legendy są akurat na takim samym poziomie co nasze, polskie gadania o wygrazaniu rewolwerem Chruszczowowi przez Gomułkę, o koncentrowaniu 'wojsk polskich' pod wodzą 'dobrego Polaka' gen. Komara przeciw 'brzydkiemu Moskalowi' Rokossowskiemu, co wmawianie cudzoziemcom że w 'w Polsce nie ma komunistów' a są sami 'agenci' i temu podobne bujdy o 'polskiej rewolucji październikowej.'" — Tyle Ryszard Wraga.

Inny ekspert do spraw sowieckich, Cz. Małamut, Amerykanin pochodzenia żydowskiego, pisze w wychodzącym w Monachium piśmie „Nasze Obszczęje Dieto” (Nr 18, wrzesień 1961):

„Jak wówczas tak i dzisiaj podłożem wszystkich intryg sowieckiego wywiadu, od 'Trustu' do 'Komitetu Powrotu do Ojczyzny i Rozwoju kulturalnych Stosunków z Rodakami', pozostaje nęcząca lecz kłamliwa doktryna 'ewolucji komunizmu'. Wiele się zmieniło w ostatnich latach w Związku Sowieckim (czasem na lepsze, czasem na gorsze), ale istota dyktatury pozostała tym czym była: policyjnym, totalitarnym reżymem. I reżym ten nie może stać się innym, gdyż korzenie jego tkwią w założeniu spisku skierowanego przeciwko całej ludzkości."

Leninowska teoria o „głuchoniemych ślepcach". — Malarz rosyjski, J. Annenkov, syn słynnego rewolucjonisty („Narodnaja Wola"), malował portret Lenina w r. 1921. Po śmierci Lenina, Annenkowa zaproszono do „Instytutu Leninowskiego" w Moskwie dla zapoznania się z materiałami do projektowanego ilustrowania książek poświęconych Leninowi. W Instytucie Annenkov porobił kopie z pewnych notatek Lenina, nigdzie dotąd nie ogłoszonych. Obecnie opublikował je poraż pierwszy w kwartalniku rosyjskim „Nowyj Żurnał" (Księga 65. Wrzesień 1961. New York). Oto najważniejsze wyjątki z poufnych myśli i spostrzeżeń Lenina:

„W rezultacie moich obserwacji... doszedłem do przekonania, że tzw. kulturalne warstwy zachodniej Europy i Ameryki nie są zdolne zorientować się we współczesnej

sytuacji i realnym układzie sił; warstwy te należy uważać za głuchoniemych i odpowiednio z nimi postępować. Trzeba zastosować specjalny manewr...

a) Ogłosić dla uspokojenia głuchoniemych rozdział (fikcyjny) naszego rządu... etc. od Politbiura i głównie od Kominternu, przedstawiając je za niezależne organizacje, tolerowane na terytorium SSSR. Głuchoniemi uwierzą.

b) Wyrazić chęć nawiązania stosunków z kapitalistycznymi państwami na zasadzie nie mieszania się do spraw wewnętrznych. Głuchoniemi uwierzą.

Mówić prawdę, to przesąd burżuazyjny. Przeciwnie: cel uświęca kłamstwo. Kapitałiści całego świata, goniąc za zyskami na rynku sowieckim, zamkną oczy na rzeczywistość i przeistoczą się w ten sposób w głuchoniemych ślepców. Oni udzielą kredytów, które posłużą nam dla podtrzymania komunistycznych partii w ich krajach, oraz zaopatrując nas w niezbędne materiały, odbudują nasz przemysł wojenny, potrzebny nam dla przyszłych zwycięskich naszych ataków skierowanych przeciwko naszym dostawcom. Inaczej mówiąc, będą pracować na własne samobójstwo."

Wydaje się wszelako, że Lenin mimo dosyć trafnych przewidywań, nie docenił stopnia „głuchoniemości” swoich przeciwników kapitalistycznych. Gdyż późniejsza praktyka wykazuje, że często pozostać mogą głuchoniemi nawet w tym wypadku, gdy bolszewicy przestają kłamać, a nawet wtedy, gdy bolszewicy bądź wskutek przesadnej pewności siebie, bądź wskutek prostej głupoty własnej, otwierają karty nie ukrywając swego celu.

W taki to sposób rozpoczęła się wielka ewolucja, ale nie ewolucja komunizmu, tylko ewolucja stosunku do komunizmu, wolnego świata.

Rapallo

Od białego Petersburga do czerwonej Moskwy. — W wyniku „ewolucji stosunku do bolszewizmu”, jedno państwo zachodnie za drugim poczyną, z biegiem czasu, nawiązywać sto-

sunki dyplomatyczne z Sowietami i uznawać bolszewików za prawowitych przedstawicieli „Rosji”, aż do szczytowego punktu osiągniętego przez sojusz i politykę przyjaźni Roosevelta.

Pierwszy krok w tym kierunku uczyniły Niemcy. Zaledwie w dwa lata po nieudanym marszu sowieckim, „przez trupa Polski”, na Berlin, dnia 17 kwietnia 1922 r. podpisany zostaje w Rapallo historyczny traktat, a w istocie sojusz, pomiędzy Niemcami i Sowietami, dosyć przejrzyście skierowany swym ostrzem przeciwko Polsce. Niewątpliwie doszło do tego nie pod wpływem czy za sprawą, wspomnianego wyżej „Trustu” dezinformacyjnego. Ta prowokacja sowiecka była w tym czasie dopiero w stadium montowania. „Rapallo” niemieckie, może bardziej jeszcze niż „Mikaszewicze” Piłsudskiego, stanowią charakterystyczny przykład skostnienia anachronicznej doktryny politycznej.

Traktat w Rapallo gruntował współpracę sowiecko-niemiecką w dziedzinie zarówno politycznej, wojskowej, jak gospodarczej. M.in. Niemcy dostarczają maszyn dla tworzonego na gwałt ciężkiego przemysłu w Sowietach, w znacznym stopniu zaplanowanego dla celów zbrojeniowych. Typowym prekursorem wielu optymistycznych teorii dzisiejszych zachodnich mężów stanu, był hr. Brockdorff-Rantzau (jak wiadomo jeden z ekspedytorów Lenina w „zaplombowanym wagonie”), który wypowiadał pogląd, że przez kontakty i zbliżenie z Sowietami można je „nastroić bardziej pokojowo”, a przez stosunki handlowe zapobiec temu by ściśnięta atmosfera Sowietów „nie szukała wentyla na zewnątrz”. W cztery lata później, 24 kwietnia 1926 r. dochodzi do podpisania tzw. Umowy-Berlińskiej, która niedwuznacznie zacieśnia obręcz wokół Polski. Stresemann jawnie omawia z Cziczerinem możliwości wspólnej rewizji granic kosztem Polski. W tym czasie Reichswehra intensywnie wspomaga rozbudowę Czerwonej Armii, przyczyniając się znacznie do wzmocnienia zbrojnego potencjału międzynarodowego komunizmu. Po śmierci Stresemanna, niemiecka pomoc w rozbudowie militarnych sił sowieckich osiąga w latach 1929/30 punkt szczytowy, za sprawą Curtiusa i Treviranusa. Gen. v. Seeckt pisze:

„Rosja i Niemcy w granicach 1914 — powinno stanowić podstawę porozumienia między nimi.”

Jak wiadomo koncepcja Rapallo pomyślana była przez polityków i generałów niemieckich nie tylko jako pierwsza inicjatywa do zerwania krępujących więzów powersalskich i próba wybrnięcia z fatalnej sytuacji po przegranej wojnie, ale również coś w rodzaju nawrotu do koncepcji Bismarcka. W rzeczywistości nie była nawrotem do koncepcji Bismarcka, a odwróceniem tej koncepcji. Pomiędzy Bismarckowskim dążeniem do zbliżenia z „białym” Petersburgiem, a Stresemannowskim zbliżeniem z „czerwoną” Moskwą, leżała przepaść. Z punktu widzenia polskiego, ani dawne porozumienie Niemiec z Rosją, ani nowe porozumienie Niemiec z Sowietami, nie mogło oczywiście leżeć w interesie Polski. Ale z punktu widzenia niemieckiego, polityka Bismarcka zmierzająca do zabezpieczenia wschodniej flanki Niemiec przez zbliżenie z Rosją (powiedzmy to spokojnie: kosztem Polski), leżała niewątpliwie w ich interesie. Rosja do roku 1914 nie rościła żadnych pretensji terytorialnych do Niemiec, a już tym-bardziej nie rościła o zajęciu Berlina. Natomiast poparcie udzielone centrali międzynarodowego komunizmu przez układ w „Rapallo”, nie tylko nie zabezpieczało Niemiec od wschodu, lecz odwrotnie, zwiększało niebezpieczeństwo od tej strony dla całych Niemiec, jeżeli nie całej Europy (organizowane niemieckimi rękami!). Terytorium Polski mogło stanowić za czasów Bismarcka pomost pomiędzy Niemcami i Rosją. Terytorium Polski za czasów Stresemanna mogło stanowić tylko skuteczną barierę osłaniającą Niemcy. I oto właśnie polityka „Rapallo” dąży do zniszczenia tej bariery, która zaledwie dwa lata temu powstrzymała czerwony zalew, rozbijając pod Warszawą armie bolszewickie maszerujące na Berlin! Słusznie można by zapytać: Czyżby do polityków niemieckich nie dotarł nr 92 „Prawdy” moskiewskiej z dnia 30 kwietnia 1920, zawierający przemówienie Lenina: „Polska wszczęła z nami wojnę, aby wzmocnić barierę, która dzieli nas od proletariatu Niemiec!” Czyżby generałowie i politycy niemieccy nie znali powiedzenia Lenina o Berlinie jako

„kluczu”...? Nie znali, cytowanych wyżej, rozkazów Tuchaczewskiego, wezwań CK partii z przed dwóch lat? Oczywiście musieli znać. Ale obiektywna wiedza przesłonięta została przez polityczny „wishful thinking”.

Błąd zatem Stresemanna i generałów niemieckich nie mógł polegać na przeoczeniu tego kontrastu z polityką Bismarcka, gdyż w tej formie dostrzegalny byłby dla każdego. Błąd polegał po prostu na negowaniu istnienia kontrastu, przez doktrynalne a sprzeczne z rzeczywistością, wypełnianie Związku Sowieckiego starą biologiczną zawartością, czyli tą treścią, jaka wypełniała Rosję za czasów Bismarcka. Istotnie, podmieniając treść międzynarodowego komunizmu treścią:

„Rosja”, kontrast zanika. — Było to więc powtórzenie błędu Piłsudskiego, jedynie w odmiennym kontekście. O ile o „Mikaszewiczach” można by z dużą dozą słuszności powiedzieć, że uratowały bolszewików od zniszczenia, o tyle o „Rapallo”, że znakomicie wzmocniło ich pozycję w świecie.

„Rapallo” nie jest symbolem współpracy z Moskwą, za co potocznie uchodzi. „Rapallo” jest symbolem współpracy z *komunistyczną* Moskwą. To też trudno się powstrzymać od wrażenia, gdy dziś słyszy się o projektach niemieckich polityków nawiązania ściślejszych kontaktów z komunistyczną Warszawą, że u podłoża tych projektów musi leżeć bądź identyczna dezorientacja, bądź świadoma nieszczerłość. Gdyż mówi się o kontaktach z „Polską”, gdy w istocie chodzi o kontakty z „Polską Ludową”. Czyli o powtórzenie inicjatywy z kategorii tegoż „Rapallo”. Nie zachodzi bowiem żadna zasadnicza różnica ani w treści, ani w politycznej ani ideologicznej zawartości, pomiędzy centralą w Moskwie i jej agenturą w Warszawie.

Na pozór zdawałoby się, że kto jak kto, ale Niemcy nie powinni mieć co do tego złudzenia, po doświadczeniach ze wschodnim Berlinem, po doświadczeniach z DDR („Niemiecką Republiką Demokratyczną”), którą słusznie traktują jako po prostu sowiecką „żonę”, a która jest tylko niemieckim odpowiednikiem komunistycznej Polski. — Na pozór zdawałoby się, że kto jak kto, ale Polacy nie powinni mieć co do tego złudzeń,

utraciwszy wolność i niepodległość na rzecz komunistów. Dlatego zdawałoby się logiczne, że ludzie dobrej woli reprezentujący obydwie narody, powinni dokładać najlepszych starań aby do politycznej inicjatywy tego rodzaju nie dopuścić. Tymczasem jesteśmy świadkami czegoś odwrotnego: właśnie ci, którzy tę inicjatywę najbardziej popierają, uchodzą za wyrazicieli szczególnie dobrej woli; a czasem istotnie nimi są... Paradoks chce w dodatku, że ich się jeszcze mianuje: reprezentantami „realnej polityki”. Pomieszanie pojęć w tej dziedzinie jest tak duże, że jednocześnie za „realnych polityków” uważają siebie i tacy Niemcy, którzy by pragnęli odnowienia „Rapallo” z komunistyczną Moskwą dla skierowania go przeciwko komunistycznej Warszawie...

Niewątpliwie jedną z cech znamienych współczesnego świata jest wielki rozbrat, jaki zachodzi pomiędzy tzw. „realną polityką” i — realną rzeczywistością.

...Już tylko między wartością życia i wszechkomunistyczną nudą

Druga faza narodowego komunizmu

Przed nową wojną światową.—Istnieje utarty pogląd jakoby polityką światową kierowali ludzie dobrzy lub źli, mądrzy lub głupi — ale w każdym wypadku o poziomie wyższym od przeciętnego „polityka kawiarnianego”. Jest dużo przesady w tym utartym poglądzie. Oto np. hr. Jan Szembek, podsekretarz

stanu MSZ Polski, cytuje rozmowę z ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Warszawie, George Biddle'm, z dnia 6 stycznia 1939, a więc na kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej:

„Biddle nie sądzi, aby Niemcy zdecydowały się wkrótce na zaatakowanie Rosji sowieckiej. Militarnie nie są do tego dostatecznie przygotowane. W pierwszym rzędzie nie posiadają dostatecznej ilości kawalerii, a zwłaszcza brak im małych koni, niezbędnych dla operacji w Rosji wschodniej. Kompetentne wojskowe władze niemieckie usiłowały wypełnić tę ważną lukę i zakupiły konie w Anglii, ale te konie okazały się nie do użytku.” — (Szembek, „Journal”, str. 104.)

A oto emisariusz Roosevelta, Patrick Hurley, wydelegowany do Czungkingu dla pogodzenia Czank-Kai-Szeka z Mao-Tsetungiem, oświadcza w rozmowie z 6 września 1944:

„Moim zdaniem marszałek Stalin jest dziś głęboko przekonany, że komunizm może się udać wyłącznie w Rosji i nie czyni prób narzucenia go reszcie świata. Rosja dziś nie subwencjonuje i nie kieruje już działalnością komunistyczną wśród innych narodów. Rozumiem, że partie komunistyczne istnieją również w innych krajach, ale nie są już popierane nadal przez Rosję.”

Zaś po powrocie do Stanów, w listopadzie 1945, oświadcza w National Press Club w Waszyngtonie:

„Jedyna różnica pomiędzy komunistami chińskimi i republikanami z Oklahomy jest ta, że ci ostatni nie są uzbrojeni...” — (L.M.Chassin: „L'Ascension de Mao Tsetoung”, Paryż, 1953.)

Naturalnie i cytowany powyżej hr. Szembek, stary dyplomata po-austriacki, potrafi powiedzieć w rozmowie z generalnym komisarzem Ligi Narodów, Burckhardtem, 4 marca 1937:

„Obecny hitlerowski system w Niemczech jest dla Polski bardziej korzystny w zestawieniu ze starymi tendencjami pruskich konserwatystów, lub z Centrum, obarczających nas ciągle swoimi roszczeniami i reklamacjami." — (C. J. Burckhardt, „Meine Danziger Mission", str. 72.)

Nie należy jednak niczego generalizować, także ignorancji zawodowych polityków. Abstrahując od szczegółowej analizy wypadków i ocen politycznych przed drugą wojną światową, można wszelako pozwolić sobie na stwierdzenie, że obracając się wokół niezliczonej ilości spraw, proporcjonalnie najmniej uwagi poświęcają sprawie dla przyszłości świata najbardziej istotnej.

Jeżeli chodzi o Polskę, to pewną ilustrację do braku rozeznania otaczającej rzeczywistości, posłużyć może fragment restrykcji wobec ludności prawosławnej i niszczenie (palenie!) chrześcijańskich świątyń prawosławnych akurat wzdłuż wschodniej granicy, w okresie gdy za tą granicą, po stronie sowieckiej, prześladowana była wszelka wiara w Boga. Ten, nie najważniejszy naturalnie fragment z roku 1938, może wszakże symbolizować kompletne zatracenie wyczucia położenia Polski w czasie i w miejscu. — Natomiast za fragment przebiegu rozeznania jeszcze w ostatniej chwili, uważać można decyzję min. Becka, który mimo wyraźnego zagrożenia ze strony Niemiec i mimo nacisku ze strony mocarstw zachodnich, kategorycznie odrzucił „pomoc" sowiecką w postaci przemarszu przez terytorium Polski. W tym wypadku Beck słusznie ocenił, że byłaby to „pomoc" przekreślająca byt Polski nie w jednym, a w każdym wypadku. To znaczy, nawet w razie wygrania wojny z Niemcami, Polska integrowana by została do bloku międzynarodowego komunizmu. Jak się też po sześciu latach i stało.

Jeżeli chodzi o Niemcy, to za szczytowy brak rozeznania, można by uznać nagły zwrot Hitlera ku polityce „Rapallo", napaść na Polskę i zniszczenie przy pomocy Sowietów, „kordonu sanitarnego", którego Polska była centralnym ogniwem

we wschodniej Europie. Ale wypadnie zwrócić uwagę, że decyzje Hitlera miały tylko pozory polityki państwowej. W istocie był to łańcuch nieobliczalnych wyskoków osobistych. Pod tym względem komuniści, choć nie gwoili ustalenia prawdy obiektywnej, a dla swoich celów, używają jednak bardziej ścisłej terminologii: „hitlerowska polityka”, „hitlerowski najazd”, „hitlerowskie metody” itd. Hitler zrzucił po prostu z biurka montowany przezeń „pakt antykominternowski” i wygłosił przemówienie: „... Niemcy raz tylko prowadziły wojnę z *Rosją* i nigdy tego więcej czynić nie będą...” W tej nieoczekiwanej transformacji pojęcia „Komintern” w pojęcie „Rosja”, doszukać się by się można niejakiego nawiązania do Stresemannowskiej polityki. Ale już karykaturalne hasło: „żydowski bolszewizm”, pod jakim nastąpił kolejny zwrot 1941, świadczy o zupełnej dowolności emocjonalnych pomysłów Hitlera.

Wschodnia granica Polski — granicą dwóch światów. —

Jeżeli mówiąc o Hitlerze i jego metodach, użyję takich określeń jak: „szaleństwo”, „zbrodnia” etc. to czynię to nie w celu poławianki, ani też dla przystosowania się do panującej mody, która nie zezwala pisarzowi na opuszczanie tych epitetów. Bóg z nią, z modą. Żyję dość długo na świecie, ażeby wiedzieć, że jest zmienna. Nazywając politykę i czyny Hitlera, szaleństwem i zbrodnią, po prostu przekonany jestem o obiektywnej ścisłości tych definicji. Naturalnie na każdej wojnie popełnia się szaleństwa i zbrodnie. I zawsze się popełniało. I będzie popełniać. Od tego jest wojna. Najczęściej jednak te zbrodnie uderzają w jedną z walczących stron, a wychodzą na korzyść drugiej. Wtedy strona zwycięska kwestionuje ich zbrodniczość. Czyli zbrodnia z bezspornej, staje się sporną. Szaleństwa i zbrodnie Hitlera są bezsporne. Już przez to samo, że nieomal od początku rozeznane zostały za przynoszące nie korzyść a szkodę, nawet tej stronie która ją popełniała. W tym leżała cała ich „gorszość” od zbrodni bolszewickich, a nie w ilości. Bolszewicy dokonali więcej zbrodni, ale czynią je „spornymi”, gdyż leżą w ich interesie. Zbrodnie Hitlera nie leżały w niczym

interesie. Przeciwnie, stały się bezpośrednią przyczyną klęski Niemiec.

Fakt, że pomimo tych zbrodniczych metod, jeszcze co najmniej połowa ludności wschodniej Europy życzyła klęski raczej Sowietaom, służyć może za wymowny przykład do jakiego stopnia ludzie nienawidzili ustroju komunistycznego. Przytem jednak zachodził charakterystyczny podział: Litwini, Białowie, Białorusini i Ukraińcy po tej stronie granicy, wytkniętej przez traktat ryski, opowiadając się po stronie Niemiec czynili to, przynajmniej pod zewnętrznym hasłem, z pobudek narodowych, antyrosyjskich i antypolskich. Wszystko natomiast co powstało przeciwko Sowietaom, bądź sprzyjało Niemcom po sowieckiej stronie tej granicy, czyniło to z prostego odruchu antykomunistycznego, bez względu na przynależność narodową, czyli z pobudek czysto ludzkich. Charakterystyczne jest uzasadnienie, które się słyszało często od prostych ludzi, nie biegłych w definicjach społeczno-politycznych, na pytanie czemu nienawidzą ustroju komunistycznego? — „Ech, nudno żyć...” — To określenie obejmowało nie tylko nudę w dosłownym znaczeniu, ale i nudę biedy, nudę strachu, nudę braku perspektyw, nudę jednostajności, beznadziejności życia-nie-wartego-życia.

Naturalnie, jeżeli chodzi o regułę, to obfitowała ona i po tej i tamtej stronie w liczne wyjątki. W miarę jak metody hitlerowskie stawały się nie do zniesienia i rosło rozczarowanie, następowało znaczne przesunięcie na niekorzyść Niemców.

Stalinowski NEP. — Jak wiadomo Lenin uciekł się do swego NEPu i związanego z nim narodowego komunizmu, jako środka dla wydobycia bolszewizmu z poważnych trudności wewnętrznych. Wzór ten został przejęty przez Stalina, gdy Sowiety wskutek zwycięstw niemieckich i nastrojów ludności, znalazły się prawie na skraju przepaści. Wprowadzić sytuację na korzyść komunizmu przechylał raczej sam Hitler, który zamiast wbić klin pomiędzy partię i ludność, przyczynił się swymi metodami znacznie do wyrównania wewnętrznych anta-

gonizmów, — wszakże i ze strony komunistów podjęte zostały poważne posunięcia taktyczne w tym samym celu.

Formalne rozwiązanie Kominternu i młodzieżowej międzynarodówki „Ikkin” nastąpiło dopiero w maju 1943, co znacznie ustrawiło sojusz zachodnich demokracji z Sowietami. Cały świat zalała nowa fala optymizmu, głoszącego gruntowne przemiany i „wewnętrzną ewolucję” w Sowietach. Generał Kopański szef sztabu polskiego na emigracji, przytacza rozmowę, jaką miał z lordem Selborne, kierownikiem Ministry for Economic Warfare w Londynie:

„Pamiętam, gdy zaproszony na kolację przez lorda Selborna w grudniu 1943, musiałem wysłuchać jego opinii o ewolucji, jaka w Rosji zachodzi w kierunku jej prawdziwej demokratyzacji, nawrotu do dawnego patriotyzmu (czego dowodem orderzy Suworowa i Kutuzowa) i do religii itp.” — (St. Kopański „Wspomnienia wojenne”, Londyn, 1961.)

Tego rodzaju opinie stały się powszechne na Zachodzie. Tym bardziej, że Stalin de facto jeszcze przed rozwiązaniem Kominternu, wydobył z archiwum leninowską receptę narodowego komunizmu. Istnieje dosyć uproszczona wykładnia, że Stalin odwołał się do narodowego patriotyzmu rosyjskiego i w ten sposób uratował sytuację. W rzeczywistości zastosowany został klasyczny „narodowy NEP” z tą jedynie różnicą, że tym razem dotyczył również narodu rosyjskiego. Ze względu na ilościową przewagę, procentowy wkład odnośnych sloganów wypadł odpowiednio efektywnie i stąd mógł budzić wrażenie jednostronnej stawki na „rosyjski patriotyzm”. Legenda ta utrzymała się do dziś na Zachodzie z kilku względów:

1.—Propagandy mocarstw zachodnich skorzystały z okazji, aby swemu sowieckiemu sojusznikowi przydać charakter „patriotyczno-narodowo-rosyjski”.

2.—Antyrosyjskie nacjonalizmy Europy wschodniej wykorzystały ją dla potwierdzenia ich „rosyjskiej” tezy.

3.—Antykomunistyczna emigracja rosyjska na zachodzie skorzystała z niej na swój sposób, aby podkreślić cienką po-

włokę komunistycznej formy, pod którą „bije serce narodu rosyjskiego”, zdolnego do bohaterskich czynów, z chwilą gdy się odwołać do jego narodowo-patriotycznych uczuć.

4. — Wreszcie najbardziej do rozpowszechnienia legendy przyczynił się „Wunschtraum” tych wszystkich, którzy pragnęliby widzieć w Sowietach nawrót do dawnej Rosji.

W istocie Stalinowski NEP narodowy obejmował wszystkie narody Związku Sowieckiego, z pominięciem naturalnie tych, które podlegały likwidacji za „kolaborację” z Niemcami (Tatarów, Inguszków, Kałmyków etc.). Spieszenie rehabilitowano rosyjskich, białoruskich i ukraińskich bohaterów narodowych, którzy po rozgromie „nacdemszczyzny” uznani zostali za historycznie reakcyjnych. Dotyczyło to nie tylko Kutuzowa, Suworowa etc., ale i np. F. Skorynę, drukarza z XVI wieku, który przywrócony został do postaci „wielkiego białoruskiego humanisty”; wódz powstania 1863 na Litwie, Konstanty Kalinowski, ogłoszony został ponownie „białoruskim bohaterem narodowym” itp. Rząd sowiecki odwołuje się do białoruskich i ukraińskich pisarzy, w tej liczbie wielu zwolnionych naprędce z obozów koncentracyjnych i więzień, i poleca im tworzyć; zamówienie społeczne pomija w tym wypadku czynnik socjalistyczny, a nawet po cichu zaleca wycofać go chwilowo z obiegu, a główny nacisk kłaść na aktualny temat patriotyczny i możliwie antyniemiecki. Przywróceniu zostali do łask tacy poeci białoruscy jak literatka K. Bajła, Maksym Tank, Anton Białowież, A. Kułaszow i wielu innych. To samo w odniesieniu do Ukraińców. U. Hłybinny pisze:

„Ten zdecydowany zwrot do historycznego patriotyzmu, obudził duże nadzieje na nową, narodową politykę partii. Część inteligencji poczęła szczerze wierzyć, że z końcem wojny rozpocznie się nowa era rozwoju narodowej kultury.”

I oto historia rozpoczyna się da capo. Zwłaszcza w odniesieniu do Polski zastosowano wzorce z roku 1920. Podobnie jak wówczas „Komitet Rewolucyjny” Marchlewskiego-Dzier-

żyńskiego, tak teraz powołany zostaje 8 maja 1943 „Związek Polskich Patriotów”, który w rok później, 22 lipca 1944 ma się przeistoczyć w „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”, a 1 stycznia 1945 w „polski rząd prowizoryczny”. Zorganizowana zostaje „Dywizja Kościuszkowska” na podobieństwo komunistycznych formacji polskich z r. 1920. Władysław Gomułka wydelegowany zostaje przez rząd sowiecki do Warszawy dla zorganizowania tam „Polskiej Partii Robotniczej” (PPR), która jak to sam Gomułka przyzna w swej jubileuszowej mowie 20 stycznia 1962, „zawsze uważała się za jeden z oddziałów międzynarodowego ruchu komunistycznego”. Naturalnie, za co się ona sama uznawała, nie ma znaczenia; znaczenia ma dyrektywa Stalina, który zleca Gomułce co prędzej odbudować rozgromioną w czystce, polską partię komunistyczną pod prowizorycznym szyldem PPR.

W całej tej robocie nie ma nic nowego. Prawie ani jeden szczegół nie jest oryginalny. Wszystko jest stare, wypróbowane, opatrzone i jasne dla każdego, kto chce robić użytek z rozsądku, a nie oddawać się złudzeniu.

Ale oto okazuje się, że większość przywódców narodowych i polityków zawodowych („realnych”) wykazuje wyraźną skłonność do oddawania się złudzeniom. I w tym więc wypadku, Stalin nie omylił się w swych rachubach, tak samo jak przed laty nie mylił się Lenin, mówiąc o sposobach taktycznych wobec „głuchoniemych”.

Sojusz czy kolaboracja z sowieckim najeźdźcą?

Wielkie mocarstwa zachodnie mogły być w drugiej wojnie światowej sojusznikiem Sowietów i de jure i de facto. Polska natomiast, ze względu na swą słabość i położenie geograficzne, mogła być sojusznikiem tylko de jure. Natomiast de facto stawała się przez ten sojusz „kolaborantem z najeźdźcą sowieckim”.

Dobrze wychowani ludzie unikają zazwyczaj drażliwych porównań, które innych obrażają. Gdy się jednak stosuje metodę badań porównawczą, nie podobna uniknąć również i porównań drażliwych. — Niewątpliwie gen. Sikorski, bardzo wielu polityków i generałów polskich działało i chciało działać w najlepszej intencji i wierze. Ale wszystkie te działania reprezentowały pozory interesów polskich tylko tak długo, jak długo dokonywane były w złudzeniu że pod postacią Związku Sowieckiego ma się do czynienia z państwem, w przybliżeniu chociażby równogatunkowym („Rosja”). Stąd ogromny nakład energii rządu i propagandy polskiej, dla świadomego lub nieświadomego podtrzymania, i nawet rozbudowania fikcji, że jest tak, jak w rzeczywistości nie jest. Musiało się to udać, gdyż mocarstwom zachodnim, w czyich ręku znajdował się rząd polski na emigracji, również zależało na podtrzymaniu tej fikcji dla celów propagandy wojennej. Ale mocarstwa zachodnie mogły sobie na to pozwolić, gdyż były dość silne i dostatecznie odseparowane od bezpośredniego zagrożenia komunistycznego. Polska była bezsilna, graniczyła bezpośrednio z Sowietami i w praktyce zdana była na ich łaskę-niełaskę.

Wytworzyła się sytuacja niezwykła: jedyną osłoną Polski przed zalewem bolszewizmu stanowiły de facto armie niemieckie na wschodzie. O żadnym jednak porozumieniu, a nawet stwierdzeniu tego faktu, nie mogło być mowy, gdyż na przeszkodzie stała z jednej strony szaleńcza polityka Hitlera, z drugiej ślepa polityka Polski. Naturalnie byli ludzie dostatecznie światli, którzy rozumieli, że jedyną w tej sytuacji nadzieją jest powstrzymanie naporu sowieckiego przez Niemców tak długo, dopóki mocarstwa zachodnie nie uzyskają absolutnej przewagi na zachodzie.

„Co będzie? Co będzie jak zawiodą wszelkie kontrofensywy niemieckie i armia sowiecka, może jeszcze w tym roku, zacznie zalewać Polskę?... — Wiadomość, która podziałała jak kojący balsam... Niemcy odebrali Charków!...” (Tadeusz Katelbach: „Rok złych wróżb.”)

To są prywatne notatki, robione w dzienniku w r. 1943. Ale po pierwsze ludzie, którzy sobie z tego zdawali sprawę, było nie dużo, a po drugie wypowiedanie głośno takich poglądów nie było wówczas możliwe, gdyż zaliczano je do herezji może równie niebezpiecznej jak te, za które ongiś św. Inkwizycja paliła na stosie. Za główny ratunek Polski uznawano tedy zbożne życzenia. W dalekim Londynie fikcyjne pozory dawały się zachowywać z pewnym namaszczeniem. Natomiast w kraju, pod okupacją niemiecką, rzeczy musiały przybrać obrót zgodny z faktycznym stanem rzeczy.

Nie było żadnej praktyki: „dwóch wrogów”. — Odtworzenie autentycznych dziejów tego okresu w kraju, jest prawie niemożliwe. Należą, bowiem do historii najgruntowniej może zafałszowanej w konformizmie, bądź na użytek komunistów, bądź polrealistów. Naturalnie tak płasko, jak to się przedstawia być nie mogło. Przeciwnie, pod ciśnieniem atmosfery różnorakich namiętności, były to dzieje wielostronne, można by rzec niezwykle kolorowe, gdyby straszliwa ponurość tła na takie określenie zezwalała. Niestety o większości

szczegółach nie dowiemy się nigdy. Atmosfera podziemnej cenzury przeniknęła tak głęboko, że osiągnęła nie bywały dotychczas stopień samodyscypliny. Któż, kto pamięta te czasy, nie przypomina sobie najbardziej rozpowszechnionego szeptu: „... ale nie można o tym mówić...”, „... ale nie należy o tym mówić głośno ...”, „... ale to wielka tajemnica ...” itp. — Zresztą rozumiałe. Działo się wszystko w nastroju teroru i kontrterroru. W warunkach konspiracji, głębokiego podziemia, nieraz pod wpływem niekontrolowanych ambicji osobistych. Czyli w okolicznościach w najwyższym stopniu nienormalnych, w których rozplatać kłębek o ginących w tajemnicy niciach, jest niezmiernie trudno, a w praktyce nie udaje się zazwyczaj nigdy. Co do tego, nie można mieć pretensji, że tak było. Można natomiast mieć słuszną pretensję, iż rzeczywistość ówczesna przeniesiona została w zmonopolizowane zakłamanie dnia dzisiejszego.

Mimo obowiązującej bezapelacyjnie solidarności z koalicją antyniemiecką, władze podziemne widziały się zmuszone do zajęcia jakiegoś stanowiska wobec zagrożenia komunistycznego, jeżeli miały reprezentować oficjalne interesy Polski w kraju. W ten sposób doszło do rzekomo podwójnej gry, którą wytyka do dziś propaganda komunistyczna, tzn. do „teorii dwóch wrogów”. Teoria ta jednak nigdy nie przeistoczyła się w praktykę. Gdyż władze podziemne przestrzegały skrupulatnie, aby ci „dwaj wrogowie” nie zostali czasem uznani przez naród za sobie równych. O ile, więc antyniemieckość obowiązywała wszystkich, o tyle antykomunizm dopuszczalny był jedynie w drodze wyjątkowo udzielonej na to przez władze podziemne koncesji, a i to w ramach, formie i postulatach zakreślonych z góry. Natomiast wszelkie indywidualne, bądź spontaniczne przejawy antykomunizmu traktowano z reguły jako łamanie dyscypliny narodowej, warcholstwo, lub zgoła współpracę z Niemcami.

W lapidarnym szemacie [zarysie] wyglądało to tak: antyniemcem musiał być każdy z obowiązku narodowego; antykomunistą tylko ten, kto uprzednio uzyskał na to pozwolenie władz podziemnych. — Ten, nieco anegdotyczny

skrót, przeniesiony w praktykę, obalał oczywiście teorię „dwóch wrogów” i nadawał akcji antykomunistycznej formy nie rzadko karykaturalne. Tak np. po wykryciu i ustaleniu winy sowieckiej za zbrodnię Katyńską, obowiązywała dziwaczna formuła, że „Niemcy też dorzucili tam część trupów przez siebie pomordowanych”. Każde wystąpienie w prasie podziemnej przeciwko Sowiетom musiało być okupione długim elaboratem wstępnym przeciwko Niemcom. Jedno złe słowo pod adresem Stalina, wymagało ustalonej normy złych słów pod adresem Hitlera itd. Naturalnie rzecz jest przedstawiona w szematycznym skrócie. Ale ten mniej więcej szablon cenzury narodowej obciążał ogromnie publicystykę podziemną, a nie waham się twierdzić, że ją w dużym stopniu ogłupiał, tym bardziej gdy się zważy nie zawsze wysoki poziom wyrobienia politycznego i intelektualnego podziemnych „cenzorów”.

Wszystko to razem, słusznej w zasadzie teorii „dwóch wrogów”, nie pozwoliłoby nigdy przybrać kształty realne. Zresztą teorii tej przeczyły oficjalne wersje, głoszące o „zdradzie” sowieckiej podczas powstania warszawskiego; podczas aresztowania 16 przywódców podziemnych itd. Jak wiadomo określenia „zdrady” nie stosuje się do wroga. Zdradzić może tylko ktoś bliski, przyjaciel, sojusznik, ale nie wróg. Z wrogiem się walczy, ale nie przyjmuje zaproszenia na herbatki konferencyjne. W końcu wiadome jest, że po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem polskim na emigracji i Moskwą, obowiązywała w stosunku do Sowiетów wykładnia: „sojusznik naszych sojuszników”, co również z trudem dałoby się podciągnąć pod definicję „wroga”.

Kto ponosi winę za dezinformacje? — Pisząc o A. K. i akcji podziemnej unikam komunałów dla złagodzenia złego wrażenia, które może wywołać to co piszę. Utarły się w naszym piśmiennictwie konwencjonalne reweransy taktyczne celem zjednania sobie popularności. O taką popularność nie zabiegam. Zazwyczaj pisze się u nas o AK z dodaniem przymiotnika „bohaterska”. Jest w tym oczywiście ogromna przesada. Jeżeli chodzi o szeregowych AK, to byli żołnierzami walczącymi w

podziemiu; spełniający swój żołnierski obowiązek czasem w trudniejszych, czasem w łatwiejszych warunkach niż żołnierze na posterunkach bojowych wszystkich frontów świata. Nie wydaje się by byli gorsi, nie wydaje się też by byli lepsi od żołnierzy wielu innych narodowości biorących udział w drugiej wojnie światowej. Jak zawsze i wszędzie na wojnie, bohaterstwo i tchórzostwo, szlachetność i nikczemność, wspinały wyczyny i kompromitujące rejterady, maszerują ramię przy ramieniu. Nasza literatura wojenna cierpi na propagandową jednostronność. Gdy się jednak oprzeć na metodzie porównawczej i przewertować literaturę wojenną wszystkich stron walczących, musimy dojść do przekonania, że w liczbie heroiczych czynów zdystansowani jesteśmy znacznie. Nie sędzę by procentowo. Ale w bezwzględnych cyfrach na pewno. Jest to wynik zwykłego rachunku ilościowego. Większa ilość żołnierzy na lądach, morzach i w powietrzu, dostarcza większej ilości niezwykłych okazji wojennych; a mniejsza ilość, odpowiednio mniej okazji. W tym nie ma żadnej ujemy.

Natomiast za niejaką ujmę poczytać można fryzowanie tych okazji przez dowództwo AK i nadrabianie fałszywą statystyką. Prawda, że robili to i inni podczas wojny (zwłaszcza fantastycznie przesadne cyfry podawała Japonia i Sowiety). Nie zmienia to wszakże faktu, że dane dotyczące Polski odnośnie strat swoich i przeciwnika, ilość wysadzonych torów, zamachów, ilość żołnierzy AK pod bronią, zwłaszcza zaś ofiar w ludności cywilnej, przesadzane były nieraz dziesięciokrotnie. Dopóki trwała wojna, tłumaczyć można wymogami propagandy. Gorzej, że po wojnie cyfry te uznane zostały za autentyczne. Nie ten jednak rodzaj dezinformacji zaważył na losach kraju.

Utarło się mniemanie, że za błędy podczas wojny winę ponosi wyłącznie rząd emigracyjny w Londynie, a nie władze podziemne w kraju. Wydaje się, że było akurat odwrotnie. Polityka rządu polskiego na emigracji nie mogła mieć wpływu na wydarzenia międzynarodowe. Natomiast mogła i powinna była wywrzeć wpływ na wydarzenia w Polsce, przynajmniej w granicach tego marginesu, jaki pozostał. Pierwszym wszelako

warunkiem po temu musiały być ściśle i rzetelne informacje. Tymczasem informacje nadsyłane z kraju, odpowiadały może zbożnym życzeniom, ale nie prawdzie. Przemilczano po prostu o kapitalnym, a groźnym wzroście nastrojów prosowieckich. Płk Jan Rzepecki, jeden z tych, dosyć licznych zresztą przywódców AK (szef BIP), którzy przeszli następnie na stronę komunistyczną, cytuje rzekome słowa pierwszego komendanta AK gen. Roweckiego: „Przyszła Polska musi być czerwona, chłopsko-robotnicza.” Czy odpowiadało to prawdzie, nie wiadomo. Natomiast niewątpliwie odpowiadało prawdzie co Rzepecki pisał w swojej ocenie położenia:

„Nastąpiła daleko idąca radykalizacja ... ogólne przesunięcie na lewo... Naczelnny Wódz jest poinformowany o stanie kraju w stopniu zupełnie niewystarczającym... Uważam za bezwzględłą konieczność obszerne i głębokie poinformowanie o położeniu w kraju N. W.... otwarcie mu oczu na naszą rzeczywistość.” — (J. Rzepecki: „Wspomnienia i przyczynki historyczne”, Warszawa, 1956.)

Naturalnie Rzepecki pragnie dziś tego „otwarcia oczu” w innej intencji, faktem pozostaje jednak, że rząd w Londynie miał oczy zamknięte. — Tymczasem przyczyny groźnego położenia miały podłoże zupełnie naturalne. Przed wojną Polska broniła się przed infiltracją bolszewicką zasiekami z drutu kolczastego, korpusem ochrony pogranicza, kontrwywiadem, policją polityczną; poważny aparat państwowy ześrodkowany był na odparcie infiltracji bolszewickiej. A jednak infiltracja trwała i mieliśmy ciągle jej dowody to w armii, to administracji, w organizacjach społecznych etc. Łatwo więc sobie wyobrazić jakie rozmiary musiała przybrać z chwilą, gdy nagle granice zostają otwarte, struktura państwa wstrząśnięta i wrota dla agentów sowieckich na oścież otwarte... Mało tego: rząd polski zawiera z Moskwą układ przyjaźni i dotychczasowy, najniebezpieczniejszy infiltrator przeistacza się w — sojusznika. A jedyna nadzieja narodu: mocarstwa zachodnie, nadają przez wszystkie radia prosowieckie informacje i

propagandę. Ale to wszystko razem wydaje się jeszcze drobiazgiem w zestawieniu z propagandą prosowiecką, którą szerzy w kraju terror i metody postępowania okupantów hitlerowskich!...

Ci, którzy kładli wówczas nacisk na obozy, więzienia i mordy, czyli na stronę li tylko eksterminacji fizycznej, przesuwają punkt ciężkości w niewłaściwym kierunku. Terror hitlerowski był straszny, w odniesieniu jednak do Polaków nie przekraczał znanych w historii miar terroru wojennego. Gdyż stosując metodę porównawczą, gdzież byśmy w takim razie mieli umiejscowić postępowanie względem Żydów, które te miary właśnie przekroczyło? Kto był w tym czasie w kraju pamięta dobrze, że Żyd, któremu udało się uzyskać dokumenty opiewające na Polaka-„aryjczyka", uważał się w praktyce za uratowanego. Była więc przepaść między losem Polaków i losem Żydów. Nie terror zatem fizyczny w stosunku do Polaków stanowił punkt szczytowy szaleńczej polityki Hitlera, gdyż dotyczył tylko pewnego procentu ludności. Punkt szczytowy polegał na tym, że cała ludność bez wyjątku, poddana została obłędnej metodzie poniewierania jej godności na każdym kroku; w tramwaju, na ławce ogrodowej, w pociągu, w restauracji, na chodniku. — I oto ten właśnie ciemniejszy znalazł się jednocześnie w wojnie z bolszewikami... Nienawiść do najeźdźcy odruchowo popularyzuje wszystko i każdego, kto jest jego przeciwnikiem. Nienawiść do okupanta niemieckiego wskutek doznanych krzywd przeistoczyła się nieomal w narodową idee-fixe. W ten sposób na odcinku antyniemieckim propaganda polska miała niejako rozwiązane ręce. Odcinek ten nie wymagał już żadnego wysiłku. Całą pracę wykonywała tu hitlerowska metoda okupacji. Każdy Polak był na tym odcinku po stokroć uzbrojony psychicznie. Tym bardziej jednak stawał się rozbrojony na odcinku antysowieckim. Wydawało się więc logicznie, że tu należało skierować gros wysiłku politycznego. Tymczasem władze podziemne, nawet po tym gdy przegrana Niemiec jest już rzeczą pewną, a ich ustąpienie z terenów Polski i wkroczenie w ich miejsce Sowietów, tylko kwestią czasu, — dolewają coraz więcej oliwy

do ognia, wyśrubowują agitację antyniemiecką do niemal ekstazy, mimo że kielich jest już dawno wypełniony po brzegi. Wynik w polityce jest taki sam jak w fizyce: olbrzymi potencjał antyniemieckiej propagandy przelewa się poza brzegi; a że nic w przyrodzie nie ginie, więc też te masy przelanej jednostronnie energii, nie będąc w stanie bardziej podsycać nienawiści do Niemców, podsycają przyjaźń do Sowietów.

Że pod ciężarem tych stu atmosfer, prosowieckie nastawienie przybrało w Polsce tylko te rozmiary, a nie większe, że w gruncie rzeczy ulegano więcej naciskowi Londynu niż Moskwy (Radio Londyn, wiosna 1944: „Pamiętajcie, że wszelka akcja antysowiecka płynie wyłącznie tylko ze źródeł niemieckich!"), że PPR Gomułka miała bezpośredni wpływ minimalny, a jego dzisiejsze przechwałki są śmieszną bzdurą, — jeszcze świadczyć może o stopniu zdrowego instynktu większości narodu.

Ale o stanie faktycznym i rozmiarach tej pośredniej infiltracji komunistycznej rząd w Londynie winien był zostać poinformowany. Poinformowany nie był. — Zresztą w jaki sposób mógł być poinformowany we właściwy sposób, skoro we władzach podziemia przeważali ludzie jawnie sprzyjający najdalej idącym kompromisom z Sowietami, a zastępca szefa sztabu AK, gen. Tatar, który sam przy pierwszej okazji przeszedł na stronę komunistów, mianowany był kierownikiem dla spraw krajowych przy Naczelnym Wodzu!..

Kolaboracja z wrogiem komunistycznym

Władysław Gomułka w przemówieniu wygłoszonym 20 stycznia 1962, z okazji dwudziestej rocznicy powstania PPR, poddał retrospekcji czasy okupacji i wojny. M.in. wspomniał, że już „w początkach roku 1943 odbyły się dwa spotkania między przedstawicielami kierownictwa PPR i Delegatury", celem nawiązania współpracy. Wprawdzie Gomułka utyskuje, że do współpracy wówczas nie doszło, wiemy jednak skądinąd że do kontaktów nieoficjalnych dochodziło później nieraz. A od roku

1944 poczynawszy, dochodzi już do jawnej kolaboracji z władzami sowieckimi i armią czerwoną.

Używamy słowa „kolaboracja” nie dla wysunięcia jakowegoś zarzutu, a dla ścisłego ustalenia stanu faktycznego. Współpracownictwo bowiem z armią i kierownictwem ościennych władz na własnym terytorium, jest: kolaboracją. (Polski Słownik wyrazów obcych Lama, str. 322, nazwy te utożsamia.) Można by powiedzieć, że działanie aprobowane, lub wręcz nakazane przez legalny rząd i jego władze, nie może podpadać pod pojęcie: „kolaboracji z wrogiem”. Słusznie, oczywiście; ale tylko w odniesieniu do tych, którzy międzynarodowy komunizm za wroga nie uważają. Gdyż sam fakt posłuszeństwa władzom legalnym nie przesądza jeszcze sprawy. We Francji, właśnie legalny rząd Petaina uznany został za „kolaboranta z wrogiem”, a nieposłuszna mu garstka, początkowo, ludzi prowadzonych przez De Gaulle’a, za wyrazicieli dążeń narodowych. Posłuch nakazom władz legalnych, jako zobowiązująca norma postępowania, został też, co najmniej zakwestionowany... orzecznictwem Trybunału Norymberskiego.

Powojenna literatura polrealistyczna usiłuje odwrócić sytuację, przez położenie nacisku na represje, aresztowania i likwidacje oddziałów AK przez władze sowieckie potem, gdy te oddziały wsparły armię czerwoną. Ma to przenieść punkt ciężkości na „zdradę sowiecką” i wystarczyć za alibi polityczne. Ten rodzaj komentarza wydaje się wszelako szczególnie niefortunny. Po pierwsze komuniści nikogo nie „zdradzają”, dopóki likwidują nie-komunistów. Zdradzaliby dopiero swoją doktrynę, gdyby przejściową taktykę wobec nie-komunistów obracali w uczciwy i rzetelny z nimi kompromis. Po drugie sam fakt represji komunistycznych względem kogoś, nie przesądza o jego postawie politycznej. Ofiarami represji padło też setki tysięcy najwierniejszych członków partii. Po trzecie wreszcie, komuniści mają zwyczaj likwidować wszystkich tych, którzy nie są im już potrzebni, a mogliby się stać zawadą w przyszłości. Represja względem AK należały do klasycznego wzoru, o którym wspominaliśmy od początku, likwidacji

zbędnych już „poputczyków”. Poputczyk pochodzi od rosyjskiego zwrotu: „po puti.” — po drodze, do celu oczywiście. Z chwilą gdy cel jest osiągnięty, czy za taki przez komunistów uważany, „poputczyk” jest już nie potrzebny i może odejść jak murzyn, który zrobił swoje. Cała historia taktyki komunistycznej nie pozostawia pod tym względem żadnych złudzeń. A że ktoś nie chce znać tej historii, albo przy złudzeniach się upiera, tym lepiej dla komunistów. Pozwala im to bez końca tę samą taktykę powtarzać i, jak widzieliśmy, w razie nagłej potrzeby nawet „rehabilitować” już raz zlikwidowanych, aby zacząć od nowa. Nie inaczej postąpili z AK. Zajęli Polskę, cel osiągnęli, i byliby zdradzili swą doktrynę, gdyby teraz tą zdobyczą chcieli się dzielić ze swymi nie-komunistycznymi kolaborantami. Przeciwnie, postąpili konsekwentnie likwidując ich, a gdy zaszła nowa taktyczna potrzeba w roku 1956, pośpieszyli z ich „rehabilitacją”.

To też organ młodych komunistów, „Po prostu”, logicznie oburzył się w r. 1957 na wysunięty zarzut „reakcyjności AK”:

„Wiadomo jest powszechnie, że na terenie Wołynia walczyła w latach 1943—44 27 dywizja AK, na Podolu zaś oddziały mjr, Tamy’ i kapitana ‚Trzcianickiego’. Zarówno 27 dywizja Armii Krajowej, licząca 6.500 żołnierzy i oficerów, jak i oddziały podolskie współpracowały ściśle z oddziałami partyzantów radzieckich, później zaś z Armią Czerwoną. Świadczy o tym m.in. komunikat radia moskiewskiego z dnia 19. III. 1944 roku, mówiący o współpracy oddziałów AK i jednostek Armii Czerwonej podczas wyzwolenia miasta Równe. W pierwszej dekadzie kwietnia 1944 oddziały 27 dywizji nawiązały ścisły kontakt z Armią Czerwoną na terenie powiatów ostrogskiego i zdołbunowskiego. Dowódcy sowieccy stwierdzają, że wszędzie otrzymywali pomoc i wyrażają uznanie dla postawy bojowej i dowództwa AK’ — pisał 13. IV. 1944 Biuletyn Informacyjny, organ Biura Informacji i Propagandy KG AK. W tym samym czasie inne ugrupowania Dywizji Wołyńskiej zdobyły stację kolejową Stare Koszary, leżącą na linii Kowel—Luboml. W bitwie o Stare Koszary uczestniczył także oddział radziecki, którego dowódca zwrócił

się do komendanta AK z propozycją współpracy. O innych, wcześniejszych w czasie przejawach współpracy oddziałów 27 z partyzantką radziecką pisze w swych wspomnieniach b. żołnierz tej dywizji, a obecnie major Wojska Polskiego Józef Czerwiński (patrz „Za Wolność i Lud”, nr 6, 1956). Z armią i partyzantką radziecką współpracował również działający na Wołyniu i Polesiu oddział leśny mjr Satanowskiego. Zarówno oddział Satanowskiego, jak i większość żołnierzy i oficerów 27 dywizji zasili później Armię Wojska Polskiego... Cynicznie fałszuje się historię imputując polskim partyzantom reakcyjność... Czas już ostatecznie skończyć z fałszowaniem dziejów II Wojny światowej." — („Po prostu”, nr 23/437, z 9. 6.1957.)

Przyznam, że w tym wypadku, podzielam całkowicie końcowe zdanie w artykule młodych komunistów.

Najintensywniej bodaj rozwinęło się współpracownictwo AK z bolszewikami, w rejonie wspomnianego już Kowla, ale też Lublina, gdzie według pewnych relacji, AK wspomagała bolszewików w zdobyciu 18 miejscowości, wg innych przyczyniła się nawet do zachwiania niemieckiego frontu za Bugiem, za co pewna ilość akowców odznaczona została sowieckimi orderami.

Oficer brytyjski Solly-Flood, w swym szkicu zamieszczonym w "Blackwoods Magazine", opisując pobyt misji brytyjskiej przy AK w zimie 1944/45, cytuje słowa gen. Okulickiego, że „Polacy jak mogli tak wspierali armię rosyjską”... Płk Leon Mitkiewicz, zastępca szefa sztabu przy dowództwie alianckim, w swej pracy ogłoszonej w nr 1 „Zeszytów historycznych” (wyd. „Kultury” paryskiej, 1961), podkreśla „lojalną i aktywną pomoc, jaką AK dawała i daje sowieckim wojskom...” Zresztą wszystkie źródła historyczne fakt ten potwierdzają.

Może szczególną wymowę posiada pietyzm, z jakim się wspomina współdziałanie AK z Armią Czerwoną przy zdobywaniu Wilna i Lwowa. (Nawiasem mówiąc, militarne znaczenie tego współdziałania jest wyolbrzymione.) To jest tych miast, do których Sowiety nie wyrzekły się nigdy pretensji formalnych, i które po „oswobodzeniu” pozostały zgoła poza granicami nawet

Polski Ludowej. Akcja na Wilno rozpoczęła się 7 lipca 1944; poprzedziło ją porozumienie zawarte we wsi Praciaty pomiędzy dowództwem AK i sowieckim.

„Nawet sowiecki dowódca przyznaje w swych wspomnieniach, że wnet potem AK uderzyła na garnizon niemiecki w Żodżiszkach... Armia czerwona korzystała z ich pomocy w ciężkich walkach o Wilno, ale gdy tylko Niemcy zostali pobici, dywizje sowieckie otoczyły oddziały AK, rozbroiły je i tych, co nie zdążyli uciec, wywieziono do łagrów.” — („Ostatnie Wiadomości”, Mannheim, 9. 7.1961.)

„7 lipca 1944 oddziały AK uderzyły na Wilno i odegrały w zdobyciu miasta decydującą rolę, za co uzyskały najwyższe pochwały armii sowieckiej.” — („Dziennik Polski”, Londyn, 3. 9.1949.)

„Wilk-Krzyżanowski... dysponował znacznymi siłami AK, które współdziałały z wojskami sowieckimi, m.in. wydatnie dopomagając im do zdobycia Wilna.” — („Dz. Poi.” l. 6.1957.)

Wybitny komunista polski Jerzy Putrament, wkraczając z oddziałem Berlinga w lipcu 1944 do Wilna, tak opisuje spotkanie z akowcami:

„Jest cicho w umarłej ulicy. Mówimy jednocześnie, my i oni:

— Aka?

— Berlingowcy?

— Pierwsza Armia! — poprawiamy. Znowu milcząc podajemy sobie ręce.” — („Pół wieku”, „Przegl. Kultur.”, Warszawa, 25.1.1962.)

Dnia 23 lipca 1944 rozpoczęły się walki o Lwów. Oddziały AK (5 D. P. i 14 p. uł.) wspierają czołgi sowieckie w akcji i pomagają w zdobyciu miasta. Potem władze sowieckie rozkazują im włączyć się do armii Berlinga. — W londyńskim „Dzienniku Polskim” z 31.7.1961 znajdujemy następującą

wypowiedź jednego z b. akowców, w polemice na temat stosunku do armii Berlinga:

„... jeśli b. żołnierzy z armii Berlinga mielibyśmy uznać za zdrajców ojczyzny, to ciekaw jestem jak p... ukarałby tych spośród nas, którzyśmy całym sercem pomagali zdrajcom'?”

W ten sposób można by cytować stronicami. Z tej kolaboracyjnej wobec Sowietów postawy, wyłamały się jedynie niezależne od AK tzw. „Narodowe Siły Zbrojne” (NSZ). Podziemna agencja prasowa str. ludowego „Wieś” pisze o tym w kwietniu 1944:

„Wzywanie do zakazu współdziałania z wojskami sowieckimi jest niezgodne z rozkazami Komendanta sił zbrojnych w kraju. Jest to wyraźne szkodnictwo.”

Podziemny organ ludowy „Żywią i bronią”, pisze w tym samym czasie:

„Powtarzamy, że owe zbrodnie bratobójcze na oddziałach PPR-owskiej Armii Ludowej, będą najhaniebniejszą plamą w historii walk narodu o wolność... Nigdy broń Batalionów Chłopskich i AK nie zwróciła się przeciw żołnierzowi komunistycznych oddziałów bojowych!”

Nie zmienia niczego w tej konsekwentnej pozycji i powstanie warszawskie z sierpnia 1944, z którego propaganda radziecka czyni szczytowy przykład rzekomo antysowieckiego posunięcia. Albowiem powstanie warszawskie pomyślane zasadniczo w słusznym celu wyprzedzenia Armii Czerwonej w zajęciu stolicy Polski, nie miało zamiaru bronić jej przed bolszewikami, lecz odwrotnie, powitać ich jako sojuszników; w myśl instrukcji dowództwa AK z listopada 1943, o „ujawnieniu się i wystąpieniu wobec wkraczającej armii rosyjskiej w roli gospodarza”. I oto ten tylko zamiar, w niczym nie naruszający postawy kolaboracji, wystarczył aby Sowiety uznały go za „zbrodniczy”. To stanowisko sowieckie potwierdził Gomułka

we wspomnianej wyżej mowie, natrząsając się nad dowództwem AK, że ośmieliło się do takiej roli „gospodarza” pretendować! To znaczy, że gospodarzami w Polsce mogą być tylko komuniści. Obowiązkiem AK było komunistom do tego dopomóc, ale nie samej pchać się do władzy. Trudno o bardziej jawne otwarcie kart; wtedy i teraz.

„Legioniści” na wywrót...

Nikt rozsądny nie będzie twierdził, że Polska po pierwszej wojnie światowej powstała zawdzięczając Piłsudskiemu i jego Legionom. Powstała oczywiście zawdzięczając temu, że nagle wszystkie trzy państwa zaborcze jednocześnie poniosły klęskę. Apologeci Piłsudskiego sugerują, że przewidział on rzekomo tę niezwykle koniunkturę. Przewidywał, czy nie przewidywał, ale należy się zgodzić, że jego obóz polityczny i Legiony, postawiły na kartę w rezultacie wygrywającą, i stały się de facto zrębem odradzającej państwowości i kadrą jej siły zbrojnej. Stąd zrozumiałe po ludzku zjawisko, że legioniści pretendowali w Polsce do pierwszych krzeseł w państwie. Z drugiej strony wolność krytycznej myśli stała w Polsce jeszcze tak wysoko, że ogromna część opinii zdecydowanie przeciwstawiła się „legendzie Piłsudskiego” i hegemonii jego legionistów.

Po drugiej wojnie światowej nikt w pozostałym na wolności społeczeństwie polskim nie ośmielił się wystąpić przeciwko „legendzie Armii Krajowej”; mimo że karta AK nie tylko była przegrana, ale postawiona na współpracę z tym najeźdźcą, który do dziś okupuje Polskę.

AK formalnie podlegała oddziałowi VI (specjalnemu) sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, i winna była wykonywać otrzymane od niego instrukcje. Była to jednak podległość czysto formalna. W praktyce nie rząd „krajowi”, lecz „kraj” rządowi narzucał swą wolę, także w najistotniejszej sprawie, a mianowicie stosunku do Sowietów. Wynika to przykładowo już z historii „Instrukcji dla kraju” Wodza Naczelnego (Sosnkowskiego) z dnia 27 października 1943. Nakazuje on

m.in., że z chwilą wkroczenia na terytorium Polski Armii Czerwonej: „Kraj z Sowietami współpracować nie będzie”; AK winna pozostać w konspiracji. — W odpowiedzi, nadchodzi 1 stycznia 1944 depesza od dowódcy AK gen. Komorowskiego, datowana 26 listopada 1943, w której ten zawiadamia, że wydał rozkaz odwrotny: „W tym punkcie niezgodny z "instrukcją rządu", a mianowicie że: „... miejscowy dowódca polski (AK) winien się zgłosić do dowódcy oddziałów sowieckich”. Ponadto nakazał to również przedstawicielom podziemnych władz cywilnych. Gen. Sosnkowski, jeden z nielicznych wówczas ludzi, który zdawał sobie sprawę z fatalnych następstw współpracy z bolszewikami, jest de facto bezsilny wobec decyzji „kraju”, i w listach do premiera z 4 i 9 stycznia 1944, wypowiada swój negatywny stosunek do decyzji krajowych. Ale rząd zmienia jego „Instrukcje” (w lutym) tak jak tego sobie życzy komenda AK. Prezydent wyraża „ufność w rozum polityczny władz krajowych”. W lipcu 1944 rząd (pod przewodnictwem Mikołajczyka) przekazuje „krajowi” ostatecznie prawo i obowiązek decyzji „bez uprzedniego porozumiewania się z rządem”. Przelew ten zawiera całkowite pełnomocnictwa z dn. 26 lipca 1944. Wszystkie protesty i próby kontr zleceń ze strony gen. Sosnkowskiego, zwłaszcza w odniesieniu do. współdziałania z Sowietami, zostają przez rząd zdezuowowane. AK otrzymuje carte blanche nie tylko w sprawie działania militarnego, ale i politycznego.

Odpowiedzialność za te działania ponosi więc sama. Jakie one były w dziedzinie kolaboracji militarnej z Sowietami, przedstawiliśmy pokrótce w poprzednim rozdziale. Dodajmy do tego dosyć niedwuznaczne stanowisko polityczne cywilnych władz podziemnych. Organ głównego stronnictwa rządowego (Ludowców) „Jutro Polski” w Londynie (Nr 19, r. 1947), stwierdza:

„Podziemna Rada Jedności Narodowej w kraju, a więc reprezentacja całej Polski demokratycznej, jednomyślnie wyraziła zgodę na uchwały Jałtańskie... Premier Mikołaj czy k, przyjmując postanowienia Jałtańskie podporządkował się

przede wszystkim decyzji kraju, jego wyrażonym żądaniom sformułowanym w uchwałach Rady Jedności Narodowej."

Gdy w rządzie emigracyjnym w Londynie doszło do kryzysu z powodu kapitulacyjnej polityki Mikołajczyka i mianowania rządu T. Arciszewskiego, Rada Jedności Narodowej w kraju powzięła uchwałę domagającą się powrotu Mikołajczyka, potwierdzenia zawartego przezeń kompromisu z Sowietami. Gdy w końcu na posiedzeniu Komisji Głównej RJN w dniu 3 maja 1945, wniosek votum nieufności dla rządu londyńskiego nie przeszedł, przedstawiciel najliczniejszego stronnictwa (ludowego), Stefan Korboński, ogłosił się samowwazczo „ostatnim Delegatem Rządu na kraj", i uznał w imieniu podziemia komunistyczny rząd Bieruta.

Jak się skończyło, wiemy. — Podobnie jak odzyskanie niepodległości nie było zasługą legionów Piłsudskiego, tak też utrata niepodległości nie była winą AK i podziemia. W obydwóch wypadkach decydowały siły wyższe. Na ukształtowanie jednak nastrojów w kraju i kierunek myśli narodowej, AK wywarło wpływ decydujący. Wynikał on już z poprzedniej jednokierunkowej racji, którą dostrzegano nie w przeciwstawieniu bolszewikom, a w dobijaniu z nimi razem okupanta poprzedniego, który opuszczał terytorium Polski. Tylko w ten sposób mogła powstać ta ideologiczna „baza", na której komuniści rozbudowali swój dogmat o „wyzwoleniu Polski"; z pewnymi ograniczeniami, ale przyjęty przez większość narodu, mimo że w rzeczywistości na Polskę spadła największa klęska jaka spaść mogła. Gdyż okupacja niemiecka była tylko okupacją zewnętrzną, sowiecka i zewnętrzną i wewnętrzną; niemiecka tylko fizyczną, sowiecka i fizyczną i psychiczną; tamta była przejściowa w okresie wojny, ta trwała w okresie pokoju; tamta nie uznana przez cały świat, ta uznana przez cały świat; wobec tamtej cały naród znajdował się w stanie wojny, wobec tej — w znacznej mierze za sprawą AK — w stanie kapitulacji.

Politycy czy generałowie reprezentujący koncepcję, której rezultatem jest klęska nawet przez nich nie zawiniona, bywają

zazwyczaj odsuwani od wpływów. Taką konsekwencję poniósł obóz sanacyjny po klęsce 1939, chociaż nie była to jeszcze klęska ostateczna. Natomiast dziś, ci którzy wspierali w walce obecnego okupanta, nie tylko nie zostali odsunięci od wpływu na dalszy rozwój polskiej myśli niepodległej, ale uzyskali ponadto w wielu wypadkach monopol na kryterium polityczne i ferowanie decyzji, co było lub jest słuszne, moralne lub niemoralne, zgodne lub niezgodne z interesem narodu.

Jak już wspominaliśmy znaczna część przywódców podziemia i AK, włączyła się w nurt kapitulacji i dalszej współpracy z komunizmem. Nie przeszkodziło to jednak niektórym z nich zająć później na emigracji, ponownie kierownicze pod względem politycznym, a sztandarowe nieomal pod względem narodowym, stanowiska. Dla przykładu przytoczyć wystarczy osobę, wspomnianego wyżej, „ostatniego Delegata Rządu na kraj”, Stefana Korbońskiego. Oto co pisała w tej sprawie wychodząca w Londynie „Myśl Państwowa” (Nr 1, październik 1954, str. 8) w artykule pt. „Trzy rodzaje uchodźców”, podpisanym pseudonimem HAK, znanego dziennikarza polskiego, Henryka Kleinerta (zmarłego 18. 6.1958):

„Ostatni delegat rządu na kraj przestał uznawać rząd i Prezydenta R. P., a uznał Bieruta. Gdy... zwrócono się do delegata rządu, aby pieniądze rządowe i środki łączności z Londynem oddał do dyspozycji tych którzy mają zamiar prowadzić dalej akcję oporu, p. Korboński odmówił... W każdym razie ostatni delegat rządu na kraj wszystko przekazał Bezpiece.

P. Korboński współpracował z reżymem lojalnie. Został posłem, uchwalał co trzeba było uchwalać. Zerwanie nastąpiło nie z jego woli i winy, a po prostu dlatego, że reżymowi już na dalszej współpracy z p. Korbońskim i jego przyjaciółmi politycznymi nie zależało. Odegrali swoją rolę i stali się zbędni...

B. ostatni delegat rządu na kraj znalazłszy się zagranicą nie ogłosił, że jego decyzja z 1945 była błędna... Uznawał nadal Jałtę i Bieruta. Jedyną tylko miał do Bieruta pretensję, a mianowicie że nie wykonuje postanowień jałtańskich w

polityce wewnętrznej w Polsce i odrzucił p. Korbońskiego i współtowarzyszy od współpracy z sobą.

... Ostatnio p. Korboński uzyskał duży rozgłos swą książką „W imieniu Rzeczypospolitej”. Tytuł wzięty z pierwszych słów wyroków wydawanych przez sądy w imieniu tej Rzeczypospolitej, którą p. Korboński zdradził, przechodząc do Bieruta. Obecnie w aureoli sławy autorskiej p. Korboński poczuł się powołany do ferowania wyroków o ludziach na uchodźstwie. Opublikował w prasie niegodną i niską napaść

Jak i z czego powstał „PAX”

Zasadniczą koncepcją stworzenia tej dywersji, było powtórzenie przez komunistów wzoru rozłamowych organizacji religijnych, które swojego czasu rozsadziły od wewnątrz patriarszą Cerkiew rosyjską. Naturalnie w przystosowaniu do tzw. „warunków obiektywnych”. Bolszewicy wkroczywszy do Polski w r. 1945, zastali tu „obiektywne warunki”, stwarzające im poważne trudności pod nie jednym względem. Natomiast niespodziewanie uzyskali dla swych planów, sojusznika ze strony może najmniej przez nich spodziewanej. Początek był taki:

„Wskrzeszenie obozu myśli konserwatywnej”. — Poprzednio poruszyliśmy sytuację w kraju, jaka się wytworzyła pod okupacją niemiecką. Był tylko jeden punkt programu politycznego: walka z Niemcami na ślepo, włącznie do kolaboracji z wkraczającymi bolszewikami. Co ma być dalej, zastępowano „wiarą” w Anglię i przymusowym optymizmem. Temu stanowi politycznej inercji, przeciwstawił Aleksander Bocheński, b. redaktor „Bunt Młodych” i „Polityki” w Polsce międzywojennej, wskrzeszenie koncepcji polskiego obozu konserwatywnego. Był on teoretykiem polityki ugodowej w stosunku do najeźdźcy. Teoretykiem fanatycznym. Naturalnie to stanowisko wzbudziło podejrzenie o „kolaborantstwo” z Niemcami. Niesłusznie. Bocheński był stronnikiem ugodości, ale w stosunku do — każdego najeźdźcy. Jako osoba prywatna nie miał dużego wpływu. Cała siła jego koncepcji polegała wyłącznie na tym, że — była. Podczas gdy innej, na wypadek wkroczenia armii czerwonej, nie było... Obnosił się z nią głównie w Krakowie, podczas i po powstaniu

warszawskim, jesienią 1944. Zwłaszcza zaś w swojego rodzaju salonie politycznym hr. Adama Ronikiera, przy ul. Potockiego 2. Do Krakowa spłynęła wtedy z całego kraju uciekająca przed bolszewikami arystokracja polska i przedstawiciele dawnej myśli konserwatywnej. Wg Bocheńskiego, „wskrzese-
szenie” jej w praktyce polegać miało na przywróceniu tych form ugodowych, które w trzech zaborach przed pierwszą wojną światową dały wydajne wyniki, zwłaszcza pod zaborem austriackim.

Nic tylko: „Rosja”. — Ktoś czytając niniejszą pracę, poświęconą utracie „suwerennej myśli” polskiej, może odnieść wrażenie że zbyt upraszczam przedstawienie rzeczy, i że od-
mawiam jednostronnie inteligencji i krytycyzmu zbyt wielu Polakom naraz. Są to pozory wywołane skupieniem dużego materiału w zbyt ciasnych ramach. Naturalnie, że i w sferach konserwatywnych podniosło się wiele głosów krytycznych wobec koncepcji Bocheńskiego. Przede wszystkim: czy można stosunki wieku XIX, a zwłaszcza wewnętrzną „substancję” byłych monarchii — rosyjskiej, niemieckiej i austro-węgierskiej — uważać za analogię do międzynarodowego bolszewizmu? — Dla obalenia tego najistotniejszego zastrzeżenia Bocheński stał się najzagorzalszym rzecznikiem teorii: „Rosja”. Bolszewizm, komunizm, — twierdził — to tylko zewnętrzny instrument, nieistotna forma. Treść pozostała ta sama: Rosja! Z jej nie międzynarodowymi, a właśnie państwowymi interesami należy wejść w kontakt i znaleźć kompromisowy modus vivendi. Zwekslowanie na termin „Rosja” stanowiło podstawę całej teorii, nijako było bowiem apelować w tym gremium do ugody z międzynarodowym bolszewizmem... Tak więc ten termin, uważany dziś za odpowiedni argument do nacjonalistycznej propagandy antysowieckiej, stał się jednocześnie jedynym argumentem możliwej ugody. Nie należy niczego upraszczać. Dzisiejsza agentura PAXu powstała w rzeczywistości z koncepcji nie agenturalnej, lecz politycznej.

Spotkanie w hotelu „Pod Różą”. — Zastrzegając sobie opublikowanie źródeł w czasie gdy uznam to za możliwe,

opowiem co było dalej: Bolszewicy wkroczyli do Krakowa 18 stycznia 1945. Znaczna część bywalców „salonu politycznego” z ul. Potockiego, wołała jednak uciec na zachód. Również na wszelki wypadek, i sam Bocheński wraz ze swym posylnym, Dominikiem Horodyńskim, i jeszcze kilku osobami, ukrył się w mieszkaniu hr. X., był bowiem podejrzewany o kolaborację z Niemcami. Ale oto zdobył się na krok wysoce ryzykowny, który dopiero zadecydował o całej sprawie. Bo dotychczas, poza zjednaniem dla swojej koncepcji pół tuzina osób utytułowanych, żadnego znaczenia, ani roli politycznej nie odegrał.

W kilka dni po zajęciu Krakowa przez komunistów, zjawił się w nim Jerzy Borejsza (Goldman). Był wtedy wysokim dygnitarzem do spraw szczegółnych, a zwłaszcza do kontaktów z „wewnętrzną” emigracją. Później, jak wiemy, i z zewnętrzną. Borejsza-Goldman, dziś już nie żyjący, był człowiekiem dużej inteligencji osobistej i lotności umysłu. Ceniony wysoko przez górę partyjną za rzutkość w chwytności koncepcji, odróżnianie ważnej od nieważnej. Dlatego powierzano mu misje szczególnie delikatne. Wszyscy, którzy go znali z tego okresu, wskazują na niezwykle zalety jego charakteru. Pisarz komunistyczny, Wojciech Żukrowski, tak go charakteryzuje w 10-tą rocznicę śmierci („Życie Warszawy”, 20 stycznia 1962):

„Dobry psycholog, wiedział, że działanie wciąga, że zmiany w postawach dokonują się szybciej poprzez robotę niż przez dyskusje... Borejsza był urodzonym działaczem, organizatorem, politykiem nie uznającym sztywnych podziałów, uważał, że należy iść do przeciwnika, szukać pomostów, jednać bodaj na krótko do współdziałania, a w razie rozłamu urwać mu, uprowadzić paru, co wybitniejszych ludzi. — Jakże on lubił te znajomości ponad liniami frontów ideologicznych, robił wyprawy po Stanisława Cata-Mackiewicza i po Wańkowicza, obaj wówczas przyjazd do Polski, tej Czerwonej, uważali za zdradę londyńskich imponderabiliów... Obaj potem do nas przyszli.”

To też Bocheński udając się do Borejszy nie mógł lepiej trafić. Borejsza stanął w hotelu „Pod Różą” przy ul.

Floriańskiej. Odbyla się taka rozmowa (powtarzam: zachowuje sobie prawo ogłoszenia kiedyś źródło):

— Jestem Bocheński, Aleksander.

— Aaa... To ciekawe. Zdaje się, że Pana szukają.

— Wiem o tym. Ale chciałbym, żeby poświęcił mi Pan godzinę czasu.

— Niestety, za dwadzieścia minut odlatuję samolotem.

— To niech Pan zadzwoni na lotnisko i odwoła lot.

— Czy rozmowa ma być aż tak ciekawa?

— Mogę zapewnić, że tak.

Po piętnastu minutach, Borejsza istotnie zadzwonił na lotnisko i przełożył na później odlot. Bocheński roztoczył przed nim gotowy program ugody pomiędzy skrajną prawicą, nieprzejednaną „kontrrewolucją”, obozem katolickim a —• nowym reżymem komunistycznym. Mniej więcej w tych ramach, jakie znamy dzisiaj. To znaczy w ramach ogólnie odpowiadających tym, jakie w zilustrowanej powyżej atmosferze leninowskiego NEPu, zwano poputniczestwem. A zgodnie z dzisiejszą teorią: „realnej polityki”.

— Kogo by Pan proponował postawić na czele takiego grupowania? — zapytał Borejsza.

— Bolesława Piaseckiego, jeżeli jeszcze żyje.

— To ma być z Pana strony żart?

— Nie, mówię najpoważniej w świecie. — I Bocheński roztoczył dobrze znane argumenty o konieczności zapobieżenia prawicowemu podziemi. Jest to pierwszy warunek powodzenia całej koncepcji. Naturalnie nie zapobiegnie się zupełnie antysowieckiej partyzantce, ale powstrzyma się najbardziej potencjalną siłę, którą stanowi niewątpliwie nacjonalistyczna młodzież adorująca Piaseckiego. Jego stracenie nie przyniesie żadnej korzyści. Jego postawienie na czele „katolicko-prawicowej opozycji”, ale legalnej, konstruktywnej, uznającej nowe władze za władze „polskie”, — korzyści ogromne.

Borejsza w lot pojął doniosłość argumentów. „Na ówczesnym etapie” sytuacyjnym, pierwszym postulatem nowej władzy było oczywiście, aby nie uznana została przez naród za „władzę okupacyjną”, a za „władzę polską”, bez względu na

emocjonalny do niej stosunek. Plan Bocheńskiego był najklasyczniejszym planem ugody pomiędzy nacjonalizmem i komunizmem. — Tegoż wieczoru Borejsza odleciał z gotowym planem w teczce.

Stryczek, czy „legalna opozycja”? — Ówczesną historię Piaseckiego przedstawia zbiegły w roku 1954 na zachód wyższy urzędnik Bezpieki, Józef Światło, w swoich zeznaniach odmiennie. Według niego Piasecki, który został aresztowany przez operacyjne oddziały NKWD, miał być stawiony przed sąd i powieszony nie tylko za antysowiecką partyzantkę na wschód od Bugu, ale również za rzekomy kontakt z Gestapo. Piasecki ratując swe życie, napisał memoriał do Żymierskiego, który miał wpść w ręce Iwana Sterowa, szefa NKGB. Sierow zainteresował się jakoby propozycjami Piaseckiego etc. — Jest to wielkie uproszczenie, odpowiadające narodowemu nastawieniu, ale nie prawdzie. Tego rodzaju sprawy rozstrzygane były na szczeblu o wiele wyższym, politycznym, a nie policyjnym.

Według posiadanych przez mnie informacji sprawa, w wyniku rozmowy Borejsza-Bocheński, rozpatrywana była przez decydujące czynniki partyjne. Piaseckiego, istotnie ujętego przez NKWD, postawiono przed wyborem: albo stryczek, albo „legalna opozycja”. Wybrał on to ostatnie. — Co do Bocheńskiego, to wyszedł on z ukrycia i otrzymał dyktando upaństwowionych browarów „Okocim” (przed wojną sam był właścicielem browaru w Ponikwie), z „ministerialną pensją”, jak mówiono. I w tym wypadku również nie należy rzeczy upraszczać, jakoby to była jakowaś „zapłata za usługi”. Bocheński działał nie jako agent, lecz jako polityk. Leżało w obustronnym interesie, aby mógł się jako „niezależny polityk” poruszać, mieć zabezpieczony byt i skoncentrować na werbowaniu ideowych stronników.

Polityczna linia. — Zaczęło się też bynajmniej nie od rozbijania jedności Kościoła, a od politycznej akcji, która dla komunistów była oczywiście taktyką „na danym etapie”. W

latach 1945/47 odpowiadała jeszcze całkowicie późniejszej taktyce Gomułki z lat 1956/58, wywołując analogiczne efekty. PAX robił na razie to samo, co dzisiaj robi ZNAK: „Polska jest jedna; wspólne interesy; uznanie stanu faktycznego.” Ale ponad wszystko odrzucenie tezy „okupacji sowieckiej” i uznanie „państwowości polskiej”, chociaż kierowanej przez komunistów. Na razie ci sami ludzie pisywali zarówno w „Tygodniku Powszechnym” jak w „Dziś i Jutro”.

Komuniści najbardziej obawiali się akcji podziemnej. Spodziewano się w Warszawie, że będzie popierana i prowadzona przez II. Korpus. W tym celu już w roku 1945/46 wyjeżdża do Rzymu para: hr. Horodyński i hr. Łubieński, docierając do wszystkich prawie ośrodków emigracyjnych. Znow w tych samych wzorów podróży emisariuszy okresu nepowskiego, wysyłanych z Mińska i Kijowa do ośrodków emigracyjnych białorusko-ukraińskich. Także zdołali dotrzeć do emigracyjnych centrów dyspozycyjnych i ustalić „wspólną platformę” w najważniejszych na tym etapie rozwojowym punktach. Konstytucyjny rząd polski nie uznał się, mimo najazdu sowieckiego na Polskę, w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, zasłaniając się znanym wówczas hasłem: „ratowania biologicznej substancji narodu”. Był to okres, gdy straty w ludziach podczas wojny podawano w szczególnie astronomicznych cyfrach, w czym oczywiście przodował PAX, zarówno w kraju jak na emigracji. („Dziś i Jutro” podało raz liczbę poległych w powstaniu warszawskim na przeszło 700 tysięcy!). W rezultacie znane jest stanowisko emigracji, które odrzuciło wszelką myśl o walce podziemnej w kraju, nawet potępiając ją jako „prowokację”. Przyjęto też tezę: nie międzynarodowy komunizm, a „Rosja”. W ten sposób usiłowano zatrzeć porównanie z NEP-em, z poputniczestwem, zmianą wiech, czy narodowym komunizmem, natomiast genezę wspólnej platformy wyprowadzano z „pozytywizmu”, „pracy organicznej”, nawet z „Wielopolszczyzny”, „stańczyków krakowskich” etc. etc., co oczywiście miało przyjemniejszy wydźwięk i stwarzało oparcie moralne we wzorach z ubiegłego

wieku. Stąd tłumaczy się duży procent b. konserwatystów i osób utytułowanych w szeregach PAXu.

Agentura. — Główną cechą etapów komunistycznych jest ta, że się kończą i przechodzą w następne. Pierwszy „polityczny etap” wypadł dla komunistów pomyślnie. Uznali, że dojrzał czas następnego; niszczenie Kościoła, przy zastosowaniu tych klasycznych wzorów, jakie po roku 1927 zmusiły do załamania metropolitę Sergiusza w Moskwie. Oczywiście zadanie komunistów w Polsce było o tyle trudniejsze, ponieważ Kościół katolicki opierał się na ośrodku położonym poza zasięgiem władzy sowieckiej, czego Kościół prawosławny nie posiadał, ponieważ patriarcha ekumeniczny w Konstantynopolu nie jest tym, co papież w Rzymie, lecz tylko „Primus inter pares”.

Dopiero, więc z chwilą zakończenia „linii politycznej” i przejścia na linię bezpośredniej komunistycznej presji rozpoczęła się dzisiejsza rola Piaseckiego. Szare eminencje polityczne usunięte zostały, jako już niepotrzebne. Koncepcja „myśli konserwatywnej” przeistoczyła się w praktykę agenturalną. Wewnętrzna treść komunistycznej międzynarodówki nie była analogią do treści zaborczych monarchii XIX wieku. Każdy kompromis prędzej czy później musiał się zakończyć agenturą. Po prostu dlatego, że międzynarodowy komunizm nie jest zainteresowany w kompromisie istotnym, dwustronnym. Nie zna kompromisu, bo gdyby go znał — nie byłby komunizmem... Zna tylko taktykę kompromisu.

Według Józefa Światły Piasecki miał podlegać 5 wydziałowi Urzędu Bezpieczeństwa, a dokładnie płk Łuna-Bystrygierowej. Znowu wielkie uproszczenie, które nie ma większego znaczenia dla sprawy. Te uproszczenia odwracają uwagę od istoty rzeczy. Piasecki stanął na czele wielkiej akcji dywersyjnej zarówno politycznej, psychologicznej jak religijnej. Instrukcje szły z nauk Lenina; praktycznie w płaszczyźnie partii a nie rządu. Decydowano były na najwyższym szczeblu partyjnym, a nie na szczeblu Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie, czy MWD w Moskwie. Przedstawianie Piaseckiego w postaci agenta, który

od płk Łuny otrzymuje gotówkę wraz z instrukcją, jest pomniejszaniem wroga i „uoptymistycznianiem” prawdy. Umyślnym anachronizmem, przenoszącym agencję „światowego systemu socjalistycznego” w sferę jakiejś carskiej „Ochrawy”, w czym szczególnie celują wszelkie wersje polskie. Żadna „Ochrana” na świecie nie potrafiłaby skaptować tylu katolickich prałatów, co właśnie... bezbożnicza agentura komunistyczna. Na tym polega ta olbrzymia, organiczna różnica, a zarazem — tragiczny paradoks...

Piasecki otrzymał rozległe koncesje: Już w roku 1947 powstało T-wo Handlu Zagranicznego INCO, powstał PAX i Veritas, początkowo z kapitałem zakładowym 3 milionów złotych. Akcja prowadzona była w dwóch kierunkach. Na zagranicę, głównie we Francji, dla zjednania „progresywnych” kół katolickich. Na wewnątrz, dla rozbicia jedności Kościoła w Polsce.

Jeżeli chodzi o zagranicę, komunistyczne plany podważenia Kościoła rzymskiego były bardzo ambitne. Szły zresztą równoległe do działań agentury moskiewskiego patriarchatu w orbicie Kościoła wschodniego. Z tego czasu datują się te niekończące się wyjazdy do Francji i gdzie indziej wypróbowanej pary Horodyński-Lubieński i in. Świetny znawca międzynarodowego komunizmu, dominikanin, prof. I. O. Bocheński, uważał za najniebezpieczniejszą figurę w tym zespole pisarza rzekomo katolickiego, Jana Dobraczyńskiego, którego książki cieszyły się dużą popularnością na zachodzie i wśród emigracji.

Na wewnątrz, w Polsce, wielka agentura rozbudowana została w potężne organizacje, i wg wzorów bolszewickich przybrała postać analogiczną do „Żywej Cerkwi” z lat trzydziestych. Stworzono przeróżne „Komisje Księży”, „Księży Patriotów” (dziś „księży Caritasu”), ZBOWID itd. W r. 1950 opanowano „Caritas”, w której to akcji prowokatorską rolę odegrał znany, i dziś chwalony w organach ZNAKu pisarz, Paweł Jasienica. Stworzono potężną prasę „katolicką”. Jak dalece była ona „katolicką” w cudzysłowie, niech posłużą dwa przykłady:

Prałat ks. Jasielski z „Komisji Księży” wystąpił z projektem nowego „rachunku sumienia”, w którym był taki punkt:

„Ile razy milczałem o ciężkim grzechu innych, choć powinienem donieść o nim przełożonym lub władzom?” — („Kuznica Kapłańska” nr 4, 1955.)

Prałat ks. Kotarski na drugim zjeździe Komisji Księży w dniu 23 listopada 1954, na wiadomość o śmierci ministra sowieckiego, Andrzeja Wyszyńskiego, prokuratora wielkich procesów stalinowskich, czyli współwinnego śmierci milionów ludzi, zagaił w te słowa:

„Dziś rano nadeszła żałobna wieść o zgonie min. Wyszyńskiego. Złóżmy hołd jego pamięci... Imię Jego jest symbolem walki o pokój... Był On wielkim przyjacielem Polski. Cała ludzkość pamiętać będzie tę szlachetną postać i sławić imię niestrudzonego obrońcy pokoju przez wieki. Cześć Jego pamięci!”. — („Kuznica Kapłańska”, nr 20, 1954.)

Tak to wyglądał ów „katolicki ruch postępowy”, który po wielu reorganizacjach, zmianach, zjazdach i końcowej unifikacji, przechodzi wreszcie w niepodzielne kierownictwo Bolesława Piaseckiego. Jednocześnie rosną jego koncesje i fundusze, którymi rozporządza. Wkrótce nazwany będzie „najbogatszym człowiekiem prywatnym pomiędzy Władywostokiem i Berlinem”. W całym bloku sowieckim nie ma tak ukoncesjonowanego człowieka jak Piasecki.

Potentat prowokacji. — Czasy, gdy prowokator policji carskiej, Azef, uchodził za „króla prowokatorów”, odeszły. Były to czasy indywidualnych agentów i indywidualnych zadań policyjnych. Przyszły czasy masowych agentur i masowych zadań, nie policyjnych ale — partyjnych. Na czele jednego z takich kolektywów prowokacji stanął właśnie Piasecki. W roku 1957, wszystkie organizacje, towarzystwa, przedsiębiorstwa,

wydawnictwa PAXu osiągnęły rekordową cyfrę około pół miliarda złotych rocznego obrotu.

Gomułka wycofał tylko zagraniczną agenturę PAX-u, skompromitowaną ostatecznie w katolickich sferach zachodniej Europy, wskutek zdemaskowania jej działalności przez Watykan, i — zastąpił garniturem innych ludzi. A mianowicie ludźmi z grupy ZNAK-u.

Faryzeizm kontra agentura

Lenin był nie tylko twórcą klasycznej taktyki w zwalczaniu wiary w Boga. Lenin osobiście cierpiał na uraz, nienawidził Boga. W listach do Gorkiego nazywał Boga „rozkładającym się trupem, który smrodem rozkładu zakaża powietrze świata”. — Zwycięstwo, które bolszewizm odniósł nad Cerkwią prawosławną w Rosji, przeistaczając ją w agenturę w służbie bezbożniczej partii, zwykło się przypisywać jej tradycyjnej strukturze i uległości wobec wszelkich tyranów. Wszelako fragment mało znany mówi nam, że Cerkiew prawosławną w Rosji była w istocie jedynym Kościołem chrześcijańskim, który w granicach opanowania bolszewickiego, podjął jawną walkę z komunizmem, i wystąpił nie tylko jako „ofiara prześladowań”, lecz jako otwarty wróg. Dnia 19 stycznia 1918 roku patriarcha Tichon rzuca anatemę na bolszewików:

„Mocą użyzycznej Nam przez Boga władzy, wzbraniamy wam Sakramentów Chrystusowych i rzucamy na was anatemę, o ile nosicie jeszcze imiona chrześcijańskie, i chociażby przez urodzenie swe tylko, do Cerkwi Prawosławnej należycie.”

Stąd powstał na początku ów słynny swojego czasu bolszewicki terror antyreligijny, który pozornie nie godził się z elastyczną taktyką Lenina, a wywołany został stanem otwartej wojny.

Kościół katolicki w Polsce, po opanowaniu jej w 1945 przez bolszewików, o walce z komunistami nie zamyślał. Wręcz przeciwnie, od początku zachował pełną lojalność wobec nowych władz, mimo iż na emigracji istniał prawomocny rząd konstytucyjny.

Gdy się czyta dziś historię oszukania narodu polskiego i cofnięcia uznania prawomocnemu rządowi polskiemu w Londynie przez mocarstwa zachodnie wydaje się, że nawet z pozycji niechęci do jego polityki, trudno oprzeć się głębokiemu przygnębieniu i uczuciu smutku wobec tragicznej niesprawiedliwości. Nie będziemy w tym miejscu dociekali, mocą jakich słusznych racji w interpretowaniu stanu prawnego, Kościół katolicki nie oddzielony od państwa w Polsce, przestał uznawać konstytucyjny rząd tego państwa, a uznał *de facto*, i jak z późniejszych dokumentów i deklaracji wynika, *de jure* — rząd komunistyczny. Na wewnętrzny układ stosunków w kraju miało to wszelako większy wpływ niż cofnięcie uznania przez mocarstwa zachodnie.

Mimo tej korzystnej dla bolszewików sytuacji, zastosowanie klasycznej taktyki do kapitulacji Kościoła, na wzór Cerkwi, nie doprowadziło. Poważne zaś ustępstwa ze strony episkopatu, osiągnięte zostały przez komunistów nie tyle zawdzięczając rozłamowej agencji PAXu, co ugodowej polityce ludzi, zgrupowanych wokół „Tygodnika Powszechnego”.

Jest niewątpliwie tylko jeden szczerzy stosunek do Boga. Głęboka wiara w to, że cokolwiek się robi i myśli, Bóg przenika myśli i prawdziwe intencje czynów człowieka. Człowiek, który zatracą poczucie tej wszechobecnej Wiedzy, czy to w życiu prywatnym czy publicznym, zaślaniając się Imieniem Boga dla maskowanych w ten sposób celów prywatnych czy politycznych, nosi miano — faryzeusza. Że jednym z ostatecznych celów komunizmu jest zniszczenie na ziemi wszelkiej wiary w Boga, o tem wiedzą zarówno ludzie z PAXu jak ZNAKU. Grupa PAXu stoczyła się niebawem do jawnej agentury działającej na korzyść komunizmu, i dlatego trudno pomawiać ją o faryzeizm. Inaczej grupa ZNAKU.

Grupa ZNAK-u. — Grupa „Tygodnika Powszechnego”, która stanowi trzon dzisiejszego ZNAKu, nigdy nie była stroną walczącą z komunizmem, jak to się wielokrotnie przedstawiało na emigracji. Wręcz przeciwnie, od początku dążyła do *modus vivendi*; kompromis z komunistami był jej celem. W zasadzie

ZNAK, a nie PAX, odpowiadał istocie porozumienie Borejsza-Bocheński. Jeżeli ludzie z „Tyg. Powszechnego” celu swego nie osiągnęli za czasów Bieruta, to nie ich wina, a rezultat odmiennego celu, do którego dążyli komuniści.

Początkowo katolicy z „Tygodnika Powszechnego” szli otwarcie z PAX-em. Dopiero, gdy Piasecki i towarzysze stoczyli się z etapu „politycznego” do etapu jawnej agentury, nastąpił rozłam, gdyż grupa „Tygodnika Powszechnego” usiłowała utrzymać się w dalszym ciągu na „etapie politycznym”, umożliwiającym wywieranie wpływu z jednej strony na masy wiernych, z drugiej na episkopat. Nastroj był (i jest) tego rodzaju, że masy wiernych w każdej chwili gotowe są poprzeć Kościół w jego ewentualnej walce z komunistami. Największą, więc troską tej grupy „politycznej” było niedopuszczenie do tej walki i wpływanie na episkopat, aby niebacznym zaostrzeniem nie spowodował wybuchu. Tymczasem otwarta dywersja PAXu utrudniała tę drogą „politycznej” ugody. Stąd zasadnicza różnica w poglądach, które przeważnie błędnie oceniano na zachodzie i wśród emigracji.

Gdy Bierut uznał pierwszy „polityczny etap” za skończony i postanowił przejść do następnego, rolę poputczików i kompromisowiczów politycznych uważał za spełnioną; przystąpił, więc do likwidacji grupy „Tygodnika Powszechnego”.

Umowa z 14 kwietnia 1950. — Dnia 4. 4.1950 podpisana zostaje umowa „pomiędzy Kościołem i państwem”, stanowiąca poważne zwycięstwo komunistów i przyjęta ze zdumieniem i zaskoczeniem w Rzymie. To, co nastąpiło dalej ze strony komunistów nie było, jak to powszechnie przedstawiano, „wbrew umowie”, lecz przeciwnie było logicznym wynikiem tej umowy. Albowiem komuniści sądzą, że Kościół stoi na progu kapitulacji i zwiększają nacisk. Następuje okres bezwzględnego prześladowania. W 1952 wymuszona zostaje przysięga biskupów; 9-go lutego 1953, słynny dekret o obsadzeniu stanowisk kościelnych, który wkracza już w forum internum jurysdykcji kościelnej; 26 września 1953 aresztowany zostaje

prymas Wyszyński. W dwa dni później biskupi Klepacz i Chormański podpisują w imieniu episkopatu oświadczenie, które nigdy nie zostało opublikowane na emigracji. Jest to poniżający akt, który zamiast protestować przeciwko aresztowaniu prymasa i prześladowaniom, zawiera wiernopoddańcze akcenty wobec władzy komunistycznej. Jeżeli chodzi o historyczną analogię, odpowiada on z treści i ducha kapitulacyjnej deklaracji metropolity Sergiusza z r. 1927.

Był to szczytowy punkt pognębienia Kościoła w Polsce i komunistom zdawało się, iż osiągnęli jego pełną dezintegrację, wciąż według wzoru, jaki osiągnęli wobec Cerkwi patriarchalnej w Moskwie. Tu się mylili. Omyłka w rachunku polegała na tym, że w Rosji mieli w ręku najwyższego dostojnika duchowego, gdyż jak już wspomnieliśmy patriarcha w Konstantynopolu jest li tylko primus inter pares, ale nie głową Kościoła wschodniego. Natomiast głową Kościoła zachodniego jest papież w Rzymie, i jemu podlega Kościół w Polsce. Ręce komunistów okazały się za krótkie. Wprawdzie posiadali potężną organizację PAXu, gotową na skinienie stworzyć „Kościół państwowy” na usługach partii, ale jasne było, że cały naród katolicki nie pójdzie na zerwanie z Rzymem i raczej przejdzie do Kościoła w katakumbach. To wywracałoby wszelkie rachuby. Nastąpiły wściekłe ataki na szlachetną postać niezłomnego papieża, Piusa XII, ale nie wyprowadzały one ze ślepej uliczki. Zaczem przyszła „odwilż” w Sowietach, a niebawem Gomułka w Polsce.

Nie było żadnej nowej umowy pomiędzy Gomułka i Kościołem. — W przekonaniu ogółu miało dojść, po wypuszczeniu kardynała Wyszyńskiego, do podpisania pomiędzy nim i Gomułka, w grudniu 1956, jakowejś nowej umowy. Nic podobnego nie zaszło. Potwierdzona została jedynie w całej ciągłości umowa z 14-go kwietnia 1950; nawet na niekorzyść Kościoła w punkcie b. art. 10, dotyczącym modlitw w szkołach, co zostało skreślone. Poza tem dokonano nieznaczących zmian stylistycznych w osławionym dekrete o obsadzaniu stanowisk kościelnych. Sam dekret został utrzymany w mocy, jak był.

Istota owego słynnego „porozumienia” polegała na czym innym. Mianowicie na solennej obietnicy Gomułki, że dotrzyma zobowiązań, które umowa z 14.4.1950 nakłada na władze. W zamian żądał poparcia przy wyborach jedynej listy komunistycznej.

Episkopat wybory poparł. Był to pierwszy wypadek w historii, gdy Kościół rzymski zaangażował się tak dalece we współpracy z rządem komunistycznym. Gomułka ze swej strony obietnicy narazić dotrzymał, w myśl wskazań Lenina na VIII zjeździe partii 1919 r., który przestrzegał przed walką z religią, gdy są „ważniejsze problemy” do rozwiązania. Szykany i represje ustały. W ten sposób nastąpił niejaki nawrót do „etapu politycznego”.

Zdawało się, że nadszedł czas tryumfu dla ugodowców i kompromisowiczów, a pogwałcenie płatnej koncesjami agentury PAX-u. Powstaje „Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej” pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego, który oświadcza:

„Zdajemy sobie sprawę, że PZPR jest jedyną siłą zdolną pokierować losami narodu. Dajemy jej kredyt zaufania i pragniemy z nią współpracować”...

Konkurencja. — Niebawem powstaje klub sejmowy ZNAK z Zawieyskim (Członek „Rady Państwa”), Stanisławom Stommą, Stefanem Kisielewskim na czele. Ale spotyka ich rozczarowanie. Gomułka nie jest oczywiście taki głupi, aby pozbywać się swej „żywej cerkwi”. Utrzymuje ją dla zaszachowania Kościoła i tegoż ZNAK-u, w dalszym ciągu. — Od tej chwili rozpoczyna się konkurencyjna gra pomiędzy ZNAKiem i PAXem o zdobycie pierwszego miejsca w zaufaniu partii komunistycznej. Ten wyścig jest, naturalnie, niezmiernie dla komunistów wygodny. Polityka ZNAKu jakby chciała przekonać komunistów mniej więcej w sensie: „Po co macie popierać fałszywych katolików, skompromitowanych agentów skoro my, autentyczni katolicy i także realni politycy, idziemy z wami na każdą współpracę polityczną”. — Jak wiadomo „przekonać” komunistów nie można; można tylko pasować albo nie pasować do ich taktyki na „danym etapie”. A do

gomułkowskiego etapu pasuje utrzymanie obydwóch ugrupowań. Piasecki pozostaje w dalszym ciągu „najbogatszym człowiekiem” między Berlinem i Władystokiem, natomiast na zachód europejski — wysunięty zostaje ZNAK.

Ekspozycja prokomunistycznego faryzeizmu. —

Gomułka dokonał swoistej „ewolucji”: agenturę zagraniczną zastąpił faryzeizmem. Zamiast niezdolnych i trochę śmiesznych postaci, w rodzaju Horodyńskiego, pojawiają się teraz na Zachodzie osoby poważne, o dużej erudycji teologicznej, wyrobieni politycznie. Nie mówi się o nich głośno, że to „agenci”, lecz po cichu, że to ludzie „stojący blisko” osoby prymasa”. Oni zaś czasem prostują, a czasem nie dosłyszają tych szeptów...

9 maja 1957 występuje Kisielewski w Congres pour la liberte de la culture w Paryżu; 13 maja Stomma w Centre intellectuel des catholiques francais; 15 maja Zawieyski udziela wywiadu „Le Monde”. We wszystkich wypadkach funguje jako patron na terenie francuskim ten sam przedstawiciel „progresistów”, Maurice Vaussard, który dotychczas wprowadzał gości PAXu. Sens wszystkich wystąpień pokrywa się ze znanymi tezami emisariuszy PAXu: polscy katolicy akceptują ustrój; Polska chce zostać w Obozie Socjalistycznym;

Kościół winien się włączyć w wielkie przemiany, które wprowadza socjalizm, a nie kosztować w konserwatyzmie i klerykalizmie. — Politycznie oceni te wystąpienia „Życie Warszawy” (3. 2. 1959) w następującym skrócie:

„Kisielewski, Stomma, Zawieyski i inni ludzie ZNAKu usuwają poza granicami Polski monstrualne przesady wobec socjalizmu i współdziałają w wytworzeniu klimatu koegzystencji.”

Właśnie w czasie, gdy emigracja i polonia amerykańska zabiega o kredyty i dostawy dla „narodu polskiego”, gdy łaknący dewiz rząd komunistyczny w Warszawie obkłada dary dla rodzin w kraju drakońskim cłem, i ogranicza do minimum

zezwoleń osobom prywatnym na wyjazd zagranicę, zapoznajemy się z listą delegacji zagranicznych posłów ZNAKu:

„Jerzy Zawieyski wyjeżdża na konferencję Unii Międzyparlamentarnej w Londynie; na międzynarodową konferencję parlamentarzystów katolickich w Lourdes. — Stanisław Stomma do Włoch, do Francji i do krajów Ameryki łacińskiej. — Miron Kołakowski wyjeżdża w delegacji parlamentarnej do Finlandii. — Paweł Kwoczek w delegacji do Belgii. — Wanda Pieniężna do NRD i na konferencję organizacji kobiecych w Wiedniu. — Konstanty Łubieński na konferencję Unii Międzyparlamentarnej w Londynie i na posiedzenie Rady Unii w Nicei. — Latem 1960, 'Pociąg Pokoju i Przyjaźni' wyjeżdża do Związku Sowieckiego, m.in. wioząc 10-osobową ekipę członków grupy ZNAKu. — Najbardziej ruchliwy, Stefan Kisielewski, jest w r. 1957 we Francji i Anglii; w r. 1958 w Rumunii; 1960 w Danii, Francji, Italii, Szwajcarii i Niemczech; 1961 .zapoznaje się z osiągnięciami' Zw. Radzieckiego; 1962 jest już znowu we Francji i Niemczech zachodnich."

Niezależnie od tych delegacji zagranicę, organizuje się w Polsce przyjęcia i spotkania wycieczek i grup katolickich z całego świata. W charakterze gospodarza występuje Klub Inteligencji Katolickiej spod znaku — ZNAKu. Celebrytuje się nabożeństwa i wygłasza referaty, dyskusje. Np. o „dekadencji Stanów Zjednoczonych", o „dekadencji Europy Zachodniej", o „lepszem zrozumieniu i płodności koegzystencji" etc. A przede wszystkim, zgodnie z ostatnim postulatem sowieckiej polityki zagranicznej, o zagrożeniu świata ze strony rewizjonizmu niemieckiego.

Ale cofnijmy się do chronologicznego przedstawienia wypadków.

Pierwsza runda. — W r. 1958 Gomułce wydało się, że dojrzał już czas do zdyskontowania kompromisu z episkopatem i podobnie jak Bierut, przechodzi do następnego etapu, rozpoczynając prześladowanie Kościoła. (Słynne wkroczenie do

klasztoru Jasnogórskiego i itd.). Agentura PAXu aprobuje natychmiast wszystkie zarządzenia komunistów. ZNAK na zewnątrz nie aprobuje, ale czyni gorączkowe wysiłki za kulami, aby wpłynąć na... episkopat" w duchu ustępstw i kompromisów". Zawieyski udziela 27. 8.1958 kolejnego wywiadu „Le Monde”, w którym oświadcza, że o „żadnym prześladowaniu Kościoła w Polsce mowy być nie może”. Wydaje się jednak, że pierwsza runda zapasów w konkurencji z PAXem jest przegrana. I oto raptem wszystko się zmienia!

Zasługa Stommy. — Dnia 9 października 1958 umiera wielki przeciwnik komunizmu i wielki zarazem papież Pius XII. Moskwa, w obliczu nowych możliwości taktycznych, każe wstrzymać prześladowania religijne. ZNAK otrzymuje zrazu po cichu (odnośne zarządzenie ukazuje się dopiero dwa tygodnie później, 7 listopada 1958) koncesje na wydawnictwo książek religijnych. Jednocześnie Stomma, zaopatrzony w paszport dyplomatyczny, udaje się do Rzymu w asyście towarzyszącej kardynałowi Wyszyńskiemu.

Ambasada polska przy Watykanie była od zawsze cierniem dla komunistów. Ze szczególną jaskrawością wyszło to na jaw swojego czasu, podczas procesu biskupa Kaczmarka. Jej usunięcie to postulat minimum. Nie jest dla nikogo tajemnicą, poza chyba... polską prasą emigracyjną, że likwidacja ostatniej dyplomatycznej placówki Polski przy Watykanie, dokonana została na skutek interwencji kardynała Wyszyńskiego, przy czynnym zakrzątnięciu Stommy. Że jednocześnie zlikwidowane zostało i poselstwo wolnej Litwy, to już nade-tatowy, a sympatycznie przyjęty, prezent dla Moskwy.

Zaczyna się nowa era ZNAKu w oparciu o zaufanie, jakie zdobył w sferach partii komunistycznej. Wiceprezesem zostaje Konstanty Łubieński, za czasów Bieruta najaktywniejszy agent PAXu za granicą, odznaczony komunistycznym wydaniem orderu „Odrodzenia Polski”. Na pierwszy plan wysuwają się jednak Stomma i Kisielewski. ZNAK otrzymuje nowe koncesje w kraju, m.in. intratną firmę „Libella” na zasadach zakładów przemysłowych PAXu, podczas gdy niektóre zostają poraż

pierwszy PAXowi obcięte. — Lansuje się artykuły członków ZNAKu do prasy emigracyjnej.

Druga runda. — W tej drugiej rundzie konkurencji z PAXem, stanowisko ZNAK-u nie budzi już żadnej wątpliwości, gdyż jest coraz mniej maskowane:

„Żyjemy w chwili, kiedy linia partii rządzącej pokrywa się z racją stanu narodu...” („Tyg. Powsz.", 4. 9.1960.)

„Polityka Polski Ludowej stanęła na mocnym fundamencie, wybrała sojusz odpowiadający interesom narodu, sojusz zgodny z perspektywami rozwojowymi naszego narodu. Jest to sojusz ze Związkiem Radzieckim.” — (Przemówienie Stommy w sejmie. „Życie Warszawy” z 22.10.1960.)

„Katolicyzm musi przezwyciężyć swoje skostnienie, rutynę, konserwatyzm... (Stomma, „Tyg. Powsz.", 6. 2.1961.)

„Jeżeli ci to przeszkadza, to nie mów. Królowo!... (Korony Polskiej)... — (Ks. Maliński, „Tyg. Powsz.", 5. 2.1961.)

„Światowy system amerykański powoli się rozprzega... Siłę może nam dać jedynie ścisły sojusz ze Związkiem Radzieckim... Uświadomienie tego faktu całemu społeczeństwu i przekonanie go o słuszności tak pojętej racji stanu jest najważniejszym zagadnieniem naszego bytu narodowego...” — („Tyg. Powsz.", 4. 9.1960.)

Naturalnie to tylko cytaty. Na łamach „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” ubrane są w bogatą elokwencję, ujęte często w formę wysokiego poziomu, erudycji, filozoficznych rozważań o subtelności faryzeuszowskiej, ostrożnie dozowanej i planowo rozłożonej na takie pojęcia jak: „realna polityka”, „racja stanu”, „pozytywizm”, „Maritainizm” etc. etc. Sprowadzają się jednak do zasadniczej konkluzji:

„Stwierdzaliśmy wielokrotnie..., że ogólny kierunek rozwoju społeczno-politycznego wytyczony dla Polski po drugiej wojnie światowej uważamy za słuszny. Przemiany w Polsce Ludowej zrealizowane, dały nam wreszcie zdrową strukturę...” — (Stomma, przemawiający w imieniu ZNAKu. „Życie Warszawy”, 20. 5.1961.)

Jeżeli porównamy te wypowiedzi z wypowiedziami grupy Piaseckiego z lat 1945/47, widzimy, że nie ma w tym nic nowego. Wszystko to czytaliśmy w pismach paxowskich swego czasu, może tylko ujęte w formy mniej świętoszkowate i mniej przeniknięte duchem troski o dobro katolicyzmu, w obawie aby — „nie pozostał w tyle”:

„Prawda zawsze jest Boża, zawsze jest Chrystusowa, katolicka, nasza. Chociaż ma znak innego światopoglądu. Otwórz szeroko drzwi i okna... Nie bój się przyznać racji, uznać, przyjąć, cieszyć się ludźmi... chociażby byli niewierzącymi w Boga.” — Ks. Mieczysław Maliński („Tyg. Powsz.” z 21. 5.1961.)

Nie ma co, szczerze piękne słowa! — Od 17 lat szkoła komunistyczna usiłuje zaszcześcić dzieciom pogląd ateistyczny. I oto na trybunę sejmową wkracza poseł katolicki ZNAKu, Tadeusz Mazowiecki, i oświadcza:

„17 lat rozwoju oświaty powszechnej przyniosło Polsce ogromne osiągnięcia społeczne... Ten wielki rozwój oświaty nie jest dziełem przypadku, ale wynika u nas z założeń ustroju socjalistycznego...”

Agentura Nr 2. — Prawo równi pochyłej jest jednakie dla wszystkich. Kto na nią raz wkroczy, toczy się dalej. Także obserwujemy w tej chwili staczanie się grupy ZNAKu z „etapu politycznego”, poprzez „etap faryzeizmu” do etapu jawnej agentury. Świadczy o tem zarówno włączanie się we wszystkie dezyderaty polityki zagranicznej bloku komunistycznego, dywersyjna akcja w ośrodkach katolickich na zachodzie, jak też w ośrodkach emigracyjnych.

Dnia 8.10.1961 „Tygodnik Powszechny” wystąpił z wielkim artykułem pt. „Propozycje dla emigracji”. Pokrywają się one bez reszty z instrukcjami b. „Komitetu Michajłowa” we wschodnim Berlinie, obecnie „Komitetu do rozbudowy kontaktów z rodakami na obczyźnie”, przeznaczonego do akcji

dywersyjnej wśród emigrantów ze Związku Radzieckiego: „Popierajcie interesy ojczyzny' za granicą...” Różnią się tylko wyższym poziomem, doskonalszą, a więc skuteczniejszą formą.

W numerze z marca 1962, paryska „Kultura” zamieściła „List do redakcji” Stefana Kisielewskiego, zawierający w istocie dokładnie te same sugestie, jakie 40 lat temu lansowane były przez prowokacje znanego nam „Trustu” GPU: — „Komunizm dzisiejszy to w istocie amerykańizm dla ubogich... Komuniści polscy są niczym innym jak tylko reprezentantami polskiej (państwowej) orientacji wschodniej...”, prowadzą „konstruktywną politykę z Rosją...”, „otwierają wielkie możliwości”, bo „komunizm się pragmatyzuje i liberalizuje...”. Jesteśmy świadkami „uniwersalistycznej ewolucji komunizmu...”. — „Wszyscy mądrzy ludzie partii dążą do przekształcenia systemu, odtotalizowania, zdemokratyzowania i zliberalizowania...”; rozpoczyna się „organiczne dzieło odnowy...”. A z tego wniosek kapitalny: należy tylko zaprzestać wszelkiej akcji antysowieckiej i antykomunistycznej!

Wreszcie w artykule zamieszczonym w czerwcowym numerze „Kultury” (1962) tenże przedstawiciel zrewolucjonizowanego faryzeizmu, Stefan Kisielewski, przynosi emigracji pocieszającą ją wieść:

„Symbolem postawy pragmatycznej jest dla mnie premier Chruszczow. Ten człowiek na szczęście nie jest filozofem... Po prostu ma oczy i chce z nich robić właściwy użytek. Empiryk — jakież to pocieszające!”

W tym wszystkim, przyjmowanym zresztą dosyć sceptycznie przez emigrację, znajdzie się wszelako akcent, który przemawia już bezpośrednio do wyobraźni polrealistów:

„... w naszym kącie mizernego półwyspu zwanego Europą, naród polski w dalszym ciągu nie ma innego wyboru, jak tylko wybór między Rosją i Niemcami.”

Byłoby naiwnością sądzić, że przy faktycznej dyscyplinie jakiej podlega „poseł na sejm” w kraju, Stefan Kisielewski mógłby sobie pozwolić na lansowanie tezy, w gruncie sprzecznej z tezą „obozu socjalistycznego”, gdyby sugestie tego rodzaju nie leżały w taktycznym interesie delegującego zagranicę mocodawcy, partii komunistycznej.

Druga wielka prowokacja

Znaczenie słów

Nieprawda, że dobór słów nie ma znaczenia istotnego. Ma czasem ogromne. Gdy w roku 1927 mówiło się, że metropolita Sergiusz w Moskwie „poszedł na ugodę z bolszewikami”, — brzmiało to paskudnie; gdy się natomiast dziś mówi, że doszło do „porozumienia między Kościołem i państwem”, — brzmi to poważnie i godnie. Jakkolwiek w obydwóch wypadkach istota rzeczy jest ta sama. Polityk, któryby powiedział: „zdecydowałem się pójść na poputniczeztwo z międzynarodowym komunizmem”, przestanie być uważany za polityka; gdy jednak powie: „zdecydowałem się poświęcić pracy organicznej w kraju”, uważany będzie nawet za realnego polityka. To samo dotyczy zamiany słów takich jak „kolaboracja” słowem „pozytywizm”, „sowietyzacja” słowami „przemiany strukturalne” itd. We wszystkich tych wypadkach warunkiem wstępnym usprawiedliwiającym kompromis, jest nazwanie Polski Ludowej nie prowincją bloku komunistycznego, a — państwem polskim. Stąd już podczas pierwszych kroków na równi pochyłej w roku 1945, zaniechano na emigracji określenia: „polscy komuniści”, „polscy bolszewicy”, czy „kolaboranci”, „sowieccy Quislingowie”, itp., a dobrano pojęcie wieloznaczne, mgliste: „reżym”. Używany bez przymiotnika, sugerował iż w każdym razie chodzi o „reżym” panujący w... państwie polskim.

Gomułkizm

Wśród takich rekwizytów rozegrał swą grę Władysław Gomułka. Stary agent bolszewicki.

Aresztowany przez policję polską w 1932 w Łodzi i skazany na 7 lat więzienia, już po upływie roku, na mocy polsko-sowieckiego układu o wymianie więźniów, zostaje w 1933 oddany władzom sowieckim. W Moskwie przechodzi Gomułka specjalne kursy dywersyjne i w trzy lata później, via Dania i Niemcy, przerzucony zostaje ponownie do Polski dla rozbudowania akcji wywrotowej. Aresztowany повторно w r. 1936, przesiedział w więzieniu do wybuchu wojny 1939. Na mocy cichego porozumienia pomiędzy okupantami hitlerowskim i sowieckim, zostaje przez hitlerowców wypuszczony do okupacji sowieckiej. Przebywa w Galicji, gdzie w myśl ówczesnej instrukcji partyjnej, powstrzymuje się od wszelkiej akcji antyhitlerowskiej, prowadząc dalej robotę propagandową przeciwko „burżuazyjnej Polsce”.

W roku 1943 otrzymuje z Moskwy polecenie udania się do Warszawy i odbudowania tam polskiej partii komunistycznej pod firmą PPR. Dalszy przebieg wypadków jest znany: tarcia pomiędzy Gomułką i Bierutem, powstały już w czasie okupacji, wskutek różnicy poglądów na taktykę. Animozje te zaostriżyły się później do tego stopnia, że doprowadziły nawet, już w Polsce Ludowej, do przejściowego aresztowania i uwięzienia Gomułki. Rzecz, jak wiadomo, nieoryginalna w stosunkach wewnątrzno-partyjnych. Nigdy wszakże nie było między nimi różnic ideowych. Gomułka, inteligentniejszy od Bieruta, był stronnikiem taktyki możliwie elastycznej, rokującej większą skuteczność. Podczas gdy Bierut, zaprawiony w dyscyplinie INO (Inostrannyj Otdiel NKWD) trzymał się taktyki bardziej tępej, skostniałej.

Całe emocjonalne życie Gomułki przeszło w walce o podanie Polski Sowiетom, w walce z państwowością Polski niepodległej. Stąd jego niezaprzeczalnie wielka znajomość terenu i psychologii przeciwnika. Można by go słusznie nazwać „pol-

skim Leninem". — Zmarły w r. 1948 filozof rosyjski Mikołaj Bierdiajew twierdził, że zasadniczym bodźcem działania Lenina była jego nienawiść do politycznego ustroju Rosji i dążenie do zniszczenia go. Temu głównemu celowi podporządkował Lenin wszystko inne. — Takież Gomułka poświęcił wszystko jednemu celowi: skutecznej taktyce.

Genialna mistyfikacja. — Gomułka oparł się całkowicie na wskazaniach Lenina. — W roku 1916 Lenin, w dyskusji z Różą Luksemburg i Piatakowym, wypowiedział swe słynne słowa o „różnych drogach do socjalizmu” i o „jednostajnej szarości” tych, którzy by pragnęli przeistoczyć wszystko wg jednego wzoru. W dniu 19 marca 1919 r. na VIII zjeździe partii, Lenin powiedział:

„Jeden z polskich komunistów, gdy powiedziałem mu:
Wy zrobicie to inaczej, odpowiedział mi: Nie, my zrobimy
to samo, co wy, ale zrobimy lepiej od was!”

Lenin był z tej odpowiedzi bardzo zadowolony. — To, co zrobił Gomułka, nie mogło w gruncie rzeczy daleko odbiegać od tego, co robił Bierut. Pod pewnym względem pierwszy etap Bieruta był o wiele „liberalniejszy” od „polskiego października” Gomułki. Przypomnijmy, że w pierwszym etapie Bierutowym, taki np. „Głos Ludu” (6. 5.1945) pisał:

„Odrzucamy jako fantastyczne, wręcz prowokacyjne insynuacje wroga o tym, jakoby partia dążyła do kolektywizacji gospodarki... Stoimy twardo na gruncie indywidualnej gospodarki chłopskiej. Partia nasza nigdy nie wysuwała hasła kolektywizacji i nie ma w swoim programie postulatu kolektywizacji. Faktem jest, że reakcji udaje się otumanąć część chłopów.”

A ówczesne „porozumienie z Kościołem” szło tak daleko, że Bierut (stary agent INO NKWD!) zasiadał w pierwszych fotelach uroczystych nabożeństw państwowych; składał przysięgę: „Tak mi dopomóż Bóg...”; niektórzy ministrowie i milicja

brali udział w procesji Bożego Ciała etc. — Ale Bierut trzymał się kurczowo instrukcji o podziale etapów, i jego dalsza taktyka była sztywna, nacechowana „jednostajną szarością”. — Gomułka wyrzucił błędy Bieruta za burtę i postanowił zrobić „to samo, ale lepiej”. Istota taktyki Gomułki polegała na tym, że opierając się na starych wzorach NEPu, przystosował je do faktycznych nastrojów, nie tylko z ręką na pulsie, ale działał niejako z uchem przyłożonym do żywego ciała Polski, nieomylną diagnozą wyznaczając posunięcia wiodące do bezpośredniego celu. W ten sposób doprowadził do genialnej prawie mistyfikacji, osiągając taki stopień solidarności szerokich warstw z partią, jakiego nie osiągnął przed nim żaden chyba przywódca komunistyczny. To pozwoliło mu uratować bezkrwawo komunizm w Polsce w kryzysowym roku 1956 i zasłużyć słuszną wdzięczność ze strony międzynarodowego komunizmu. Na naradzie 81 partii komunistycznych w r. 1960 w Moskwie, powie o tym delegat partii włoskiej, Luigi Longo:

„... słuszną była analiza politycznych przyczyn kontrrewolucji węgierskiej i wydarzeń polskich, analiza przeprowadzona w sposób śmiały przez międzynarodowy ruch komunistyczny, a w pierwszym rządzie przez dzielnych towarzyszy, którzy kierują obecnie bratnią partią polską...”

Ale poza wszystkim, dzieło Gomułki słusznie nazwać można wielkim, gdyż podjął się on zadania olbrzymiego, mianowicie przeistoczenia Polski z tradycyjnego t. zw. „przedmurza chrześcijaństwa”, skierowanego ostrzem na wschód, w wypadową redutę międzynarodowego komunizmu, skierowaną ostrzem na zachód. Jego PRL stała się oknem wystawowym „dobrego komunizmu”, a zarazem mistyfikacją „ewolucji”, wprowadzającej opinią zachodnią w błąd o wiele skuteczniej, niż to potrafiła dawna prowokacja „Trustu” GPU.

Gomułka mianowany przez Chruszczowa. — Nie ma żadnego państwa polskiego w postaci „Polski Ludowej”. PRL nie jest dalszym ciągiem historii Polski, lecz dalszym ciągiem

historii rewolucji bolszewickiej 1917 r. PRL nie jest przedłużeniem państwowości polskiej, lecz przedłużeniem i integralną częścią bloku komunistycznego. Gomułka przyszedł do władzy, tak samo jak poprzednio miał przyjść Marchlewski, a później przyszedł Bierut, nie wbrew intencjom centrali komunistycznej w Moskwie, ale z jej nominacji.

Dnia 16 lutego 1956 rozpoczął się w Moskwie XX Kongres partii, ze słynną antystalinowską mową Chruszczowa. 12 marca umiera raptem Bierut, przy czym śmierć jego zbiega się z destalinizacyjnymi projektami Chruszczowa. 20 marca zwołane zostaje w Warszawie posiedzenie CK partii, na które przybywa Chruszczow i mianuje sekretarzem partii Ochab. Ochab jest całkowicie „człowiekiem Chruszczowa”. — Następują znane wypadki, które wstrząsają monolitem partii komunistycznej. W czerwcu 1956 wybuch w Poznaniu powstanie antykomunistyczne. Gomułka, już uprzednio zawdzięczając interwencji Chruszczowa, wypuszczony z więzienia, „antybierutowiec i antystalinowiec”, wysuwa koncepcję, aby odwołać pierwsze zarządzenia Cyrankiewicza w sprawie Poznania, i powstanie poznańskie przewekslować z antykomunistycznego w „antystalinowskie”, co pokrywa się całkowicie z linią Chruszczowa. — Dnia 18 lipca 1956 Ochab wygłasza na 7 Plenum CK w Warszawie, płomienną mowę wielbiącą Chruszczowa. Ale, zarówno Ochab jak reszta towarzyszy, to stary garnitur Bierutowy. Wobec wrzenia w kraju należy koniecznie wysunąć „nowego człowieka”. Tym nie tylko „nowym” co, ważniejsza, firmowym „antybierutowcem”, jest Władysław Gomułka. Lepszego trudno sobie w danym momencie wyobrazić. Zostaje tedy wysunięty na kandydata pierwszego sekretarza partii. Przez kogo? Niewątpliwie przez porozumienie Ochab-Chruszczow. Ale — zwróćmy uwagę — narazie: na *kandydata*. Nominacja ostateczna zależy do Chruszczowa.

Dnia 19 października 1956 Ochab zwołuje 8 Plenum, które ma zdecydować nie tylko o wyborze nowego sekretarza partii, ale o całej przyszłej linii taktycznej, jeżeli nie zgoda o dalszym losie PRL. Nie ma więc nic zaskakującego w fakcie, że w

obliczu tak ważnych decyzji przybywa do Warszawy prezydium centrali partyjnej w osobach Chruszczow, Kaganowicz, Miko Jan, Mołotow. Sytuacja w kraju jest napięta do ostateczności. Chodzi o ratowanie komunizmu w Polsce. Przebieg 8 Plenum znany jest ze sprawozdania w „Nowych Drogach” Nr 10, 1956.

Ochab spotkał Chruszczowa na lotnisku. Po rozmowie z nim oświadczył na Plenum, że Politbiuro na zamiar wysunąć Gomułkę na stanowisko pierwszego sekretarza. Jednocześnie zaproponował przerwanie obrad do godziny 18-tej.

Tow. Jaworska — Z czego wynika potrzeba odroczenia obrad do wieczora?

Tow. Ochab — Wynika z konieczności przeprowadzenia rozmów z delegacją prezydium KPZR...

Tow. Jaworska — Mam wniosek, żeby przed odroczeniem obrad, dokonać wyboru... (pierwszego sekretarza partii).

Wniosek Jaworskiej popiera tylko jedna tow. Tatarkówna. Upada on 61 głosami przeciw 2 głosom kobiecym. Poza nimi, wszyscy obecni zdają sobie sprawę, że wynik „wyborów” zależy od decyzji Chruszczowa. Tylko jeden ośmielił się postawić pytanie:

Tow. Granas — Czy Plenum mogłoby się dowiedzieć, co będzie przedmiotem rozmów Biura z delegacją?

Tow. Ochab — Zagadnienie stosunków polsko-radzieckich. — Jak na „suwerenną partię” „suwerennego państwa”, pytanie i odpowiedź dosyć charakterystyczne w ich lakoniczności...

Ale Gomułka nie należy do Politbiura. Wobec tego Ochab stawia dodatkowy wniosek, ażeby na „rozmowy poszedł” i towarzyszył Gomułka:

„Kto jest za wnioskiem?!... Dobrze. Kto jest przeciw? Nie ma sprzeciwu.” — Reżyseria istotnie godna pierwszych czasów leninowskiego bolszewizmu. Jak widzimy, od początku do końca dokonana przez Ochabę, „człowieka Chruszczowa”.

Posiedzenie z delegacją sowiecką, przeciąga się jednak długo poza godz. 18. Nic dziwnego. Chodzi o ustalenie taktyki w decydującym momencie. Przebiegu nie znamy. Poznamy tylko późniejszą taktykę Gomułki. Musiał więc ją przedłożyć Chruszczowowi i uzyskać jego pełną aprobatę, gdyż w prze-

ciwnym wypadku wynik posiedzenia Plenum dnia następnego, 20 października, byłby niewątpliwie inny niż to miało miejsce. A odbyło się tak:

W tajnym głosowaniu na członków Politbiura Gomułka otrzymuje 74 głosy, tj. tyle, co Loga-Sowiński, ale mniej niż Ochab, który otrzymał 75 głosów. — W głosowaniu na członków Sekretariatu CK, Gomułka ponownie otrzymuje tylko 74 głosy, tzn. tyle co Jarosiński, ale mniej niż Ochab i Gierek, na których padło po 75 głosów. W obydwóch wypadkach nie został więc przez Plenum postawiony na pierwszym miejscu. — Wtedy wstaje Ochab i oświadcza:

„Proponuję aby wybory I-sekretarza odbyły się jawnie... Kto jest przeciw? Nie słyszę... Biuro Polityczne proponuje wybrać... tow. Władysława Gomułkę Wiesława. Kto jest za, podnieść ręce. Kto przeciw? Nie ma sprzeciwu.”

Gomułka został „wybrany”, a Chruszczow z towarzyszami spokojnie wrócił do Moskwy. — Takie są fakty. Wszystko inne, cała niesamowita legenda, która obiegła świat o rzekomym starciu Gomułka — Chruszczow etc. etc. była od początku do końca prowokacją komunistyczną na użytek tego świata i narodu polskiego, rozegrana na tle nastrojów panujących w Polsce. Jedno było tylko prawdą w tej powodzi plotek, a mianowicie koncentracja wojsk w kraju. Sam fakt nie ulegał wątpliwości. Były to jednak wojska skierowane nie przeciwko Gomułce, a w obronie Gomułki. Nie przeciwko „polskiej drodze do socjalizmu”, a przeciwko narodowi, który pragnąłby zmieść wszelki „socjalizm” z Polski. Istotnie, zawdzięczając taktyce Gomułki, do użycia tych wojsk nie doszło.

„Bohater narodowy”. — Wersja, która nie będąc urzędową, stała się wkrótce obowiązującą, brzmiałaaby w skrócie tak:

„Gomułka działa w sytuacji przymusowej. Chce za wszelką cenę ratować Polskę przed czołgami sowieckimi. Dlatego nie ma innego wyboru jak deklarować oficjalnie przyjaźń polsko-sowiecką. W zamian wytargował od Chruszczowa „polską drogę do socjalizmu”, obiecując mu, że nie dopuści do kontrrewolucji. Wobec tego każde wystąpienie anty sowieckie, anty-

komunistyczne, może zrujnować patriotyczne dzieło Gomułki i sprowokować „wypadki węgierskie”. Dlatego społeczeństwo winno poprzeć Gomułkę i nie dać się sprowokować. „Polski Październik”, „własna, polska droga do socjalizmu”, to tylko pierwszy etap ewolucyjny, po którym nastąpi dalsza liberalizacja i uniezależnienie od „Rosji”. — W Polsce nastąpiło zupełne uspokojenie, a szemat powyższej wersji, począł obowiązywać nie tylko w kraju i wśród emigracji, ale i w całym wolnym świecie. W niektórych sferach polrealistycznych Gomułka wyrósł do postaci nieomal bohatera narodowego. Tymbardziej, że Moskwa nie tylko nie wysłała czołgów, ale odwołała Rokossowskiego.

„Po prostu”. — Gomułka, po objęciu władzy, za najważniejszą potrzebę uznał rozładowanie nabrzmiałych antykomunistycznych nastrojów w kraju, przez ustanowienie pewnego rodzaju piorunochronu, któryby je odprowadzał w kierunku pożądanym dla partii. Praktycznie: „odebrać wiatr z żagli” elementom antykomunistycznym i przekazać go elementom komunistycznym. W ten sposób, aby nagromadzona w narodzie krytyka, skierowana została nie przeciwko ustrojowi komunistycznemu, lecz przeciwko ludziom ten ustrój „przed październikiem” sprawującym. Przeciwko „staliniptom”, „konserwatystom partyjnym”, „natolińczykom”, słowem przeciwko tym, których sam Gomułka pragnął usunąć. Nie przeciw zasadzie, a wykonaniu zasady. Nie przeciw doktrynie, a biurokratom doktryny. Nie przeciw komunizmowi, a jego wykładni. W rezultacie tego posunięcia, komunistyczne pismo młodzieżowe „Po prostu”, otrzymało koncesje na nieograniczoną pozornie krytykę.

Twierdzenie jakoby „Po prostu” było zjawiskiem spontanicznym, jest oczywistym nonsensem. W warunkach systemu komunistycznego nikt nie może wydawać czasopisma niezależnie od partii, gdyż nie istnieją ku temu nawet warunki techniczne. Żadne też inne pismo tego rodzaju się nie ukazało, jakkolwiek ukazałoby się ich niewątpliwie natychmiast dziesiątki, gdyby istniała wolność prasy. „Po prostu” przekraczało

pozornie ramy dopuszczalnej krytyki, ale entuzjazm jaki tym wywoływało w kraju i zagranicą nie szkodził, a przynosił korzyści komunistom. „Po prostu” licytowało krytykę elementów wrogich partii, i namiętym żądaniem „poprawienia ustroju”, odciągało od żądania „obalenia ustroju”. Poza tem, nie będzie chyba przesadą twierdzenie, że 90% popularności na zachodzie, nieomal rozłożenie od wewnątrz emigracji, kto wie czy nawet dzisiejsze jeszcze kredyty amerykańskie — (od zachwyconego potwierdzeniem swej tezy o „ewolucji komunizmu”, State Departement) — zawdzięcza Gomułka „Po prostu”. — Z chwilą przewidzianego terminu zamknięcia „Po prostu” i rozpędzenia demonstracji studenckich, mówić już można o przejściu do następnego etapu.

Dalsza „ewolucja”. — Doprowadziła ona nie do rozluźnienia więzów PRL ze Związkiem Radzieckim, a wręcz przeciwnie, do większego zespolenia. Gdyż powstał nowy czynnik, mianowicie osobiste zaufanie i przyjaźń pomiędzy Chruszczowem i Gomułka. („Nasz najbardziej drogi przyjaciel i towarzysz.”)

Za szczytowy punkt w tym kierunku uważać można „Wspólne oświadczenie polsko-sowieckie” z dnia 22 lipca 1959 r. Poraż pierwszy użyto zwrotu, który ze względów taktycznych unikany był w deklaracjach oficjalnych nawet za czasów Stalina-Bieruta. Mianowicie, że Polska idzie ku pełnemu komunizmowi. Dosłowny, uroczysty tekst brzmiał:

„Naród Polski i narody Związku Radzieckiego posiadają wspólny wielki cel — budownictwo społeczeństwa komunistycznego.” — („Prawda”, 23.7.1959.)

Następny komunikat „Prawdy” z dnia 25 lipca 1959, jeszcze raz rozprasza wszelkie złudzenia:

„Narodom Związku Radzieckiego i Polsce przyświeca... etc.
... pewnie i z natchnieniem budują jasną przyszłość ludzkości — komunizm.”

W półtora miesiąca później, 4 września 1959 na przyjęciu w poselstwie warszawskim w Moskwie, wydanym z okazji wystawy przemysłowej, Chruszczow oświadcza:

„... Chociaż towarzysz Gomułka jest tu nieobecny, to jednak myślami jest z nami. Życzymy mu dobrego zdrowia, a reszty on sam dokona... Uważamy, że dzisiejsze stosunki Związku Radzieckiego z Polską, z przywódcami PRL są tak dobre jak nigdy przedtem. Stosunki te są teraz trwalsze i głębsze niż kiedykolwiek w przeszłości... Idziemy tą samą drogą wskazaną przez Marksa, Engelsa, Lenina i dojdziemy do upragnionego celu — do zbudowania społeczeństwa komunistycznego.” — („Prawda”, 5. 9.1959.)

Optymistyczne prognozy zachodu, jak dotąd zawodzą. Pomoc amerykańska („dla narodu polskiego”) idzie na rzecz wzmacniania potencjału gospodarczego bloku komunistycznego. Nawet większa część zboża amerykańskiego zużywana jest na rozszerzenie hodowli żywca, który następnie eksportowany jest nieraz po cenach dumpingowych dla uzyskania dewiz. Za te dewizy wysyłani są „polscy instruktorzy”, tzn. agenci komunistyczni do Nigerii, Liberii, Senegalu, Konga, Ghany etc. Stamtąd sprowadza się studentów na studia do Warszawy i w ten sposób uaktywnia infiltrację komunistyczną w świecie. PRL popiera „Lumumbowców” w Kongo, popiera Fidel Castro na Kubie, popiera wszystkich komunistów we wszystkich częściach globu. „Plan Rapackiego” jest planem Chruszczowa, tak jak każde wystąpienie dyplomatów PRL na forum międzynarodowym, jest wystąpieniem bloku komunistycznego. Do tej samej roboty wprzęgnięta jest i dyplomacja, i szpiedzy, i tournees baletów moskiewskich, i warszawskiego „Mazowsza” i „Śląska”.

Technika dezinformacji. — Główna różnica pomiędzy starym, pierwszym NEPem, a tym trzecim z kolei NEPem a la Gomułka jest ta, że tamten obliczony był przede wszystkim na skaptowanie własnych nacjonalistów; świat zachodni natomiast

zachował częstokroć powściągliwość i sceptycyzm. Najnowsze wydanie NEPu jest w równym stopniu obliczone na efekt zagraniczny, a przez świat zachodni popierane. W ten sposób nacjonaliści narodów ujarzmionych przez komunizm znaleźli się, w przenośni, jakby wzięci w trzy ognie. Cała konstrukcja opiera się na: taktyka komunistyczna + złośliwe życzenia własne + złośliwe życzenia Zachodu. W połączeniu ma zastępować realną rzeczywistość, którą oczywiście nie jest. W przystosowaniu do tego nowego typu „realizmu politycznego” powstał też nowy system informacji, który zastąpił dotychczas w wolnym świecie praktykowany.

Pomińmy już apokryfy wydawane na zachodzie i podawane za przemyconą z bloku sowieckiego rzekomo „podziemną literaturę”, która ma świadczyć o wewnętrznym „ewolucjonizmie” nastrojów. Przejdźmy do zwykłego sposobu informacji. Dotychczas przyjęto było oceniać działalność jakiegoś polityka, męża stanu, na podstawie dwóch źródeł: a) jego słów, b) jego czynów. Obecnie wprowadzono nowe źródło:

c) jego myśli. Tak więc np. zarówno słowa jak czyny Gomułki pozostają ze sobą w pełnej harmonii i nie mogłyby budzić wątpliwości, co do ich wykładni. Okazało się jednak, że (dez-) informatorzy polityczni przenikają obecnie myśli Gomułki, jego utajone intencje, które rzekomo są sprzeczne z jego słowami tudzież czynami. Tą zdolnością jasnowidztwa obdarzeni bywają zwłaszcza korespondenci gazet zachodnich akredytowani, tzn. tolerowani, bądź mile widziani, względnie inspirowani w Warszawie. W tych warunkach wiele przemówień Gomułki i wiele jego posunięć politycznych, w „realnym ujęciu” oznacza co innego, a mianowicie: „Gomułka musiał tak powiedzieć”, „Gomułka zmuszony był przez Chruszczowa uczynić to lub owo”. Co zaś myśli o tym sam, dziennikarze wiedzą lepiej, zapewne też i lepiej od Gomułki. Nie trzeba chyba dodawać, że najczęściej wiedzą to właśnie co nie tyle chcą sami, ile co chce od nich usłyszeć centrala zachodnia, względnie inspiracja wschodnia.

Sieć dezinformatorów opinii zachodniej jest bardzo rozległa. Obejmuje prasę różnych, a częstokroć rozbieżnych kierunków

politycznych. I oczywiście ma tym większe znaczenie, im większą powagą cieszy się dany organ. Aby przytoczyć choć kilka przykładów, wspomnijmy znanego korespondenta warszawskiego w paryskim „Le Monde”, Philippe Ben’a, którego interpretacje rozchodziły się po całej Europie. — Hamburska „Die Welt” posiada np. do tego stopnia „bezzstronne” informacje z Warszawy, że często powołują się na tę „bezzstronność” nawet komunistyczne pisma warszawskie. — Bawarski organ zbliżony do CSU, „Munchner Merkur”, nie ma oczywiście nic wspólnego z politycznym, obliczem „polskiego desk'u” w amerykańskim radio Free Europe, ani z wiedeńską gazetą „Die Presse”. Ale łączył je przez długi czas wspólny korespondent w Warszawie, dr Ernst Halperin. Poszczególne informacje przekazywane przez Halperina z Warszawy nie mogły budzić pozornie zastrzeżeń. Gdyby z nich jednak wycisnąć było syntetyczną tendencję, wynikałoby mniej więcej tak: „Jest dwóch dobrych Polaków, znajdujących się jednakowo w sytuacji przymusowej, Gomułka i kardynał Wyszyński, którzy wspólnie, i każdy na swój sposób, chcą ratować Polskę przed złym Chruszczowem”. Ta tendencja przenikała do katolickiego organu niemieckiego, i do „polskiej Wolnej Europy”, i do opinii austriackiej, i do amerykańskich research’ów, i do referatów waszyngtońskich. — Naturalnie to tylko drobne, na pewno nie najważniejsze przykłady. Tym niemniej charakteryzują sytuację, w której nigdy nie wiadomo, kto jest właściwym twórcą tej informacyjnej tendencji. W danym przykładzie: sam Halperin, State Departement, czy inspiracja komunistyczna?

Na drodze klasycznego poputniczestwa

„Polski Październik”. — Mimo, że Gomułka otworzył dziś karty swej taktyki, nikt z polityków obozu polrealistycznego, udzielających mu niedawno „moralnego kredytu”, nie przyznał się otwarcie do błędu, że dali się zwyczajnie oszukać. Przeciwnie, polrealistyczna wersja głosi, że „Gomułka odchodzi do Października”... W ten sposób poprzednia ocena uznana zostaje za bezbłędną, a zasada „Polskiego Października” za słuszną i pozytywną. Zwróciliśmy wyżej uwagę, że akceptowanie pewnych form słownych, wywiera nieraz decydujący wpływ na treść. W danym wypadku przyjęcie formy „Polskiego Października” za rodzaj neopozytywizmu, pociąga za sobą doniosłe konsekwencje w stanowisku politycznym. Oznacza zejście na nową płaszczyznę racji narodowej.

Cóż bowiem kryje się pod nazwą: „Polski Październik”? — Nie mówimy przecie „polski Kościuszko” lub „polski 3-ci Maj”, tylko zwyczajnie: Kościuszko, 3-ci Maj. Natomiast słuszenie użylibyśmy określeń takich, jak powiedzmy „polski Bonaparte”, „polski Thermidor” etc., dla podkreślenia analogii, niejako „polskiego wydania” jakiejś historycznej, gdzie-indziej już zaistniałej postaci lub zdarzenia. Nazwa miesiąca „Październik” w znaczeniu historycznego zdarzenia, używana jest w całym świecie jednoznacznie dla określenia zwycięstwa bolszewizmu w Rosji w 1917 r. Innego znaczenia nie posiada. Nazwanie, więc czegoś co zaszło w Polsce: „Polskim Październikiem”, oznaczać może tylko analogię, polskie wydanie (bolszewizmu). Można je uważać za lepsze obiektywnie, lub subiektywnie

dlatego tylko, że jest wydaniem „polskim”, ale nie podobna się ludzi co do intencji samego wyrazu.

Co to jest prowokacja? — Encyklopedyczne tłumaczenie brzmi: „Podstępne nakłanianie do działania, które może pociągnąć zgubne następstwa dla osoby prowokowanej i osób trzecich.” Gdyby się zatrzymać tylko przy tej definicji, to działalność komunistycznego „Komitetu rozbudowy stosunków z rodakami na obczyźnie” (z siedzibą we wschodnim Berlinie), polegająca na namawianiu emigrantów, aby współdziałali zagranicą we wszystkich sprawach, które są wspólne z „interesami ojczyzny i narodu”, zawiera elementy typowej prowokacji: 1. „Podstęp” — gdyż pod hasłem „interesy ojczyzny i narodu”, kryją się w istocie interesy międzynarodowego komunizmu. 2. „Zgubne następstwa dla osoby prowokowanej” — gdyż rozumiejąc pod „osobą” naród, nakłaniany jest on aby pośrednio przyczyniał się do stabilizacji własnego ujarzemia. 3. „Dla osób trzecich”... — gdyż współdziałanie z międzynarodowym komunizmem przyczynia się do potencjonalnego zagrożenia innych narodów.

Ale pojęcie „prowokacji” w powszednim użyciu, jest dosyć rozciągle. Jeżeli cofniemy się nawet do tak anachronicznego już wzoru jednostkowej prowokacji, jak np. afera Azefa, to i tam spotykamy element działania „na dwie strony”, który w każdej prowokacji nie zawsze da się rozgraniczyć. Bo czy leżało w interesie eserowskich terrorystów zabójstwo min. Plewego, czy w. ks. Sergiusza, zorganizowane przez Azefa? Niewątpliwie tak. Dlatego to z jednej strony naczelnik wydziału „Ochrany”, gen. Gierasimow, w przystępie złego humoru krzyknął na Azefa: „Od tej chwili krzyżyk na podwójnej grze!” — aż drugiej strony, CK eserów, po zdemaskowaniu Azefa przez Burcewa, „odpuściło go...”, jak się wyraził Łopatin. A były nawet głosy, że centralny komitet już wcześniej wiedział o jego kontaktach z policją... — Prowokacja jest więc zawsze do pewnego stopnia grą na dwie strony. Prowokacja komunistyczna zawiera nieodmiennie element poputniczstwa, mniej lub więcej zamaskowany, czyli pozornego kompromisu, co ze swej strony umożliwia różną interpretację, i w

konsekwencji nie wiadomo gdzie kończą się pozorne interesy osoby prowokowanej, a zaczynają interesy prowokatora. Plan prowokacji obliczony jest więc tylko na to, aby waga gatunkowa korzyści na głównym torze, przeważała wagę gatunkową kompromisów na bocznych torach.

Prowokacja typu gomułkowskiego zastosowana do emigracji polskiej, pokrywa się z instrukcjami wspomnianego komitetu dywersyjnego we wschodnim Berlinie: Nie wymaga od emigrantów aby powracali do kraju, czy zrzekli się swego stanowiska ideowego; wymaga by w najważniejszych sprawach poparli interesy „ojczyzny”, czyli ukryte za tym sloganem, interesy międzynarodowego komunizmu.

Emigracja polska nie jest emigracją „antykomunistyczną”.— Tak brzmi deklaracja polrealizmu, ustalając tezę: Nie jesteśmy „białą” emigracją, jesteśmy emigracją antysowiecką, a raczej — antyrosyjską. Jak dalece teza ta przeniknęła do świadomości politycznych działaczy polskich świadczy fakt, że trzymają się jej de facto wszystkie, oficjalne polskie grupy polityczne. W konsekwencji, mimo, że tego rodzaju okólna instrukcja nie została nigdy rozpowszechniona, zorganizowana emigracja polska stroni się od sojuszu z jakimkolwiek ideowym frontem antykomunistycznym, a tylko formalnie solidaryzuje się z przedstawicielami tych państw wschodnioeuropejskich, które padły ofiarą bezpośredniej agresji sowieckiej po drugiej wojnie światowej.

Jest to pozycja zasadnicza i powinno się o niej pamiętać, aby nie oszukiwać siebie i innych. Oficjalne stanowisko polrealizmu nie jest ideologiczne, a ma być „realistyczne”. Polrealizm nie jest a priori wrogiem komunizmu, lecz sojusznikiem „wszystkiego co polskie”. Można to stanowisko ochrzcić mianem szczerego patriotyzmu, a nawet super-patriotyzmu, jeżeli się zważy, że nie waha się dla tego celu nawet przed współpracą z komunizmem. Nie można natomiast zaprzeczyć, że dopóki władza nad Polską znajduje się w rękach komunistów, daje to nacjonał-kunizmowi znakomitą sposobność

takiego lawirowania politycznego, i takiego przesuwania rzeczy „polskich” na szachownicy patriotycznej, która może zapewnić mu maksimum skuteczności w kraju i maksymalną infiltrację w szeregi emigracji.

„Wspólny front” z komunistami. — Jest jawny i jest ukryty. Do ukrytego należą różne objawy penetracji agentów komunistycznych. Zawdzięczając jednak istnieniu współpracy jawnej, nie da się ustalić z całą pewnością, czy te lub inne stanowisko polityczne zajęte zostało za poduszczeniem agentury, czy ze szczerego przekonania, wyrobionego pod wpływem wytworzonego nastroju. Weźmy przykład, który można traktować za klasyczny pod tym względem: utalentowany pisarz katolicki, Jan Bielatowicz, człowiek stojący ponad wszelkie podejrzenia o uleganie wpływom komunistycznym, pisze:

„Antykomunizm... nie może służyć jako program polityczny... Emigracja ma na celu dobro narodu polskiego... Granica na Odrze i Nysie to sprawa narodu i dlatego walczy o nią jak może, bez oglądania się na to, czy to na rękę czy nie na rękę komunistom...” — („Dziennik Polski”, Londyn, 27.10.1961.)

Wypowiedź pochodzi od katolika (prawdziwego), a więc człowieka związanego z pewnym światopoglądem, czyli z natury rzeczy zobowiązanego do postawy ideologicznej. A mimo to stwierdza, że „antykomunizmu” nie można traktować za program, oraz dopuszcza możliwość działania „na rękę komunistom”, jeżeli to leży w interesie narodu. Tym samym interes narodu stawia ponad interes ogólnoludzki, i ponad interes Kościoła.

Na zebraniu SPK-Italia w Rzymie, 18 listopada 1961, ostatni ambasador wolnej Polski przy Watykanie, Kazimierz Papee, oświadczył m.in.:

„... są sprawy wspólne, zagadnienia istotne, które obowiązują wszystkich Polaków i wymagają wspólnego wysiłku.

Wiemy, że tak jest, bo od wielu lat nad tymi sprawami pracujemy... Ale opowiem Państwu, dla chwili rozweselenia, taki wypadek z niedawnej bardzo przeszłości: jeden z naszych dyplomatów, przedstawiając swoim partnerom jednej z kancelarii zachodnich naszą argumentację za szybkim uznaniem granicy Odra-Nysa, usłyszał od swego rozmówcy:

„a to ciekawe, bo te same argumenty, słyszałem wczoraj od ambasadora Polski Ludowej!...”

Jak widać z tego, ambasador Papce nie dopuszcza nawet myśli, że to co on uważa za „chwilę do rozweselenia”, może być w istocie smutnym rezultatem prowokacji komunistycznej, która doprowadziła do tego, że np. akurat w dniach światowego spięcia na tle sprawy Berlina, pomiędzy wolnym światem i blokiem niewoli komunistycznej, ostatni dyplomaci niepodległej Polski solidaryzują się z dyplomatami komunistycznej okupacji, i jeszcze się z tego przechwalają...

Niepodobna jest wyliczyć w krótkim zestawieniu wszystkich „spraw wspólnego frontu” z komunistami. Poza Odrą-Nysą, należy tu w pierwszym rzędzie lansowanie na zachodzie legendy, że PRL jest czymś „lepszym” niż inne człony bloku komunistycznego i z tego względu zasługuje na poparcie i pomoc materialną. Teza polrealizmu, że chodzi tu o pomoc nie dla „reżymu”, lecz dla „narodu polskiego”, jest szczególnie niekonsekwentna i jawnie demagogiczna. Gdyż w ten sam sposób o taką pomoc mogłoby zabiegać sto „narodów” ujarzmionych przez komunizm. Czyli wolny świat powinien by pakować bez ustanku ogromne dobra materialne zarówno do Pragi, Budapesztu, jak do Kijowa, Moskwy i Pekinu. Udzielać im kredytu i pomocy. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby tylko „narody” polski i jugosłowiański, uznane zostały za coś tak o wiele „lepszego” od i wszystkich innych. Oczywiście, że tak nie jest i nikt rozsądny w żadne poparcie dla „narodu” nie wierzy. Jest to właśnie wyraźne poparcie dla „reżymów”, co do których spekuluje się na ich rzekomym „ewolucjonizmie”, „rewizjonizmie”, „titoizmie”. Tymczasem spekulacji tej zadaje kłam rzeczywistość. Blok międzynarodowego komunizmu

wyzyskuje zwłaszcza Polskę-Gomułki jako szczególnie udanego Konia-Trojańskiego w infiltrowaniu Zachodu, i otrzymując na to jeszcze kredyty od tegoż Zachodu, śmieje się zapewne po cichu z jego naiwności. Teza Lenina o „głuchoniemych ślepcach” znajduje w danym wypadku wyjątkowo trafne potwierdzenie. Wypada jednak stwierdzić, że dezinformacja polrealistycznego programu odegrywa przytem nie małą rolę.

Niejaką syntezę tego programu znajdziemy w artykule b. ministra Zygmunta Berezowskiego, ostatnio przewodniczącego komitetu politycznego Stronnictwa Narodowego i przewodniczącego komisji spraw zagranicznych T. R. J. N. na emigracji („Dziennik Polski”, 30. 8, 1961):

„Polska... przyczynia się do ewolucji, która niezależnie od oficjalnej polityki rządów odbywa się w Europie, formując zwolna jej przyszłe oblicze. Zasiedlenie i integracja ziem zachodnich, co uczyniło z Odry i Nysy nie granicę wewnętrzną imperium sowieckiego, ale granicę narodu..., stały opór komunizmowi, który uniemożliwia przekształcenie społeczeństwa w Judzi sowieckich', cała postawa Polski jest cennym wkładem do polityki wolnej i bezpiecznej Europy. Jest nową formą osłaniania jej przed grożącym zalewem.

„Nie dywersja przeto i nie wpychanie za pomocą represji gospodarczych do ogólnego kotła komunistycznego, ale staranne i wnikliwe rozróżnianie roli i znaczenia poszczególnych narodów za żelazną kurtyną winno być przedmiotem polityki Zachodu...”

Można by o tej deklaracji powiedzieć, że jest ona równie patriotyczna z intencji, co fałszywa z treści. Ani jeden punkt nie odpowiada prawdzie obiektywnej: ani Polska nie przyczynia się do ewolucji... ani Odra-Nysa nie przestała być granicą wewnętrzną bloku sowieckiego... ani postawa Polski nie jest wkładem do polityki wolnej... ani nie osłania przed zalewem komunistycznym... ani represje gospodarcze i wewnętrzne dywersje nie są wpychaniem do kotła komunistycznego... ani

rozróżnianie pomiędzy narodami podkomunistycznymi winno być przedmiotem polityki Zachodu, — tylko:

wszystko odwrotnie.

T. zw. „plan Rapackiego”, o ile chodzi o desingament Europy środkowej, popierany jest pośrednio przez paryską „Kulturę”, pismo skądinąd świetnie redagowane i stojące na najwyższym poziomie intelektualnym. Za poparciem „planu Rapackiego” wystąpił też członek kongresu amerykańskiego Kowalski, demokratą z Connecticut. Za poparciem „planu Rapackiego” rozwinęła została akcja szczególnie intensywna w wielu ośrodkach polonii amerykańskiej, przy dużym współudziale w tej akcji pierwszego sekretarza ambasady PRL w Waszyngtonie, Kmiecika. Ale „plan Rapackiego” w jego edycji „rozbrojenia Niemiec” popierany jest przez absolutną większość ośrodków polrealizmu na emigracji.

Należy w tym miejscu zauważyć, że taktyka wyzyskiwania narodowych uczuć emigracji dla celów dywersji komunistycznej w świecie, uprawiana była w myśl leninowskich zasad zawsze, i w gruncie nie jest bynajmniej wynalazkiem Go-mułki. — Na rok przed jego dojściem do władzy, w październiku 1955 r., odbyło się w Warszawie na zlecenie partii zebranie, na którym powołano do życia „Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem, Polonia”. Przewodniczącym zebrania wyznaczono prof. S. Kulczyńskiego. Podkreślił on w swym przemówieniu, że „wśród emigracji panuje żywe pragnienie rozwijania i umacniania wzajemnej łączności z Macierzą”... Do nowego towarzystwa weszli m.in. tacy ludzie jak b. premier rządu londyńskiego Hugon Hanke, literaci Arkady Fiedler, Edmund Osmańczyk, poeta Antoni Słonimski, znany agent PAXu Dominik Horodyński, członek rady państwa prof. Oskar Lange i wielu innych, których nazwiska uznano za atrakcyjne. — Warszawska rozgłośnia „Kraj”, przeznaczona do propagandowej dywersji wśród emigrantów, ogłosiła w audycji z 1.11.1955:

„Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że emigracja polska nie jest w swej masie patriotyczna, że nie czuje przywiązania do Ojczyzny, że nie tęskni za nią...”

A w audycji z 29. 7.1958:

„Wydaje nam się, że z każdym dniem wzrasta ponad granicznymi kordonami jedność kraju i Polonii, z każdym dniem coraz mniej pozostaje wzajemnej nieufności i oporów... Z zadowoleniem stwierdzamy wygasanie zimnej wojny w tych stosunkach; razem z emigrantami troszczymy się o najżywotniejsze polskie sprawy...”

Nie ulega wątpliwości, że Gomułka do tego „wygasania zimnej wojny” przyczynił się najbardziej, i dopiero przydał całej akcji rozmach i skuteczność. Zaczęło się popieranie na zachodzie występów różnych propagandowych zespołów, przyjmowanych nieraz ze łzami rozczenia „Mazowsza”, „Śląska” etc., mimo jawnych celów agitacyjnych i identycznej akcji moskiewskich i innych komunistycznych zespołów śpiewaczo-tanecznych; popieranie wystaw artystycznych z Warszawy, filmów, teatrów, naukowców etc. etc.

Za szczególnie przykład tej postawy politycznej posłużyć może uchwała powzięta na dorocznym zebraniu Związku Dziennikarzy emigracyjnych 17.1.1959:

„Zjazd Związku Dziennikarzy przesyła pozdrowienia kolegom w Kraju pracującym w trudnych warunkach ograniczonych możliwości wypowiadania poglądów i partyjnej, komunistycznej kontroli oraz urzędowej cenzury.”

Przy pobieżnej już analizie tej rezolucji rzucić się musi w oczy jej wyjątkowe zakłamanie. Ułożona jest bowiem w ten sposób, jakoby przesyłający pozdrowienie sądzili, że dziennikarze w kraju pracują w pismach polskich, pozostających jedynie „pod komunistyczną kontrolą i cenzurą”. Tymczasem zjazd ludzi najlepiej poinformowanych, bo właśnie dziennikarzy, wie doskonale, że cenzury pism w kraju komunistycznym nie ma, gdyż wszystkie pisma są po prostu własnością partii-rządu; nie ma też i „kontroli” w potocznym znaczeniu,

gdyż zastępuje je zwyczajnie instrukcja partyjna; że pracują w tych gazetach dziennikarze dobrowolnie, a to co piszą jest po prostu komunistyczną propagandą i pośrednim pogłębianiem niewoli Polski. — Wróćmy do metody porównawczej: w okresie okupacji niemieckiej, literat polski Emil Skiwski, wydawał pismo „Przełom”, głoszące porozumienie z Niemcami i walkę z bolszewikami. Uznany był wówczas za zdrajcę narodu; i chociaż w swoim piśmie nigdy nie nazwał wkroczenia wojsk niemieckich „wyzwoleniem”, a okupacji niemieckiej „wolną Polską”, — został i po wojnie unicestwiony jako literat, zniszczony, zdeptany jako człowiek, raz na zawsze, i nikt nawet nie wie czy żyje jeszcze. Podczas gdy np. wyjątkowo upodlający się literat, Gustaw Morcinek, poseł na sejm komunistyczny, który z trybuny tego sejmiku zgłosił wniosek o przemianowanie Katowic na „Stalinogród”, — omawiany jest w emigracyjnej prasie literackiej nader przychylnie. Przykład jeden z niezliczonych dosłownie. Gdyż przeciętny dziennikarz pracujący dziś w prasie komunistycznej w kraju, przelicytowuje Skiwskiego w „kolaboracji” z okupantem, wielokrotnie. A jednak, jak widzimy, zasługuje na „pozdrowienia” ze strony „kolegów emigracyjnych”.

Porównanie to byłoby zbyt drastyczne, gdyby je rozpatrywać w oderwaniu od rzeczywistości. Gdyż rzeczywistość nie jest ta sama. Rzeczywistość mówi nam co innego, że mianowicie polrealizm przestał i de facto i de jure, uważać obecny stan polityczny w Polsce za — okupację. Czy to okupację komunistyczną, czy też okupację sowiecką.

„Jedna literatura”. — Szczególną pozycję w poputniczestwie polrealizmu z ustrojem komunistycznym w kraju, stanowi dziedzina literatury. Jest to dziedzina dla komunistów o wyjątkowej ważności. Albowiem właściwym terenem penetracji komunistycznej, jest mniej polityka lub ekonomia, a bardziej psychika ludzka, oddziaływanie emocjonalne. Stąd zależy komunistom na wytworzeniu nastroju, ażeby literatura i nauka zachowała możliwie oblicze „polskie”. Wiemy, że ustrój komunistyczny wszędzie gdziekolwiek

nastaje, przede wszystkim stara się wprzęgnąć w proces komunistycznej literatury i nauki. Na ogół rzecz jest dobrze znana. Ale pod wpływem prądów polrealistycznych przyjęto na emigracji zasadę, że „komunistyczną” jest tylko ta treść druków, którą kiedyś zwało się „bibułą” komunistyczną, czyli służąca bezpośredniej agitacji. Wszystkie inne, mimo iż w Polsce Ludowej nie ma wydawnictw prywatnych, a książki wydawane są wyłącznie przez agendy partii-rządu, — uznano za literaturę polską. Powołanie się przytem na analogię z polską literaturą okresu zaboru rosyjskiego, jest argumentem zniekształcającym rzeczywistość. Pod zaborem rosyjskim istniała bowiem narodowa literatura polska, wydawana przez polskich wydawców, a jedynie cenzurowana przez władze. Dziś wydawana jest przez władze i przez nie postulowana, inspirowana, kierowana. Zabrakłoby miejsca na cytaty, nie pozostawiające pod tym względem cienia wątpliwości. Oto oświadczenie Gomułki na m. zjeździe PZPR w marcu 1959:

„Naczelnym założeniem naszej polityki kulturalnej... jest oparcie twórczości o światopogląd i metodologię marksizmu leninizmu... Taką literaturę realistyczną w swej formie, socjalistyczną w swej wymowie ideowej... popieramy. Kierownicza rola partii polega na tym, że socjalistyczne ideały i naukowy światopogląd winny inspirować treść twórczości literackiej... Odmawiamy i będziemy odmawiać publikacji takich utworów, które stanowią oręż politycznej propagandy sił antysocjalistycznych... Chcemy sztuki, która w artystycznej postaci obrazować będzie procesy kształtowania się nowych, socjalistycznych stosunków społecznych i przemiany w psychice człowieka... Głównie zadanie partii na froncie kultury w chwili obecnej to walka o wyeliminowanie do końca wpływów antysocjalistycznych tendencji twórczych, gdyż stanowią główną przeszkodę w rozwoju socjalistycznej polskiej kultury...”

To chyba wystarczy. — Naturalnie w szerokim wachlarzu zakreślonego programu, muszą się trafić pojedyncze książki cenne, i w oderwaniu, o cechach normalnej literatury polskiej.

Należy to poniekąd do postulatu komunistycznej infiltracji. Nie jako poszczególne „książki” jednak, ale jako całość, literatura ta stanowi literaturę komunistyczną. Podobnie jak w Sowietach nie ma literatury rosyjskiej, a jest wyłącznie literatura sowiecka, i jako taka przyjęta i oceniona była przez dziesiątki lat na zachodzie. To też słusznie na tym samym III zjeździe, Leon Kruczkowski, literat i członek CK partii, oświadczył w imieniu literatury w kraju:

„Istniejąca literatura socjalistyczna, jako całość, jako określony kierunek dynamiki twórczej, coraz bardziej jest obca twórczości burżuazyjnej...”

Tymczasem, wbrew tym oczywistym faktom, właśnie na polu literackim doszło do zupełnego uzgodnienia poglądu pomiędzy polrealizmem i komunizmem, na „jedność literatury polskiej” w kraju i na emigracji. Jednocześnie za pośrednictwem literatury otworzyła się najskuteczniejsza bodaj droga penetracji komunistycznej na zachód. Po Gomułkowskim „październiku” wielu literatów emigracyjnych poczęło tak pisać... by uzyskać możliwość drukowania w kraju, i możliwość tą uzyskało. Rozgłośnia komunistyczna „Kraj”, w audycji nadanej 20. 2. 1958 (godz. 07.30—08.00) w bardzo pochlebnych słowach wypowiedziała się o literaturze emigracyjnej:

i,... Sztuka, tworzona przez artystów-emigrantów tylko w niewielkim stopniu jest sztuką... angażującą się przeciw sytuacji ideowej i ustrojowej panującej w Polsce. Te powieści, te wiersze są u nas publikowane, są czytane, nie są w żaden sposób wrogie! — Więc co w końcu warunkować będzie pozycję emigracyjnego artysty, emigracyjnego pisarza? Sztuka jego nie jest sztuką inną od tej, jaka powstaje w Polsce. Z wyjątkiem książek Józefa Mackiewicza w innych dziełach nie znalazła swego wyrazu żadna, zasadniczo nam wroga postawa.”

Delegowany z Warszawy na XXX Kongres PEN-Klubu we Frankfurcie, Michał Rusinek, w ten sposób scharakteryzował

stosunki pomiędzy pisarzami emigracyjnymi i literatami komunistycznej Polski:

„W czasie tych spotkań odnawialiśmy dawne przyjaźnie i zawierali nowe, przy czym rozmowy z pisarzami emigracyjnymi, z Kazimierzem Wierzyńskim, Aleksandrem Jantą Połczyńskim, Majewskim... należały dla nas do najbardziej ciekawych. Zresztą od paru lat tak bywa, że goście kongresowi widują Polaków, z tej i tamtej strony' zasiadających do jednego stołu, nawzajem się szanujących, co potwierdzają choć by kroniki kongresowe, które nie zanotowały dotąd ani jednego wypadku, by pisarz z Polski lub pisarz polski z emigracji nawzajem przeciwko sobie na kongresie występowali ...” — („Życie Warszawy”, 11. 8.1959.)

O nastrojach tworzonych przez literackie sfery polrealistyczne na emigracji, świadczyć może korespondencja z Londynu S. Niekraszowej, zamieszczona w „Ostatnich Wiadomościach” (Mannheim, 3.11.1957):

„Staraniem Związku Literatów i Dziennikarzy, Związku Studentów... niemal co czwartek w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie, wybitni goście z Kraju wypowiadają swoje utwory literackie, czy eseye. ... Sala Instytutu gen. Sikorskiego nie może pomieścić tłumów publiczności; korytarze i schody zapełnione spragnionymi kontaktów intelektualnych z Krajem”...

Natomiast solidarną furię, zarówno ze strony komunistycznej z Warszawy, jak polrealistycznej na emigracji, wywołuje każda próba nazwania literatury krajowej po imieniu. Tak np. rozgłosnia „Kraj” nadała 10. 7.1958:

„Londyńskie .Wiadomości rozpięły ankietę: pisarze emigracyjni a literatura krajowa. — Niemal wszyscy odpowiadający, opowiadają się za organiczną jednością polskiej literatury przeciwko podziałowi na emigracyjną i krajową. Niemal wszyscy, bo oczywiście... Józef Mackiewicz stwierdza, że nie jesteśmy literaturą polską tylko komunistyczną, 'ale w ustach b.

współpracownika propagandy hitlerowskiej, to zupełnie zrozumiałe."

A w kilkanaście dni później (29. 7.1958):

„Nie chodzi o casus — Józef Mackiewicz personalnie. Wypowiedź Józefa Mackiewicza interesuje jako problem, jako zagadnienie szersze, aniżeli suma poglądów politycznych, skądinąd świetnego pisarza. Chodzi mianowicie o pewien możliwy punkt widzenia o pewną zasadę oceny zjawiska, którą... uważać można za absurdalną, szkodliwą i anty-intelektualną..."

Zaś na podobną wypowiedź w ankiecie emigracyjnego „Dziennika Polskiego”, redaktor działu literackiego i prezes Związku Pisarzy Polskich na emigracji, oświadczył:

„Wśród zamieszczonych dzisiaj odpowiedzi, znajdują czytelnicy również odpowiedź Józefa Mackiewicza. — P. Mackiewicz zdaje się zaliczać całość produkcji literackiej w Kraju od literatury komunistycznej. Ten jego osąd jest tak oczywiście błędny i — nie waham się użyć tutaj surowego określenia — tak karykaturalny — że jak sądzę, nie warto podejmować z nim polemiki..." — („Dziennik Polski", 25.1.1961.)

„Obalać” czy „poprawiać”? — W zajęтым przez polrealizm stanowisku politycznym nieraz dużą rolę odegrywały te ośrodki emigracyjne, które wytworzyły zespoły polskie na służbie mocarstw zachodnich. Chodzi tu o zespoły występujące pod firmą politycznego oblicza polskiego, a będące w rzeczywistości tylko agendą polityki zagranicznej obcej, głównie amerykańskiej. Do takich należy np. potężny aparat Free Europe Committee i jego rozgłośnie radiowe. Fluktuacje, któremu ulega zależą od fluktuacji amerykańskiej polityki zagranicznej. W zasadzie więc te polskie zespoły nie wchodzą w rachubę jako niezależne stanowisko polskie, i winny być odniesione do stanowiska amerykańskiego, względnie mocarstw

zachodnich. W praktyce natomiast mają niejaki wpływ wewnętrzny, głównie w dziedzinie „ewaluacji” zdarzeń i sytuacji w Polsce, w dziedzinie informacyjnej i rzeczoznawczej.

Jeżeli chodzi o działalność radiostacji zachodnich w językach bloku komunistycznego, m.in. w języku polskim, to niewątpliwie w sumie przynoszą więcej pożytku niż szkody. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że duży pożytek przez sam fakt nadawania wiadomości, które w sieci komunistycznej są notorycznie ukrywane lub zniekształcane. Trudno sobie nawet wyobrazić, do czego by dojść mogło, gdyby ludzie pod komunizmem pozbawieni byli tej trochy [odrobiny] prawdziwych wiadomości ze świata, które dziś otrzymują z zachodu. Nawet skromna opozycja, którą się nadaje przez eter w okresach beznadziejnej koegzystencji, stanowić może niejaki promyk dla ludzi po tamtej stronie. Dlatego audycje te są przez system komunistyczny, nie tolerujący absolutnie żadnej opozycji, konsekwentnie zagłuszane.

(W r. 1948 istniało w bloku komunistycznym 100 stacji zagłuszających; w rok później — 150. W 1950 było ich 1.000. Na przełomie lat 1961/62 istniało 2.500 stacji zagłuszających, zbudowanych nakładem, w przeliczeniu, ca 250 milionów dolarów, o rocznym budżecie ok. 100.000 dolarów.)

Inaczej natomiast jeżeli chodzi o tendencję polityczną. Polityka mocarstw zachodnich, a zwłaszcza Ameryki, spekuluje jak wiadomo na „titoizm”, „gomułkizm”, „rewizjonizm”, „ewolucjonizm”. Dla uzasadnienia tej optymistycznej tezy, potrzebuje stałego dopływu informacji, a raczej dezinformacji, któreby słuszność tej spekulacji potwierdzały, inaczej nie mogłaby prowadzić dotychczasowej polityki zaangażowania w koegzystencję. Otóż w tym wypadku, wymienione zespoły polskie stanowią dla nich poważne źródło potwierdzające powszechny wishful thinking polityczny. Nie tylko dlatego, że wprzęgły się w dezyderaty swych chlebo- i mocodawców, ile wskutek przejęcia polrealistycznej wykładni, która w znacznym stopniu, a w odniesieniu do komunistycznej Polski prawie bez reszty, pokrywa się z postulatami pokojowej koegzystencji.

Któryś z komunistycznych emisariuszy zagranicznych użył raz argumentu: „Nie można jednocześnie chcieć coś obalać i poprawiać”. Zupełnie słuszna uwaga. Albo, albo. Albo się reprezentuje wroga ustroju komunistycznego, albo lojalnego opozycjonistę. — Zdaje się, że polrealizm definitywnie wybrał to drugie: nie obalać komunizmu w Polsce, lecz go „ewolucyjnie” poprawiać.

*

W sumie otrzymujemy obraz kompromisu pokrywający się we wszystkich głównych tezach z tezami poputniczestwa tych nacjonalistów, którzy 40 lat temu dali się omamić przez taktykę pierwszego nacjonał-komunizmu w wydaniu Leninowskiego NEP-u. — Analogiczna w zasadzie jest i „baza”, na której głównie udało się oprzeć Leninowi „nadbudowę” swego nacjonał-komunizmu. Przypomnijmy sobie wnioski, jakie wyciągnął on z historycznego doświadczenia, że nacjonalizm postawiony przed wyborem pomiędzy sojuszem z sąsiednim nacjonalizmem przeciw bolszewizmowi, czy z bolszewizmem przeciwko sąsiedniemu nacjonalizmowi, z reguły opowiadał się przy tej ostatniej} alternatywie. W odniesieniu zatem do dzisiejszego polrealizmu, dawny antagonizm białoruskich i ukraińskich nacjonalistów względem Polski o „odzyskanie Zachodniej Białorusi i Ukrainy”, zastąpił polski antagonizm względem Niemiec. Stąd prowokacja komunistyczna stara się ten antagonizm podsycić i utrzymać go w emocjonalnym wrzeniu, możliwie w stanie tego kompleksu, który zrodził się w latach krwawej okupacji hitlerowskiej.

Kompleks niemiecki

Fetysz udanej prowokacji

Przechodząc do sprawy kompleksu niemieckiego, nie będę go traktował z tą „ostrożnością” i „taktem”, z jakim porusza się zazwyczaj sprawy tzw. obolałe, drażliwe, a tym samym wymagające subtelnych omówień i wielu zastrzeżeń. Tak czynią niektórzy Polacy, którzy dostrzegając z jednej strony konieczność wyjścia z impasu antyniemieckiego, asekurują się z drugiej specjalnym doborem formy stylistycznej, w obawie narażenia się własnej opinii i wystawienia siebie na sztych mniej lub więcej brutalnych inwektyw i połajanek. Być może czynią to słusznie ze swego punktu widzenia, usiłując realnie i praktycznie zjednać czytelników dla swej koncepcji politycznej. — Osobiście nikogo nie pragnę zjednywać, tem mniej narzucać swego zdania. Chciałbym jedynie uchylić rąbka pewnych prawd, o których się nie mówi, przytoczyć nieco faktów odwrotnej strony medalu, a przez to pobudzić do niejakiego zastanowienia. Zresztą uciekanie się do stylistycznych „pas” stałoby w sprzeczności z moim własnym przekonaniem i mogłoby podważyć szczerłość tego co piszę. Nie poczuwam się bowiem do żadnego obowiązku oszczędzania, lub innego reweransu w stosunku do interesów międzynarodowego komunizmu. Przekonany zaś jestem, że kompleks niemiecki w *dzisiejszym jego stadium*, jest tylko płodem prowokacji komunistycznej. Nie jest częścią spraw polskich, nie jest sprawą polsko-niemiecką; jest integralnym składnikiem wszechświatowego spisku komunistycznego.

Sytuacja wydaje się nam jasna. Komunizm nie zmienił od czasów Lenina-Trockiego. swego celu opanowania świata. Po-

twierdza to na każdym kroku, zarówno czynem jak słowem. Europa wciąż jeszcze nie przestała być najważniejszą, z wagi gatunkowej, częścią wolnego świata. Niemcy zajmuje w tej

Europie miejsce terytorialnie kluczowe, tak samo jak zajmowały w roku 1920. Opanowanie tych Niemiec jest w hierarchii planów komunistycznych zadaniem nr 1. W roku 1920 wykonanie tego zadania rozbiło się o barierę polską. Gdyby dziś bariera ta istniała, i we wzajemnym układzie sił przedstawiała bastion równy temu, jakim był przed 42 laty, koncentryczny atak międzynarodowej komunistycznej agresji skierowany byłby niewątpliwie nie przeciw Niemcom, a przeciw Polsce. Ale tamta bariera została przełamana. Front komunistycznego zalewu przesunął się na zachód. Ostatnią barierą Europy, podpartą siłami wolnego świata, stały się Niemcy zachodnie. Stąd konsekwentne ześrodkowanie ataku, celem jej przełamania, względnie podkopania. Wachlarz tych wysiłków jest szeroki. Z jednej strony obejmuje próby nowego „Rapallo”, z drugiej nawet cenę taktycznego sojuszu z czynnikami skądinąd antysowieckimi, byle — przede wszystkim antyniemieckimi... Stawka idzie o zdyskredytowanie aktualnej linii obronnej wolnego świata.

Do tego globalnego spisku komunistycznego dał się pośrednio wciągnąć polrealizm. W formie patriotycznego zaangażowania emocjonalnego, która wytwarza stan obsesji i wyklucza prawie dyskusję ad rem. Politycznym zaś pretekstem służy rzekome zagrożenie ze strony Niemiec zachodniej granicy PRL na Odrze i Nysie.

Odra I Nysa

Cel główny. — Albo się wychodzi ze stanowiska, że Polska utraciła niepodległość na rzecz bloku komunistycznego, albo się z tego stanowiska nie wychodzi. W pierwszym wypadku, tzn. uważając, że Polska utraciła suwerenność państwową, nie można jednocześnie uznawać wytworzonych w wyniku tej utraty nowych linii granicznych, za suwerenną granicę

państwową. Skoro Polska cała utraciła niepodległość, nie mogła jednocześnie „odzyskiwać” jakiś ziem. Nie można, bowiem tracąc całość odzyskiwać zarazem jej części; byłaby to formuła sprzeczna z logiką. Tzw. „granica na Odrze i Nysie” jest po prostu wewnętrzną linią rozgraniczającą „Polskę Ludową” od „Narodowej Republiki Niemieckiej”. Czyli dowolnie pod tym mianem występujące, dwa człony jednego i tego samego bloku komunistycznego. — Można się domagać takiej granicy na przyszłość, ale nie można uznawać jej za granicę istniejącą w teraźniejszości. Natomiast zgoła absurdem jest wiązać tę, przeciągniętą dowolnie przez Stalina linię, nie tylko z całą polityką, ale ponadto z całą postawą moralną narodu.

Jest sporo rozumnych i światłych Polaków, którzy dostrzegają fatalne skutki sparaliżowania, jakiemu uległa nie tylko polityka, ale wszelka polityczna myśl polska przez wyekscytowanie „Odry-Nysy” na piedestał bezprzykładnego w historii polskiej fetysza narodowego. Słyszy się czasem — oczywiście tylko w rozmowach prywatnych — iż było to „genialne posunięcie Stalina”, za pomocą którego wykopana została trwała przepaść między Niemcami i Polską. Przypuszczalnie jednak w zamiarze leżał ten dziś osiągnięty, cel główny, mianowicie uznanie przez Polaków PRL za „państwo polskie”. Gdyż tylko przez uznanie „państwa” polskiego, dochodzi się do uznania Odry-Nysy jako granicy państwowej; i odwrotnie: uznanie Odry-Nysy za granicę państwową, podnieca polrealizm do uznania okupacji komunistycznej za państwo polskie.

Odcinek graniczny, ważniejszy od niepodległości. — Zachodzi wypadek niebywały w dziejach Polski. W chwili gdy państwo, naród cały, znalazł się pod, tak czy inaczej interpretowanym, ale niezaprzeczalnie obcym panowaniem, głównym postulatem narodowym staje się raptem nie wyzwolenie go spod obcego panowania, lecz sprawa pewnego odcinka granicznego.

„.... gdybyśmy mieli możliwość zamiany ustroju za cenę utraty ziem nad Odrą i Nysą, — należałoby utrzymać Ziemię Odzyskane nawet, gdyby to oznaczało przedłużenie rządów komunistycznych...”

— pisze paryska „Kultura” (Nr 12/170, 1961). — Senior dziennikarstwa i literatury emigracyjnej, Zygmunt Nowakowski, w miłym felietonie pt. „Zdrowie Anusi” („Dziennik Polski”, 15. 6. 1961), przedstawia nam patriotyczne dziecko polskie, które w wymaginowanej sytuacji prosi prezydenta Stanów Zjednoczonych... nie o wyzwolenie Polski, lecz o — uznanie granicy na Odrze i Nysie. — Mamy do czynienia na emigracji z obfitą ilością wystąpień publicznych i memoriałów, z których niedwuznacznie wynika, że „sprawa uznania Odry i Nysy” predominuje nad sprawą wyzwolenia i niepodległości Polski. Uchwała przyjęta na posiedzeniu Tymczasowej Rady Jedności Narodowej w Londynie, w dniu 14 kwietnia 1962, „wyrażając czołowe dezyderaty polskie na tle położenia międzynarodowego”, w taki sposób je szereguje („Dziennik Polski”, 19.4.1962):

„Rada Jedności Narodowej domaga się:

Po pierwsze: Formalnego uznania przez Zachód granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jako ostatecznej, bez dalszego odraczania decyzji w tej sprawie.

Po drugie: — Utrzymania zakazu uzbrojenia Niemiec w broń atomową w jakiegokolwiek postaci.

Po trzecie: — Prawa decydowania o swoich losach dla Polski i innych narodów środkowowschodniej Europy.”

Kongres Polonii Amerykańskiej, najpotężniejszej organizacji polskiej w Ameryce, wręcza prezydentowi Kennedy i sekretarzowi stanu Rusk memoriał (cytujemy za londyńskim „Dziennikiem Polskim” z 29. 8.1961):

„Część pierwsza memoriału wskazuje na konieczność dalszego udzielania narodowi polskiemu pomocy gospodarczej, technicznej i kulturalnej. Część druga wskazuje na niebez-

pieczeństwo, jakie dla pokoju i bezpieczeństwa europejskiego stanowi niemiecki rewizjonizm."

Dzieje się to akurat w czasie, gdy nad Europą zawisły chmury rozpętanej przez Chruszczowa ofensywy dyplomatycznej o Berlin. Nic, więc dziwnego, że memoriał Kongresu Polonii, mimo iż zawierał m.in. niejaki akcenty antysowieckie, z dużym entuzjazmem przyjęty jest i cytowany przez komunistyczną prasę warszawską. — Rozumie się, iż podobnych przykładów cytować by można bez liku.

Wymowa dwóch miar. — Wybór koncentracji politycznej na granicy Odry-Nysy, jest nader wymowny. Zważmy bowiem, że nie chodzi o inne granice PRL, o granice w ogóle, tylko o jeden odcinek graniczny i to akurat ten, który de facto jest — mniej zagrożony od innych... Gdyż każdy rozsądny człowiek zdaje sobie sprawę, że we wzajemnym układzie sił, i w rzeczywistości ustroju komunistycznego, nie istnieje żadna gwarancja przed dowolną zmianą każdej linii granicznej wewnątrz bloku komunistycznego; że granice te mogą być upłynniane w dowolnej chwili, uznanej za właściwą i celową przez centralę w Moskwie. A jednak o permanentnym zagrożeniu tych innych linii granicznych PRL, nie mówi się wcale. Mało jest np. ludzi, którzy wiedzą lub pamiętają, że 15 lutego 1951 „podpisany został układ", na mocy którego nastąpiła „wymiana terytoriów" z Ukrainą SSR i PRL „zrzekła się" 480 km kw. nad górnym Bugiem, z miastami Bełz, Uchnów, Waręż, tracąc przez to odcinek kolejowy Rawa Ruska — Kowel, oraz znajdujące się tam pokłady węgla, 'a otrzymując w zamian teren Ustrzyków Dolnych. Ludność tych ziem została po prostu, bez jej woli i pytania, wysiedlona i przesiedlona. Tego rodzaju manipulacja przeprowadzona być może przez komunistów w każdej chwili, w stosunku do każdego terytorium. Przed kilku laty głośno było o zamierzonym „skorygowaniu" granicy w rejonie Puszczy Białowieskiej pomiędzy PRL i BSSR na korzyść tej ostatniej. Nie powstała z tego powodu żadna, najmniejsza nawet akcja protestacyjna.

Wymowa tej podwójnej miary występuje jeszcze bardziej jaskrawo, gdy zważymy że punkt ciężkości przeniesiony został akurat na to terytorium, które do państwa polskiego przed wojną nie należało. Podczas gdy sprawa granic i terytoriów wchodzących w skład Polski niepodległej, a pogwałconych przez Związek Radziecki, de facto zdjęta została z politycznego porządku dziennego. — Wprawdzie oficjalne czynniki emigracyjne nie zadeklarowały nigdy wyrzeczenia się Ziem Wschodnich, ale właśnie przez porównanie podejścia do tych dwóch spraw, wychodzi na jaw niekonsekwencja emigracji, a konsekwencja prowokacji komunistycznej... Rzecz bowiem przedstawia się tak: z okazji okolicznościowych uroczystości patriotycznych, wypowiada się czasem na emigracji żądanie przywrócenia wschodniej granicy z r. 1939. Wszelako forma i tenor tego żądania, w zestawieniu z naciskiem na sprawę Odry-Nysy, nie pozostawiają wątpliwości, iż jest to raczej formuła platonicznej deklaracji, której uczestnicy zgromadzenia nie biorą zbyt poważnie. Także w memoriałach wręczanych mocarstwom zachodnim, nie wspomina się już o postulacie „odzyskania” Ziem Wschodnich. — Porównajmy dalej: mimo, iż nie nastąpiło na emigracji uznanie „umów” pomiędzy PRL i ZSRR o zrzeczeniu się Ziem Wschodnich, najpoważniejsze organy polrealistycznej koncepcji, wyrzekają się tych ziem otwarciem. Tak np. paryska „Kultura” jawnie uzasadnia definitywne odpadnięcie tych ziem od Polski. I fakt ten nie budzi żadnego zgorszenia, nie powoduje żadnej represji moralnej, żadnych uchwał protestacyjnych, ani wykluczenia „Kultury” ze „społeczności polskiej”. Przeciwnie, jest ona w dalszym ciągu ceniona, i współpracują z nią najwybitniejsi pisarze polscy. Gdy zaś ktoś jedyny wystosował przed laty list otwarty, piętnujący stanowisko „Kultury” jako „zdradę stanu”, potraktowano ten list raczej humorystycznie. Dzieje się to w chwili, gdy jednocześnie obowiązuje uroczysty slogan, że: „nie ma Polaka”, któryby nie stał na stanowisku granicy Odry i Nysy i „Ziem Odzyskanych”. Mało tego: ta sama „Kultura”, która naigrywa się ze śmiesznych jej zdaniem „niezlomnych”, którzy domagają się zwrotu Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej, pisze jednocześnie:

„Polak, który w danej sytuacji, w imię choćby najwznioślejszego pojętego anty komunizmu — godziłby się na oderwanie od Polski Ziemi Zachodnich, w perspektywie polskich kryteriów oceny byłby agentem działającym na szkodę własnego narodu”...

Nie wchodząc w meritum i nie przesądzając słuszności lub niesłuszności wyrzeczenia się Ziemi Wschodnich i rewizji granicy traktatu Ryskiego z 1921, niepodobna zaprzeczyć, że jako ważny problem sporny słusznie poddany jest dyskusji, i słusznie wolno mieć różne zdanie, co do tej granicy istniejącej przed 30 laty. Lecz oto równolegle, w tych samych warunkach i w tym samym społeczeństwie, niedopuszczalny jest cień nawet dyskusji na temat granicy, która przestała istnieć lat temu 600!... I każdy Polak, któryby ośmielił się poddać ją, w jaką bądź wątpliwość napiętnowany zostanie jako zdrajca.

Powstaje pytanie: kto tu właściwie decyduje o bezapelacyjnym stosowaniu tych dwóch, tak rażąco sprzecznych miar? I w imieniu jakiego prawa, nie figurującego w żadnych dekretach ni ustawach Rzeczypospolitej Polskiej, prócz tylko w ustawach komunistycznej „Polski Ludowej”?... Ale nie bawmy się w stylizowanie pytań bez odpowiedzi. Decyduje inspiracja z tamtej strony.

Dlaczego milczenie o Królewcu? — W obręb tzw. „Ziem Odzyskanych” włączonych do PRL, wchodzi również część Prus Wschodnich. Jeden rzut oka na mapę wystarczy, aby stwierdzić, że jeżeli o skorygowanie granicy polsko-niemieckiej z r. 1939 na korzyść Polski chodzi, to zaokrąglenie jej przez włączenie Prus Wschodnich, które n. b. nie przed 600 laty, ale jeszcze w roku 1657 stanowiły lenno Korony Polskiej, — wydawałoby się przede wszystkim racjonalne. A zatem, rzecz traktując logicznie, powinny by one stanowić najważniejszy postulat „Ziem Odzyskanych”, czyli budzić największe zainteresowanie ze strony polrealizmu. Tymczasem, jak wiemy, do PRL włączono tylko południową część Prus Wschodnich, zaś najważniejszą jej część północną, wraz ze stolicą Kró-

lewcem, portem ogromnej wagi, wybrzeżem etc. włączono do Związku Radzieckiego, jako obwód „Kaliningradzki”, nawiasem w sposób karykaturalny przecinając całość tych ziem. I oto jesteśmy świadkami dziwnego paradoksu: Królewca, tego zdawałoby się najistotniejszego terytorium „Ziem Zachodnich”, polrealizm się nie domaga, a w każdym razie żadnych memoriałów w tej sprawie mocarstwom zachodnim nie składa, i zresztą o „Obwodzie Kaliningradzkim” panuje zgodne milczenie.

Widzimy, więc, że w wypadku który jak ten, godzi w interesy Związku Radzieckiego, przestaje obowiązywać slogan: „Nie ma Polaka, któryby... etc.” A przeciwnie: Polaków, którzyby domagali się „odzyskania” Królewca, jest nader mało. W rezultacie otrzymujemy formułę: To, co komunizm zbrojną ręką zagarnął i trzyma, z tym należy się (nolens-volens) godzić; to, do czego de facto rozbrojone, Niemcy roszczą pretensję, stanowi „zagrożenie Polski i całej Europy”.

Czy istnieje zagrożenie ze strony „rewizjonizmu niemieckiego?” — Propaganda komunistyczna czyni wszystko możliwe, aby wytworzyć nastrój rzekomego zagrożenia ze strony rewizjonizmu niemieckiego. Propaganda ta nie ma nic wspólnego z interesami Polski, bez względu na to czy negujemy suwerenny byt państwowy Polski pod postacią PRL, czy też jak to chcą polrealiści, uznamy PRL za „państwo polskie” o własnych, zewnętrznych granicach państwowych. Gdyż nawet stając na tym stanowisku, musielibyśmy przy obiektywnej ocenie sytuacji dojść do przekonania, że nic PRL ze strony Niemiec w tej chwili nie zagraża, i nawet zagrażać nie może.

Retrospektywny rzut oka na historię poucza nas, że nie istniał chyba taki moment w dziejach, żeby ktoś nie rościł pretensji czy to do korony, sukcesji, terytorium, czy jakiegś własności innego państwa. „Rewizjoniści” byli zawsze i wszędzie. Sam fakt istnienia tendencji „rewizjonistycznych” nie przesądza o zagrożeniu. Nie stwarza takiego zagrożenia nawet formalne poparcie „rewizjonistów” przez sąsiednie państwo, rząd nie uznający istniejącego status quo. Tak np. w r. 1938 pod

presją ultimatum polskiego nawiązane zostały dyplomatyczne stosunki z Republiką Litewską, które w krótkim czasie poczęły się przeistaczać w stosunki przyjazne. Uważano to powszechnie za duży sukces rządu polskiego, mimo iż do układu międzypaństwowego włączona została uroczysta deklaracja Litwy, że nie zrzeka się ona pretensji do Wilna. W ten sposób rząd litewski popierał „rewizjonizm” całego w istocie narodu litewskiego. Argument, że mała Litwa była zbyt słaba, aby zagrażać o tyle silniejszej od niej Polsce, jest niewątpliwie argumentem słusznym. Dzisiejsza, NRF jest bez porównania słabsza od bloku komunistycznego, niż ówczesna Litwa od ówczesnej Polski.

Zagrożenie rzeczywiste stwarza dopiero wola użycia siły celem dokonania rewizji”, łącznie z faktycznym istnieniem takiej siły. Ani tej woli, ani tej siły NRF nie posiada. Polityka NRF w stosunku do wschodnich sąsiadów znajduje się de facto pod kuratelą Stanów Zjednoczonych, a nieliczna armia niemiecka pod kuratelę NATO. Nie istnieje możliwość wystąpienia Niemiec nie tylko zbrojnego, ale nawet politycznego bez uzgodnienia z mocarstwami zachodnimi. Niemcy w tej chwili nie są w stanie nawet planować obrony Berlina zachodniego, jakże w ich położeniu mogliby planować agresję na Odrę i Nysę! W zaistniałym obecnie układzie sił twierdzenie, że 300-tysięczna armia niemiecka, nawet gdyby całkowicie podporządkowana została „rewizjonistom”, może zagrażać 20-milionowej armii bloku komunistycznego, zakrawa na groteskę. W zaistniałej sytuacji, gdy nad światem zawisła groźba komunistycznej inwazji, twierdzenie, że „rewizjonizm niemiecki zagraża Europie” — zakrawa na ponurą groteskę. W zaistniałej sytuacji, gdy Polska cała znajduje się w niewoli komunistycznej, i nikt jej na razie nie zamierza wyzwalać, apele tych Polaków, którzy wzywają wolny świat, aby ich bronił przed „rewizjonizmem niemieckim”, — zakrawają na tragiczną groteskę.

Jak wiadomo komuniści, zarówno w postępowaniu na wewnątrz jak na zewnątrz, nie wahają się posługiwać sloganami groteskowymi. Wystarczy przypomnieć, że w grudniu 1939

twierdzili, że „zagroza im Finlandia”, której cała ludność wynosiła zaledwie tyle, co ilość mieszkańców jednej Moskwy, i że to Finlandia napadła na Związek Radziecki, a nie odwrotnie. Nikogo, zatem kto zna ich metody, nie może dziwić ani zaskoczyć, że w chwili, gdy na porządku dziennym ich planów znalazło się opanowanie Niemiec, — wystąpili ze sloganem, że to nie oni Niemcom, ale właśnie Niemcy zagrażają Sowietom i „państwowi demokracji ludowych”. Dziwić się natomiast można tym Polakom, którzy obeznani z metodami sowieckimi, zamiast dekonspirować je przed całym światem, mogą im jeszcze udzielać kredytu i poparcia.

Słyszysz się głosy, że w przyszłości Niemcy mogą na Polskę napasać, bo napadały już uprzednio. Bardzo możliwe. W przyszłości wszystko może się stać, albo nie stać, powtórzyć, albo nie powtórzyć. W przyszłości też każda umowa polityczna, lub formalne uznanie jakiejś granicy, może być dotrzymane, albo podeptane w strzępy. Sowiety np. ze wszystkich umów, które zawarły od swego istnienia, dochowały zaledwie 5%, a 95% podeптаły. Trudno jednak realną polityką nazywać absorbowanie własnej i cudzej uwagi przeciwko komuś, kto w nieokreślonym terminie przyszłości może być, albo nie być agresorem, zamiast kierować ją przeciwko temu kto nim jest dziś i z całą pewnością będzie jutro. Że komunistom najbardziej właśnie zależy na odwróceniu tej uwagi, jest rzeczą, naturalnie, zrozumiałą.

Oficjalna teza polrealizmu. — Brzmi ona w skrócie mniej więcej tak: „Sprawa jest ważna i pod względem psychologicznym. Fakt iż tylko Sowiety spośród wielkich mocarstw uznają obecną granicę na Odrze i Nysie, wiąże Polaków, wbrew ich woli, z obozem sowieckim. Uznanie tej granicy również przez mocarstwa zachodnie i Niemcy federalne, tę więź łączącą Polskę z blokiem komunistycznym rozluźni. Niemcy przez swój upór wpychają nas w objęcia sowieckie, i do takiego rozluźnienia nie dopuszczają.” — Ponieważ nie wiadomo, jak sobie polrealizm to „rozluźnienie” wyobraża w praktyce, więc załóżmy, iż chodzi tu o spotęgowanie w Polsce nastrojów pro-

zachodnich, a można się domyśleć, że automatycznie i antysowieckich.

To pozornie logiczne sformułowanie posiada wszelako tę dużą nielogiczną usterkę, że zakłada cel, w gruncie rzeczy antysowiecki, we wspólnym działaniu z — komunistami... Albowiem wiadomo jest, że zarówno komuniści polscy, jak cały blok sowiecki, jak wszyscy komuniści, pro komuniści, fellow travellerzy, a w końcu „koegzystencjoniści” całego świata, zgodnie popierają i zabiegają o uznanie granicy na Odrze-Nysie przez mocarstwa zachodnie i Niemcy federalne. Z drugiej zaś strony wiemy, że nie może leżeć w interesie komunistów ani rozluźnienie więzi łączącej Polskę z blokiem komunistycznym, ani wzrost nastrojów pro zachodnich w Polsce, ani naturalnie wzrost nastrojów anty sowieckich. Ażeby więc tę oczywistą, zarówno formalną jak istotną sprzeczność usunąć, należałoby założyć, że:

a) Nieprawdą jest, że komuniści zabiegają o uznanie tej granicy. — Albo b) zabiegając, czynią to nieszczerze. — Albo c) jeżeli zabiegają i szczerze, to znaczy że są tak głupi, iż nie zdają sobie sprawy, że działają na własną niekorzyść.

Ani jeden z tych punktów nie da się utrzymać. Punktom a) i b) zaprzeczają ponadto wielokrotne wypowiedzi polityków polrealistycznych, że „we wspólnej sprawie dotyczącej zachodniej granicy Polski, idziemy łącznie z komunistami”. Uzasadnianie punktu c) obniżyłoby w ogóle poziom dyskusji. Wniosek z tego może być przeto jeden, że mianowicie komuniści nie obawiają się ani niepomysłnych dla siebie skutków uznania granicy na Odrze i Nysie przez mocarstwa zachodnie i Niemcy federalne w ogóle, ani w szczególności rozluźnienia przez to spójni łączącej PRL z blokiem komunistycznym. I oczywiście, mają rację że się nie obawiają. Dla komunistów ważne jest w tej chwili nie samo uznanie lub nie uznanie, a wspomniane wyżej odwrócenie uwagi opinii publicznej od zagrożenia komunistycznego, a skierowanie jej na rzekome „zagrożenie ze strony rewizjonizmu niemieckiego”.

Wpływ efektywny działalności polskiej emigracji na decyzję międzypaństwowe (dziś międzyblokowe), jest oczywiście

minimalny. Natomiast włączenie się polrealizmu do taktyki i propagandy komunistycznej na odcinku dla bieżącej polityki najbardziej aktualnym, przyczynia się emocjonalnie do związania Polski z blokiem komunistycznym bardziej, niżli do rozluźnienia tego związania mogłoby się kiedykolwiek przyczynić uznanie granicy na Odrze i Nysie przez mocarstwa zachodnie.

Licytacja, czy prowokacja? — Specjalnym błędem w rachunku politycznym polrealizmu, jest tzw. „wzgląd na opinię publiczną w Kraju”. W tym celu polrealizm uważa za wskazane uprawiać licytację w postawie antyniemieckiej z „reżymem”. — Tego rodzaju licytacje z komunistami w radykalizmie wysuwanych przez nich haseł, nie są rzeczą nową. Z reguły doprowadzały do fatalnych skutków. Ofiarą ich padły konkurencyjne partie socjalistyczne, jak kiedyś np., mienszewików i eserów w pierwszym okresie rewolucji; dziś m.in. lewicujące koła katolickie. Każda licytacja z komunistami jest rzeczą bezprzedmiotową, gdyż nie istnieje możliwość prześcignięcia ich w czymkolwiek dla tej prostej przyczyny, że taki proces odbywa się nie w tej samej, a w dwóch zupełnie różnych płaszczyznach jakościowych. Komunizm operuje w sferze, gatunkowo, odmiennej od naszych pojęć. To też polrealizm (jak zresztą większość dzisiejszych „realizmów” w odniesieniu do Sowietów), aby taką licytację przeprowadzić, zmuszony jest sztucznie te płaszczyzny zrównać. Czyni to, jak widzieliśmy, przez podstawianie pod pojęcie komunizmu pojęcia „Rosja”, w ten sposób uzyskując obraz społeczeństwa w kraju, mniej więcej zbliżony do dawnych zaborów. Ma to nadać wypowiedziom prasy, uchwałom, oświadczeniom i innym wyrazom rzekomej „opinii publicznej” — co-najmniej w pewnym stopniu — wyraz istotnej opinii publicznej w „Kraju”. Tymczasem, opinia taka, w naszym znaczeniu tego słowa, w kraju nie egzystuje. A to co dochodzi do głosu, nie jest opinią lecz nakazem.

Czego chcą ludzie w Polsce? Niewątpliwie to samo co ludzie w Czechosłowacji, Rumunii, Węgrzech, Niemczech wschodnich, w Litwie, Ukrainie, Turkiestanie i w całej Rosji; to samo co wszyscy ludzie pod panowaniem komunistycznym: przepędzenia komunistów won! Jest to pragnienie do tego stopnia po ludzku naturalne, że program nacjonalistów litewskich przyznania im Wilna, białoruskich przyznania Smoleńska, ukraińskich przyznania granic od Białegostoku po Kubań, rosyjskich „nierozczłonkowania Rosji”, polskich uznania Odry i Nysy i niemieckich nie uznania Odry i Nysy, — dla ludzi pod komunistami schodzi siłą rzeczy do problemów drugorzędnych, aktualnie obojętnych. Ujawnienie jednak tego prymatu rzeczywistych pragnień mas ludzkich, zmuszałoby do uznania istnienia nadrzędnego wroga, ciemniącego wszystkich w jednakim stopniu: potęgę międzynarodowego komunizmu.

Jeżeli chodzi o polrealizm, oznaczałoby to — jak już o tym pisaliśmy wyżej — przesunięcie Niemiec z płaszczyzny „wroga nr I” w możliwą płaszczyznę nawet potencjonalnego sojusznika w walce ze wspólnym wrogiem, co równałoby się zaprzeczeniu całej dotychczasowej polityki i zburzeniu emocjonalnej bazy polrealistycznej koncepcji. Stąd kurczowe trzymanie się takich formuł jak: „hegemonia rosyjska”, „opinia Kraju” etc.

Jak dalece to liczenie się z „opinią Kraju” i unikanie „kompromitacji” w jej oczach, jest bezprzedmiotowe i bezpłodne dowodzi dotychczasowa praktyka. Tak np. komuniści doskonale wiedzą, że gen. Anders wystąpił wiele razy w obronie granicy na Odrze i Nysie, i że kardynał Wyszyński uczynił wszystko, co w jego mocy, ażeby uzyskać jej uznanie przez Stolicę Apostolską. To jednak nie przeszkadza komunistom, w chwili, gdy uznają za stosowne, nacisnąć guzik i cała prasa krajowa pisała, że Anders wysługuje się gen. Guderianowi czy Gellenowi, a ks. Wyszyński kuma się z rewizjonistami niemieckimi... Ostatnio, w końcu 1961 r., komuniści rozpowsechnili na emigracji zakamuflowany niezręcznie pamflet, a w prasie krajowej na jego podstawie oskarżyli szereg osób, które na emigracji notorycznie znane są jako rzecznicy uznania Odry-Nysy, — że porozumiewają się z Niemcami, a nawet są

ich agentami i biorą pieniądze z ambasady niemieckiej w Londynie. I mimo, iż tego rodzaju absurdałne i groteskowe twierdzenia należą do oczywistej taktyki komunistów uprawianej od lat 42, „oskarżone” osoby uznały za wskazane wdawać się w polemikę, bronić się, tłumaczyć i piętnować z nazwiska autorów prasy krajowej jako „oszczerców”. Wytworząc przez to fikcję (dezinformację), jakoby w istocie chodziło tu o jednostkowe oszczerstwa, personalne napaści, oraz możliwość polemiki z prasą krajową, a nie bezosobowe działanie systemu, z którym żadnej polemiki być nie może.

W ten sposób rzecznicy polrealizmu sami wpadają w naślawioną na nich pułapkę. Jest, bowiem błędem zasadniczym rozpowszechnione mniemanie, jakoby komuniści atakowali wyłącznie ludzi sobie niewygodnych. Dzieje się często wręcz odwrotnie. Bywa, że atakują właśnie tych, których stanowisko kompromisowe w ogóle, względnie na pewnym odcinku, jest im dobrze znane, i spodziewają się za pomocą zwiększenia nacisku wywołać nie odpór, a pogłębienie kompromisu. Tego rodzaju taktyka zastraszania, odnosiła nieraz duży sukces. Mielśmy, przykładowo, nasilenie nagonki na episkopat w okresie akurat szczytowego z jego strony kompromisu. Istotnie, doprowadziło to do najbardziej ugodowej deklaracji biskupów z r. 1953. Podobnie i teraz: gwałtowny atak na polityków polrealistycznych spowodował z ich strony nową falę wypowiedzi antyniemieckich, dla usprawiedliwienia się przed „opinią kraju”, dla wykazania „czystości” ich intencji; gwałtowne wypieranie się „wszelkiego kontaktu z Niemcami”, czyli wycofanie na potrzebną komunistom linię polityczną. Właśnie w momencie, gdy im najbardziej zależy, aby do żadnego wyłamania z tej dotychczasowej linii nie doszło.

Kultura w zacisku przymusowego infantylnizmu

Moralny aspekt kompleksu antyniemieckiego posiada znaczenie dużo szersze, aniżeli omówiony poprzednio aspekt polityczny. Konsekwencje jego okazać mogą pośrednio wpływ ujemny na całość rozwoju kultury narodowej. Wytwarza, bowiem stan, gdy nie tylko na szczeblu politycznym, ale również na szczeblu intelektualnym mamy do czynienia z poważnym obniżeniem poziomu przez odrzucenie obiektywizmu i zastąpienie go demagogią. Stan ten wtrąca cały naród w rodzaj przymusowego infantylnizmu. — Chcę być dobrze zrozumiany:

nie chodzi tu tylko o stosunek do Niemiec. Chodzi o zejście do poziomu, na którym cały naród, włącznie z jego świecznikami intelektualnymi, zaczyna w stosunku do innych narodów stosować kryteria: „be” i „caca”. Naturalnie każdemu wolno zająć się wycinkami lub lepieniem babek z piasku. Rzecz nie byłaby groźna, gdyby nie stanowiła przymusu dla wszystkich Polaków, i gdyby każdego, kto zaprotestuje przeciw zabawie w „zły” i „dobry”, nie wsadzano do narodowego karceru.

Komunizm jest totalną antytezą wolności. Usiłuje zastąpić rozum ludzki przez mechanizm partii. Pierwszym krokiem do tego celu służyć ma pozbawienie ludzi obiektywnej informacji. — Powie ktoś, iż rzecz nie jest nowa. Słusznie, kłamstwo, demagogia, deformacja, tendencja były zawsze i występują wszędzie. Różnica wszelako polega na tym, że podczas gdy w ustrojach liberalnych regułą służy do tego prawdziwa informacja, którą się następnie tendencyjnie przeistacza w dezinformację, — regułą komunistyczną jest zarówno fałszywa informacja jak fałszywe wnioski. A więc technika odmienna,

która nie da się mierzyć naszymi kryteriami. Tak, więc np., jeżeli korespondent „Izwestji” dostrzeże w miastach dzisiejszych Niemiec zachodnich „tłumy biednych ludzi przygniecionych militaryzmem” — to wiemy, że informacja podana jest według specyficznej techniki komunistycznej. Do jakiej jednak kategorii zaliczyć wypadnie informację, którą wolny literat polski, — np. od 10 lat zamieszkały w Niemczech — podaje do wolnego miesięcznika intelektualistów polskich w wolnym świecie, że: „Niemcy unikają wspomniania przeszłości hitlerowskiej”..., gdy jednocześnie wiadomo, że literatura, publicystyka, film, teatr, odczyty, zebrania dyskusyjne, wykłady w Niemczech, przeładowane są tematyką hitlerowskiej przeszłości? Otóż wydaje się nam, że do kategorii techniki infantylniej. — Jest różnica, jeżeli polityczny podręcznik komunistyczny, „Politiceskij Słownik”, podaje np. taką informację o „socjal-rewolucjonistach (Es-er’ach): „Kontr-rewolucyjna, mieszczańsko-burżuazyjna partia...” — a gdy czołowy historyk emigracji polskiej pisze: „Niemcy nigdy w dziejach, do kultury zachodniej właściwie nie należeli...” Tamto jest rodzajem dezinformacji zgodnym z normalnym komunistycznym sposobem myślenia; to drugie, nie będąc w zgodzie z normalnym naukowym sposobem myślenia, zbliża nas do poziomu dziecinnego zaciętrzewienia.

*

Wiemy, że genezą kompleksu antyniemieckiego, doprowadzonego w niektórych wypadkach do ekstazy, jest napad Niemiec hitlerowskich na Polskę, niezliczone zbrodnie popełnione podczas okupacji, plany Hitlera zlikwidowania wyższej warstwy polskiej i przeistoczenia narodu polskiego w rodzaju „ludu” na podobieństwo ludów afrykańskich. Zbrodnie Hitlera dokonane zostały jednak nie tylko w odniesieniu do Polaków, ale i wielu innych narodów, i zwłaszcza w stopniu wielokrotnie przewyższającym wszystkie inne. względem narodu żydowskiego. Jest to b. dobrze wiadome. Nikt tego na

świecie dziś nie neguje, a w pierwszym rządzie nie negują tego sami Niemcy.

Słuszność mają również ci, że suma nieszczęść, która spadła na Polskę do dnia dzisiejszego, bierze swój początek od napadu Hitlera we wrześniu 1939. Następne popadnięcie Polski w niewolę komunistyczną i jej przebywanie w tej niewoli obecnie, również stanowi pochodną tego napadu. — Zdawałoby się, więc na zdrowy rozum, że teoretycznie największym odszkodowaniem, jakie Niemcy dzisiejsze okazać mogłyby za wszystkie krzywdy wyrządzone przez Niemcy hitlerowskie, byłoby udzielenie Polsce takiej moralnej, materialnej i militarnej pomocy, któraby mogła wydobyć ją ze stanu tej niewoli, w jaką popadła z ich winy. — Lecz oto stoimy w obliczu szczególnego paradoksu: samo teoretyczne założenie takiej możliwości, takiego zdawałoby się logicznie, generalnego „odszkodowania” dla Polski przez Niemcy, wywołuje paroksyzm gniewu ze strony polrealizmu, i traktowane jest za coś najbardziej sprzecznego z interesami Polski. Nie chodzi o merytoryczne zastrzeżenia, których naturalnie może być wiele, a o generalną zasadę, która wszelką teorię na temat możliwości wspólnego z Niemcami działania antykomunistycznego, potępia bez dyskusji. I tu dopiero wyłania się pełnia interesu komunistycznego.

*

Byłoby naiwnością sądzić, że bez współdziałania komunistycznej prowokacji, nie zaistniałby w społeczeństwie polskim kompleks antyniemiecki. Zapewne Jednak nie przybrałby po 18 latach od zakończenia wojny tego rozmiaru, bez sztucznej i systematycznej ekscytacji. Wynosząc bowiem sprawę na poziom problemu ideowego, dostrzec można wyraźną niekonsekwencję: Jesteśmy przeciwnikami odpowiedzialności zbiorowej; jesteśmy przeciwnikami masowych deportacji; Jesteśmy przeciwnikami ustrojów totalitarnych; jesteśmy największymi przeciwnikami mordów i gwałtów, ale — w pewnych okolicznościach postępujemy tak, Jakbyśmy byli ich stronnikami... W takich mianowicie, w których głośno je

potępiać, czy zgolą protestować, jest dla pewnych względów nie na rękę. Odwracając sytuację, jest to postępowanie nieco zbliżone do tego, o które właśnie oskarża się ogół Niemców, że mianowicie nie wiedzieli, czy nie chcieli wiedzieć co się dzieje w obozach koncentracyjnych. Jeżeli Jednak w stosunku do siebie zdobyć się możemy na wytłumaczenie owego przymknienia oka, co zresztą łatwo jest wytłumaczyć niedoskonałością natury ludzkiej, to dlaczego mamy od Niemców tej doskonałości wymagać? Powie ktoś: co za zestawienie) Przecież to Niemcy wobec nas, ale nie my wobec Niemców dopuściliśmy się zbrodni Słusznie. Tym łatwiej powinno by nam przyjść potępienie czynów, których dopuścili się w stosunku do nich — komuniści. Tymczasem poza własnymi wy

z prawdą życia, nie powinna przynajmniej odbiegać od prawdopodobieństwa życia. Nasuwa mi się kolejne pytanie, jakże bym ja osobiście wyglądał w świetle krytycznych uwag polrealistycznej pisarki o tym filmie? Byłem na tej samej wojnie co porucznik M. I oto założmy, stoję w szeregu ułanów, gdy z wyższego rozkazu wieszają *kogoś* na sośnie, a ja co? Kopię konia ostrogami, wyjeżdżam przed front i protestuję? Albo zgolą dobywam szabli i rzucam się na dowódcę? Przede wszystkim miałoby to taki efekt, że całe towarzystwo rozdziawiłoby gęby w bezgranicznym zdumieniu, łącznie chyba z wieszanymi. Następnie, gdyby mnie nie zastrzelono na miejscu, to zawdzięczając jedynie szczeremu przekonaniu, że — zwariowałem.

*

Podczas okupacji niemieckiej działy się straszne rzeczy. Tyle o tym napisano, że każdy już je zna na pamięć. Co wiemy natomiast o odwecie we wschodnich Niemczech? Milczenie. Jeżeli działo się słusznie, dlaczego tego się wstydzimy? Jeżeli nie słusznie, dlaczego nie potępiamy? — „W pewnej wal — opisuje Thorwald „Das Ende an der Elbe” — zamordowano chłopca niemieckiego i obcięto mu dla żartu głowę, gdy bronił swej żony, którą gwałciło 16 żołnierzy po kolei, i to należało do porządku rzeczy. Dlaczego jednak przy okazji, na ścianie stodoły przybito gwoździami, głową w dół czternastoletniego chłopca, tego nikt nie wiedział... — Kapelan amerykański, Francis Sampson, opowiada, że w Neubrandenburgu, zgwałcone dziewczęta niemieckie wieszano za nogi do rozstawionych gałęzi drzew i rozcinano w pachwinach... W Pradze czeskiej Niemki rozbierano do naga i kazano im w tym stanie uprzętać gruz; jednocześnie otwierać szeroko usta, żeby każdy przechodzień mógł w nie splunąć; matki krępowano drutami kolczastymi i wrzucano do rzeki, zaś dzieci topiono w miejskich rezerwarach wodnych i zabawiano się odpychając je żerdziami od krawędzi. Proboszcz Karol Seifert opowiada, że dnia 20 maja 1945 roku, stojąc na brzegu Elby widział: rzeką płynęła drewniana tratwa, do której długimi gwoździami przybita za

ręce i nogi, cała niemiecka rodzina z kilkorgiem dzieci... Były major sowiecki, KImow, („Berlinskij Kreml”) opisuje jak w rowach przydrożnych leżały kobiety niemieckie, którym powbijano kolbami między nogi butelki od piwa."

Dosyć cytat. Nie chodzi o ich ilość. Przytoczone są tylko dla zilustrowania pewnej kategorii informacji, których szersza opinia polska nie posiada, bądź posiadać nie pragnie. A Jednocześnie dla postawienia pytania: czy po *tym*, co przeszła matka, której syna przybito gwoździami do stodoły, lub córkę *przybito* pomiędzy gałęziami drzew, jest w stanie, czy nie jest, uznać to za „słuszną karę Bożą" tylko dlatego, że jej rodacy dokonali zbrodni w innych krajach? Moim zdaniem nie jest w stanie. Ani Niemka, ani żadna inna matka na świecie. Ze stanowiska politycznego łatwo jest naturalnie sprowadzić sprawę do: „*kto* pierwszy zaczął"... Ale odwołując się do wyobraźni piszących o życiu: jest li możliwe, aby człowiek nad trupem bestialsko zamordowanej osoby najbliższej, zdobywał się na rachunek polityczny i — opłakiwał obcych ludzi zamordowanych w obcym kraju? Gdyby taki się znalazł, musiałby chyba być ze stali należeć do rasy „Ubermensch'ów". Osobiście w rasę „Ubermensch'ów" szczerze nie wierze.

*

Skrzywienie literatury zarówno socrealistycznej jak polrealistycznej na odcinku pamiętnikarsko-wojennym doprowadza mimo woli do rezultatów odwrotnych od zamierzonych przez autorów, gdyby rzecz przemyśleć do końca. Tak, więc przyjęta została forma, że wszyscy Niemcy z okresu okupacji musieli być i byli „źli". Spróbujemy teraz przeanalizować według tego schematu charakterystykę literacką pojedynczego Niemca, jako człowieka, w okresie okupacji Polski: Zły był ten, który w dobie powszechnego rozkradania okupacyjnego mienia, kradł na równi z okupowaną ludnością, gdyż przedstawiany jest jako „złodziej". Zły był ten, który w dobie powszechnej spekulacji, pośrednictwa, czarnego rynku i łapownictwa, brał łapówki, gdyż jest wtedy: „łapownikiem". Ale najgorszym był

ten, który nie kradł i nie brał łapówek, ale wykonywał zarządzenia władz okupacyjnych przełożonych, bo wtedy był: „zbrodniarzem”. Gdybyśmy teraz z tego kolektywnego typu literackiego spróbowali wysupłać żywego człowieka, automatycznie narzuci się pytanie: co miał robić pojedynczy Niemiec, aby zasłużyć na miano „dobrego”? Literatura socrealistyczna zna kapitalną receptę: wstąpić, oczy-wiacie, do partii komunistycznej. Natomiast w literaturze polrealistycznej musiałby to być typ Niemca, który w ogólnym dobrobycie czarnego rynku żył życiem mnicha za swoje kartki żywnościowe; tolerował i pomagał w spekulacji innym, wyrzekając się wszelkich zysków osobistych; wreszcie nie wykonywał rozkazów swych przełożonych, ryzykując przez to głowę dla dobra — Polaków. Przyznajmy, iż tego rodzaju postać literacka byłaby zupełnie nierealna, infantylnie uproszczona, sprzeczna z prawdą życia, a już tym bardziej z prawdą i prawami wojny. A wymaganiom podobnym mogłyby chyba sprostać anioł-na-ziemi, co oczywiście stałoby w jaskrawej sprzeczności z intencją autorów tej literatury.

Było bardzo dużo złych i okrutnych Niemców, tak jak jest bardzo dużo złych i okrutnych ludzi na świecie. Ale nie odpowiada i nie może odpowiadać prawdzie, żeby miliony żywych ludzi mogły być we wspólnej negatywnej cesze tak odstampowane jak ołowiani żołnierze odlani z jednej formy. Samo dowodzenie niesłuszności takiego poglądu, już sprowadza wszelką dyskusję do poziomu infantylnego.

*

Powracam do metody porównawczej. Operując tego rodzaju infantylizmem, można by obarczyć cały naród rosyjski odpowiedzialnością za bolszewizm, jak niemiecki za hitleryzm, jak włoski za faszyzm, czy żydowski za ukrzyżowanie Chrystusa. Wolny człowiek, jeżeli chce być wolny, powinien powiedzieć: Nonsens! Nie pozwolę się ogłupiać! Ale tego buntu przeciwko postulatowi narodowego kolektywu nie należy traktować za szczególną sympatię do któregoś z tych narodów, lecz

jako protest w obronie zdrowego rozsądku, swobody myśli i obiektywizmu, do którego każdy człowiek ma, jeżeli nie obowiązek, to w każdym razie prawo.

*

Generalnym zarzutem wysuniętym przeciwko wszystkim Niemcom, który podczas toczącej się wojny obowiązywał pół świata, a po wojnie podtrzymywany jest za sprawą prowokacji komunistycznej, chyba tylko w narodzie polskim, jest zarzut że nie obalili Hitlera, a przeciwnie dali się mu prowadzić i wykonywali posłusznie jego rozkazy. Jest to, zatem identyczny zarzut, który można postawić Rosjanom, że pozwolili się opanować przez Lenina i wykonują służbę w NKWD. Podczas wojny zarzutu tego nie wysunięto, gdyż pół świata wspierało bolszewików. Wskazuje, więc wyraźnie na koniunkturalność tego rodzaju oskarżeń.

Ale rozciąganie odpowiedzialności zbiorowej na całe narody, jest nie tylko propagandową grą koniunktury politycznej, jest zarazem rzeczą co najmniej śliską... Dlaczego analogicznego zarzutu nie można wysunąć np. przeciwko narodowi polskiemu za tolerowanie komunizmu, w tej chwili, już od lat 17-tu? Jeżeli chodzi o ogólny potencjał UB, WOP-u, KBW i pokrewnych formacji policyjno-politycznych, to liczbowo nie ustępują one formacjom SS Niemiec hitlerowskich. Dalej: na Hitlera Niemcy dokonali bądź co bądź kilku zamachów. Na Bieruta i Gomułkę Polacy, ani jednego. Mało tego:

nie jakiś jeden odłamek Polaków, ale w tej chwili wszyscy Polacy na świecie, zarówno w kraju jak na emigracji, uważają namawianie do zamachów, strzelanie do reprezentantów reżymu, słowem każdą próbę obalenia totalitarnego ustroju siłą, za — prowokację, za którą płacić będzie naród, czyli za zbrodnię. Wynikałoby z tego, że poczytujemy Niemcom za zbrodnię to (nie obalenie Hitlera), co sobie samym za cnotę. I odwrotnie: za obowiązek dla każdego Niemca to, co sobie za zbrodnię.

Odpowiedź na to zestawienie, obowiązującą polrealistów do roku 1956, brzmiała tak: To zupełnie co innego! Nie ma tu żadnej analogii! Hitlerizm był tworem, niemieckim i powstał wewnątrz narodu niemieckiego, podczas gdy współczesny bolszewizm Polski został jej narzucony z zewnątrz i utrzymuje się wyłącznie siłą bagnetów „rosyjskich”. — Stąd ma się wyprowadzać dalszy wniosek, że naród nie jest odpowiedzialny za „obce” ustroje narzucone mu siłą, natomiast odpowiedzialny jest za „własny” ustrój państwowy. I dalej: ten „własny” ustrój charakteryzuje mentalność narodu i stanowi odbicie jego moralności wewnętrznej. — Przyjmując jednak tę formułę stajemy wobec szeregu trudnych do rozwiązania problemów. Na przykład: który z ustrojów był bardziej typowy dla mentalności narodu francuskiego: krwawa dyktatura rewolucji 1789? Imperializm cesarski Napoleona? Czy reakcja Ludwika XVIII? Zmiany, które zaszły w przeciągu lat 26-ciu. Czy wobec krótkości tych terminów, decydować ma ilość lat następnych? Ale w takim razie wypadłoby stwierdzić, że naród niemiecki przez okres o wiele dłuższy uchodził za naród „poetów i myślicieli” niż za gestapowców i esesmanów. Podobnych łamigłówek wypadłoby rozwiązać bardzo dużo na całym świecie. Wyciągając aktualne konsekwencje z różnicy czynionej pomiędzy „własnym” i „obcym” ustrojem, musielibyśmy dojść także do wniosku, że w równym stopniu winą ze strony Niemców było, że- nie zabili ongiś Hitlera, jak winą byłoby dziś gdyby odwrotnie, strzelali do panów Ulbrichta i towarzyszy. Byłaby to, co najmniej wygodna interpretacja dla wszystkich „obcych” ustrojów komunistycznych na globie...

Oczywiście, że temat tego rodzaju nie da się wyczerpać ani w kilku argumentach, ani w mniej lub więcej zawitych formułach. Geneza władzy i narzuconego narodom ustroju państwowego ginie w mrokach historiozofii i należy do dziedziny nieskończenie obfitszej w wykładnie psychologii ludzkiej, a także przykłady dziejowe. Gdybyśmy dorzucili zalecenie Kościoła chrześcijańskiego, że: „każda władza pochodzi od Boga”, znaleźlibyśmy się w sieci nieskończenie sprzecznych interpretacji.

Niezależnie od powyższych uwag, formuła przyjmująca drastyczne rozróżnienie władzy „własnej” od „obcej” wydaje się posiadać jeszcze jedną wadę. Mianowicie operując wyłącznie terminem „naród”, pomija istnienie czynnika w życiu bardziej konkretnego, jakim jest jednostka ludzka. Zaś właśnie w życiu mamy najczęściej do czynienia z wzajemnym stosunkiem: jednostka — władza, bez względu na to czy jest ona „własna” czy „obca”. W ten sposób przenosząc punkt ciężkości z płaszczyzny kolektywno-politycznej w płaszczyznę jednostkowo-ludzką, stajemy w obliczu nowego kompleksu drażliwych kryteriów. A więc na przykład: dlaczego esesman tropiący ludzi obcej narodowości na korzyść własnej władzy, ma stać moralnie niżej od polskiego łapsa tropiącego swoich własnych rodaków w interesie władzy obcej i narzuconej siłą? Dlaczego np. ci literaci niemieccy, którzy pieli hymny na cześć „własnego” hitleryzmu, mają być piętnowani jako zbrodniarze, natomiast literaci polscy (i jacy! Gałczyński, Broniewski...) piejący hymny na cześć „obcego” im bolszewizmu, rozgrzeszani jako biedne ofiary? Że niby: muszą, że żona, dzieci?... Że chcą żyć? A tamci nie chcieli żyć? Nie mieli żon i dzieci?

Narzuca się jeszcze pytanie postronne, czy przy rozbudzonych współcześnie nacjonalizmach (pisze się: patriotyzmach), wśród wielu narodów Europy zabrakłoby piewców „własnego” władcy, chociażby najgorszego z najgorszych, ale którego jeden but stanął nad Atlantykiem, a drugi nad Wołgą, którego władza sięgnęłaby od piasków Egiptu po Ocean Lodowaty?! Wolne żarty. Nie darmo, choć niechętnie, porównuje się Hitlera z Napoleonem. — W rezultacie odpowiedź na pytanie: co jest „gorsze”, opiewać „własny” hitleryzm, czy „obcy” bolszewizm, okazuje się sprawą co najmniej sporną...

Ale po roku 1956 cały ten temat doznał raptownej dezaktualizacji. Jak za przecięciem noża dotychczasowa argumentacja odwrócona została o 180 stopni. Gdyż oto dowiedzieliśmy się, że komunizm sam przez się nie jest zły... a zły jest jedynie wtedy tylko, gdy jest „obcy”, narzucony, „rosyjski”.

Przeciwnie, „polski” komunizm przez to samo, że jest rodzimy, gomułkowski, przez to że jest „własny” staje się nie tylko lepszy, ale może być nawet wcale „dobry”. A złe jest jedynie odejście od „polskiego Października” do „rosyjskiego Października”. — Większość przyjęło odwrócenie poprzedniej argumentacji, nie spostrzegając nawet kardynalnej sprzeczności jaką wytwarza. Jedynie najinteligentniejsi z pośród polrealistów wyczuli tę drażliwą sprzeczność, graniczącą z kolektywnym zakłamaniem. Dla odparcia więc tego przykrego zarzutu, posypały się wykrzykniki w stylu: „Jak pan śmie porównywać komunizm z hitleryzmem!” — Że niby obowiązkiem Niemców było obalić hitleryzm, bo był ich „własny”, a obowiązkiem Polaków jest bronić komunizmu z chwilą gdy staje się ich „własny”?... Ale tu zaczyna się już działanie zwycięskie tej wielkiej prowokacji, której poświęcona jest cała niniejsza praca. Dlatego powstrzymamy się od dyskusji w tym pojedynczym wypadku.

*

Nikt nie może powiedzieć, że dymy Oświęcimia przeszechrowano na mgiełkę zapomnienia. Oddają one w tysiącnych relacjach tym strasznym, trupim swędem, jakim oddawały w rzeczywistości. Nikt nie zapomniał, i słusznie. To wszystko zrobiono. Zapomniano tylko o jednym, o najważniejszym: o człowieku. O tym, że obiektywne pojęcie zbrodni nie ogranicza się do popełnienia jej w stosunku do Polaków i Żydów, ale w stosunku do: każdego człowieka.

I tu należy zauważyć, że powojenna literatura obca znacznie nas wyprzedziła w obiektywnym naświetleniu jednego z największych kryzysów ludzkości, jakim była druga wojna światowa. W obecnej jej tendencji „szukania człowieka” jest bardziej, po prostu mówiąc: ciekawa. Bo wiadomo, że w literaturze nie polityka, nie naród, a najciekawszy jest zawsze człowiek.

Niektórzy postawę dzisiejszych Niemiec zbywają zaprzeczeniem faktów oczywistych, czy to przez ignorancję, czy złą

wolę, czy po prostu przyjmując za podstawę komunistyczny sposób wykładni. Jedni narzekają na brak ekspiacji ze strony Niemiec, inni przeciwnie, znając stopień tej ekspiacji, wyrażają nawet pogardę dla zbytku „kajania się”, wytykając brak godności. Słowem, tak, czy inaczej, byle wypadło — źle. Do rozpowszechnionych argumentów należy również wykrzyknik: „A, bo przegrali wojnę! To teraz są dobrzy”, ale gdyby... itd.” Zauważmy nawiasem, że myśmy tej wojny też nie wygrali... Ale co to ma zresztą do rzeczy? Idee ludzkie powstawały często korzystając z jakichś zewnętrznych okoliczności, i w danym wypadku treść ich jest ważna, a nie przyczyna która je zrodziła. Przyszłość, którą otwierają, a nie przeszłość zakopaną w cuchnącym, masowym grobie. Czy piękna książka może być dlatego uznana za bez wartości, że nie byłaby napisana gdyby dziesięć lat temu ten, a nie inny generał wygrał decydującą bitwę?

W odróżnieniu od przepisów socrealizmu, szczerść każdego pisarza mierzy się nie tylko tym, o czym pisze, ale i tym co przemilcza. Z drugiej strony każdemu winno być wolno pisać co chce i co mu najbardziej leży na sercu, co uważa za ważne. Niech piszą filosemici i antysemita, pro komuniści i antykomuniści, filoniemcy i antyniemcy. Nie to jest ujemną stroną pewnego zespołu ludzkiego, że ktoś jeden pisze w nim tak, a drugi inaczej. Ale to, gdy nikt nie odważy się napisać — inaczej; zgłosić swoje veto, swoje indywidualne, odmienne zdanie nawet wtedy, gdy przebywa w wolnym świecie i ani Gestapo, ani NKWD nie grozi mu za to Oświeczeniem czy Kołymą.

Niewątpliwie w dzisiejszych Niemczech zachował się pewien znikomy odsetek ludzi, którzy nie całą przeszłość hitlerowską potępiają, lub nawet są jej stronnikami. Te rzadkie wyjątki są skrzętnie notowane: „Spójrzcie no na tych, co oni wypisują!” Tymczasem powiedzieć by należało: chwała Bogu! Chwała Bogu oczywiście, dla samych Niemców przede wszystkim. Bo naród, który wykazuje zbyt daleko posuniętą jednolitość opinii, zbyt wielką dyscyplinę, monomyślność, w którym nie ma nikogo, kto by mówił inaczej niż mówią

wszyscy, nie budzi zaufania do swej szczerości. Tego rodzaju społeczeństwo wydaje się sztucznie podciągane do jednego mianownika. Jest ideałem ustroju totalnego, komunistycznego, a nie wolnego. Słusznie kiedyś napisał W. A. Zbyszewski w pięknym artykule, broniąc Władysława Studnickiego przed masowym potępieniem za zgłoszenie się na świadka obrony w procesie gen. von Mansteina, że społeczeństwo dojrzałego narodu winno być jak rozwarty wachlarz. Niewątpliwie tak. Dodajmy, że czym więcej stopni tego rozwarcia, tym więcej świadczy o dojrzałości, dynamice, bogactwie myśli i o kulturze. Podczas gdy zwinięty w mocnej garści robi wrażenie raczej krótkiej pałki.

Najwymowniejszym może świadectwem straszliwej niewoli ducha w ustroju komunistycznym jest fakt, że nikt z tych milionów ludzi nie stanie dziś w obronie Stalina, którzy przez trzydzieści lat zestawiali go z bóstwem na ziemi!

*

W doprowadzonej do infantylizmu jednostronności kompleksu niemieckiego, mniejsze znaczenie ma meritum sprawy, sprawy Niemiec. Natomiast jako „kompleks” stanowi charakterystyczny przykład deprecjacji kulturalnej. Jeżeli stosunek do jednego tylko państwa, czy jednego narodu hamuje wszelką żywotną elastyczność i stanowi kamień do potknięcia na drodze samodzielnego myślenia, to cóż dopiero mówić o możliwościach polskiego „wkładu”, czy „udziału” w postępie świata.

W roku 1869 angielski działacz filantropijny, czcigodny pastor Henry Landsell, przemierzył całą Syberię i odbronzowił cokolwiek ówczesne pojęcia o okropnościach carskich katorg. W książce wydanej następnie w Londynie, polemizuje on w sposób trochę naiwny m.in. z „niejakim Rosjaninem Teodorem Dostojewskim”, zarzucając mu, że w swoich relacjach („Za żywo pogrzebionnyje”) mocno przesadził, sztucznie zgęścił barwy i zaplątał się w nieścisłościach. Landsell nie wiedział jeszcze kim będzie dla świata Dostojewski. Traktował go wówczas za „niejakiego”, ale w rezultacie wystąpił wobec

opinii europejskiej z obroną ówczesnej Rosji przeciwko — pisarzowi rosyjskiemu... Przerzucając te stronicie dziś, trudno powstrzymać wyobraźnię o tym stopniu oburzenia i piętnowania z jakim spotkałby się pisarz polski ze strony rodzimego kolektywu, gdyby aż tak dalece wyłamał się z urzędowej interpretacji Polski, żeby zgoła obcy autor musiał ją bronić przed opinią europejską!

A przecież imię ówczesnej Rosji, jeżeli rozślawił w całym świecie, to — nie pismak rządowy i nie publicysta wiernopoddńczy — ale najbardziej ów właśnie, „niejaki” Teodor Dostojewski. Można by wtrącić: Tak, ale geniuszem swego talentu, który nie każdemu jest dany. Słusznie. Obawiać się jednak można, że gdyby polski pisarz zadarł w ten sposób z kompleksem polrealistycznym, to nawet przy największym geniuszu i talencie, groziłoby mu pozostanie tylko — „niejakim”, czyli za życia pogrzebanym.

Kiedyś Henryk Sienkiewicz wystąpił z dewizą: „Biada narodom, które wolność kochają bardziej niż ojczyznę.” Była to dewiza ładnie brzmiąca w XIX w., gdy wolności osobistej było pod dostakiem, a niewolę utożsamiało się tylko z niewolą narodu. Gdy ludzie nie mieli jeszcze pojęcia, jakie kształty przybrać może totalna niewola ducha ludzkiego w przyszłości. Dziś szczęśliwa jest ta ojczyzna, i szczęśliwi są w niej ludzie, którzy mogą ją (jeszcze) krytykować. Pamiętam jak w okresie najbardziej ponurym okupacji, wpadła mi do ręki broszura propagandy hitlerowskiej, zdaje się pt.: „Anglicy o sobie.” Była to selekcja wypowiedzi angielskich polityków i publicystów poddająca druzgoczącej krytyce własne postępowanie w różnych okolicznościach i różnych okresach, w stosunku do różnych narodów. Zamiarem propagandy hitlerowskiej było wzbudzić w czytelniku odrazę do Anglii. We mnie wzbudziła ta broszura szacunek i podziw dla Anglii!...

Można mieć wiele niechęci i nawet awersji do polityki Stanów Zjednoczonych. Ale czyż bardziej niż wszystkie jej urzędowe stacje radiowej propagandy, nie przemawiają za autentycznym wyrazem wolności takie np. wypowiedzi jak admirała amerykańskiego Burkę, który w kwietniu 1962

oświadcza publicznie: „Stajemy się po prostu niebezpieczni dla świata! Nikt, bowiem nie wie co zrobimy, gdyż sami nie wiemy co zrobimy...” — Albo brata prezydenta, Roberta Kennedy, ministra sprawiedliwości, który na jakiejś konferencji w Indonezji, zapytany: „Jak Pan ocenia rolę swego kraju w wojnie z Meksykiem?” — odpowiedział: Sądzę, że w tej wojnie sprawiedliwość nie była po naszej stronie.”

Dziś świat stoi w obliczu grożącej mu katastrofy. Największą z możliwych, nie byłaby wojna o wolność, lecz kapitulacja przed totalną niewolą. To też przenosząc słowa Henryka Sienkiewicza na czasy dzisiejsze, należy powiedzieć: „Biada narodom, które ojczyznę kochają bardziej niż wolność!”

Prawdziwe zagrożenie niemieckie

„Antyfaszizm” — Ktoś zażartował kiedyś, że Ameryka może łatwo rozbić Sowiety według gotowego wzoru: Trzeba wziąć wzór Hitlera i zrobić wszystko na odwrót... — Wydaje się czasem, iż rzeczywistość dzisiejszych Niemiec zachodnich da się łatwo odmalować według wzoru: wziąć to co pisze dziś o Niemczech soc- i polrealistyczna prasa i przedstawić na odwrót...

Niemcy są w tej chwili niewątpliwie najbardziej anty-hitlerowskim krajem na świecie. Nie tylko z formy, ale z ducha. O takich przejawach, jak antymurzyńskie wybryki w Stanach Zjednoczonych, rasistowskie w Unii Południowo-Afrykańskiej, o takich reakcjach jak AOS francuski etc. nie może być w ogóle mowy. Natomiast według urzędowych obliczeń, działa w Niemczech zachodnich około 13.000 wyszkolonych agentów komunistycznych z budżetem 120 milionów marek rocznie; istnieje ponad 30 krypto komunistycznych organizacji jawnych pod różnymi szyldami; rozpowszechnia się około 100.000 egzemplarzy tajnych broszur i pism komunistycznych. Poza tem infiltracja komunistyczna uprawiana jest za pośrednictwem ogromnej ilości rozmaitych i zmieniających się sposobów, których wyliczenie zajęłoby zbyt dużo miejsca. Może jednak groźniejszą od bezpośredniej jest infiltracja pośrednia, różnych stopni i mnogich odcieni.

Wszelki przerost doprowadza do objawów ujemnych. W Niemczech zachodnich istnieje przerost... antyhitleryzmu. Zdanie to może wzbudzić szydercze okrzyki i normalne inwektywy. Ale najbardziej zgodne nawet wycie nie zmieni faktu, że tzw. „antyfaszyzmy” wszystkich krajów, nie od dziś znajdują się pod kuratelą międzynarodowego komunizmu, który je

wyzyskuje dla własnych celów, wyraźnie jednostronnych. Chodzi więc o tę jednostronność, a nie o anty-hitleryzm sam w sobie. W istocie bowiem trudno jest zakreślić granice potępieniu tak ponurego totalizmu, jakim był hitleryzm. Ale, bez stosowania metody porównawczej, jedynie zdolnej wypośrodkować obiektywny pogląd na rzeczy, łatwo popaść w drugą skrajność. — Sfery artystyczno-literackie, młodzieżowe i intelektualne zachodnich Niemiec, nie są może bardziej filokomunistyczne niż francuskie, włoskie etc. w rachunku bezwzględny, natomiast stają się takie w rachunku względnym, jeżeli się zważy że Niemcy leżą przy Żelaznej Kurtynie, i że połowa ich znajduje się pod panowaniem komunistycznym. Stosunek filmów o tendencji antyhitlerowskiej, do tych o tendencji antykomunistycznej, ma się chyba jak 1.000: 1. Zdaje się, że nie zaistniała ani jedna sztuka teatralna o tendencji antykomunistycznej, podczas gdy „Pamiętnik Anny Frank” osiągnął najwyższą ilość przedstawień. W dziedzinie literatury pięknej, na sto dobrych książek na tle antyhitlerowskim, nie ma ani jednej dobrej powieści na tle życia w Niemczech wschodnich, choć powinno to wszystkich interesować. Wszelkiego rodzaju „młode awangardy”, rozmaite grupy literackie, to wszystko jest nie tylko antyhitlerowskie z zaciętości, ale w bardzo znacznym stopniu „postępowe” na modłę dzisiejszego koegzystencjonalizmu. Chwilami odnosi się wrażenie, że w niemieckich sferach literackich, antykomunizm jako temat, tzn. bez względu na wartość literacką utworu, jest uważany za kicz, jakby nim był np. w malarstwie temat zamku i jeziora z łabędziami, włączony do tematu oleodruków upiększających trzeciorzędne zajazdy. Wiele kluczowych stanowisk, zwłaszcza w niemieckim świecie wydawniczym, prasowym, radiowym, pochodzi z czasów koncesji rozdawanych przez władze okupacyjne po r. 1945, gdy wszelki przejaw antykomunizmu był zakazany.

Naturalnie stan taki nie może pozostać bez wpływu na kształtowanie opinii publicznej. Zwłaszcza, że niechęć do jakiegokolwiek aktywnej rozprawy z komunizmem, pod hasłem:

„Nie wieder Krieg!” dominuje w szerokich warstwach. Prowokacja komunistyczna zdaje sobie z tego stanu sprawę, i dostępny jej kanałami, nie tylko wyzyskuje go dla swoich celów w Niemczech, ale usiłuje je jeszcze zastraszyć mobilizacją światowej opinii publicznej i zmuszać do ciągłej defensywy. Podczas gdy na przykład masowe zabójstwa codzienne francuskiego OAS przeszły do rubryki cyfrowych danych, jeden wyrostek niemiecki, który namaluje na płocie znak swastyki, potrafi za sprawą prowokacji komunistycznej zaalarmować opinię pół globu.

Podejście polrealizmu jest w tym wypadu analogicznie niekonsekwentne. Tzn. dostrzega niebezpieczeństwo w jednej swastyce, za którą nikt nie stoi, a nie dostrzega niebezpieczeństwa w milionach sierpu-z-młotem, za którym stoi potęga międzynarodowego komunizmu, nb. ta sama, która aktualnie ujarzmia Polskę.

„Rapallo”. — Nie to należy jednak do szczególnego paradoksu, który stał się już raczej notorycznym. Faktem bardziej znamionym dla sytuacji jest to, że przesłanki polityczne polrealizmu pokrywają się w istocie najbardziej z przesłankami politycznymi, tzw. „rewizjonistów” niemieckich, jeżeli nie wszystkich, to w każdym razie z ich ugrupowaniem skrajnym. Nie tylko dlatego, że sprawę Odry-Nysy uważają za sprawę najważniejszą. Obydwie strony wychodzą z założenia, że PRL jest kontynuacją historii polskiej; że PRL jest kontynuacją państwowości polskiej; że Polska leży nadal między Niemcami i Rosją; obydwie strony usiłują wydedukować samodzielność inicjatywy Gomułki, i obydwie starają się podkreślić niestałą zgodność w odniesieniu do Odry-Nysy, pomiędzy Gomułką i Chruszczowem, a nawet rzekome tarcia na tym tle; obydwie strony uważają siebie wzajemnie za przeciwnika nr 1, i także skłonne są traktować „Rosję” za mniejsze zło. Gdyż nade wszystko zgodne są ze sobą w dostrzeganiu w Sowietach elementów rosyjskich interesów imperialnych, które w pewnej koniunkturze dałyby się, drogą kompromisów, wyzyskać dla własnych celów narodowych. — Wystarczy przytoczyć kilka

cytat z „Pressedienst der Heimatvertriebenen”, wydawanego przez Gottinger Arbeitskreis, aby tę ogólną tendencję ustalić:

Wytwarza się nastrój, że Sowietom tak bardzo znowu na Odrze i Nysie nie zależy... Między liniami da się wyczytać, że Chruszczow nie jest taki nieprzejeźdny jak Gomułka... Z Moskwą można by jeszcze gadać, ale przeszkodę stanowią Polacy, zarówno komuniści jak emigranci... Ciągłe notuje się jakieś „zaniepokojenie” w Warszawie, powstałe z powodu jakiegoś posunięcia Moskwy, jakby istniała własna, samodzielna koncepcja polityczna w Warszawie, niezależna od wytycznych komunistycznego centrum partyjnego. Charakterystyczne jest przytem. powoływanie się na polską prasę emigracyjną. Zresztą komentarze bywają równie naiwne:

„Gomułka oblega formalnie Chruszczowa, aby wysunął sprawę Odry-Nysy na forum międzynarodowym...” (hvp. 15.11.1961) — „Gomułka nie wymienił w przemówieniu ani razu nazwiska Chruszczow!... Natomiast mówił o działalności partyzantki podczas ostatniej wojny... Zaprawdę jasna wskazówka dla tych, którzy czytać i słuchać potrafią. Nie darmo słyszy się głosy, że Polska porwie za broń, gdyby Sowiety zdecydowały się na ustępstwa w sprawie Odry i Nysy...”

„W Warszawie śledzi się z podejrzliwością stanowisko Sowietów. Gdyby pewnego dnia Chiny stały się mocarstwem atomowym, Sowietom zależeć może na przywróceniu dobrych stosunków z Niemcami... Ostatecznie już w siedmioletniej wojnie anektowała raz Rosja Prusy Wschodnie, ale je jednak zwróciła z powrotem Niemcom...” — (hvp. 14.3.1962)

Tego jednego zestawienia wystarczy, aby przedstawić sobie jak dalece nie pasowałoby do tego obrazu stwierdzenie, że Związek Radziecki nie jest ani Rosją z siedmioletniej wojny, ani „Rosją” w ogóle, a czymś zupełnie odmiennym. Nie można by też było wyciągać wniosku końcowego:

„Cała polska polityka (w Warszawie) w odniesieniu do Niemiec jest skierowana na to, aby... nie dopuścić do rosyjsko-

niemieckich rokowań pod znakiem zasadniczego równouprawnienia..."

A więc widzimy tu odwrócenie rzeczywistości: Nie sowiecka prowokacja uniemożliwia porozumienie polsko-niemieckie, lecz na odwrót: polska prowokacja uniemożliwia porozumienie niemiecko-sowieckie... Widzimy identyczne z polrealizmem zasugerowanie tzw. „realną” polityką, budującą na przeoczeniu rzeczywistości, jakoby nie istniał międzynarodowy komunizm, który dąży nie tylko do utrzymania Odry i Nysy, nie tylko do opanowania Berlina, nie tylko całych Niemiec, ale do opanowania całego świata. — W wyniku tego umyślnego przeoczenia, krok już tylko do, zakamuflowanych narazić, dość jednak przejrzystych sympatii dla odnowienia polityki „Rapallo” z Moskwą:

„Poważne zaniepokojenie wzbudziły wśród Polaków kontakty Górnoślązaka dr Krolla z Chruszczowem...” (hvp. 6.12.1961) — „Gomułka usiłował przestrzec Moskwę przed zapowiadzanym kursem.Rapallo'...” (hvp. 31. 1. 62) — „Rapallo przyniosło Sowietom duże korzyści... Wytworzyła się też współpraca w dziedzinie militarnej... gdyż obawiano się dalszych ze strony polskiej aneksji ziem niemieckich... i Sowiety obawiały się nowych polskich awantur (Aben-teuer)... To była, więc jasna defensywno-pokojowa polityka, która rząd niemiecki sprowadziła na drogę.Rapallo'... Jest prawdą historyczną, że.Rapallo' tylko dlatego zostało zawarte, gdyż ZSRR i Niemcy jednako obawiali się Polski...” (hvp. 31.1.1962)

Są to dowolne cytaty, pochodzące z jednego tylko źródła. Mówi się wszakże o tym, że i w sferach obecnego partnera koalicji rządowej, FDP, istnieją poważne tendencje do odnowienia pro rapalloowskiej polityki z „Rosją”, jako wyrazu dążeń „realnej” polityki wschodniej. W ten sposób możemy postawić niejaki znak równania pomiędzy polrealizmem i „niem-realizmem”, nie uwzględniającym ani historycznych, ani bieżących doświadczeń.

Znamienny jest też powszechnie przyjęty w politycznej nomenklaturze niemieckiej termin: „Wiedervereinigung” —

ponowne-zjednoczenie, w odniesieniu do głównego postulatu „zjednoczenia Niemiec”. Słowo „zjednoczenie” jest w danym wypadku wyraźnie bałamutne. Zjednoczyć można Europę, zjednoczyć też można dwie rozdzielone połacie tego samego kraju. Ale nie można „jednoczyć” rzeczy zabranej, zagrabionej, okupowanej. Można ją tylko: wyzwolić, albo nie wyzwolić; ale nie „jednoczyć”. Niewątpliwie termin jest narzucony przez mocarstwa zachodnie, aby nie brzmiał zbyt wyzywająco względem Sowietów. Tym niemniej przyjęty został powszechnie w Niemczech co wskazuje, i co zresztą nie jest tajemnicą, na chęć dogadania się z Sowietami na drodze polubownej. Jest to chęć oficjalna, i na pewno zbożna. Nie zmieni jednak ani na jotę faktu, że Sowiety nie oddadzą dobrowolnie ani NRD, ani Odry i Nysy, ani żadnej innej zajętej przez nich ziemi, ani Niemcom, ani wolnej Polsce. I nie dlatego, że są one „polskie”, czy „niemieckie”, tylko dlatego, że są komunistyczne i stanowią ważną bramę wypadową dla opanowania Europy zachodniej.

Błądną jest też ocena polrealistów, którzy w pewnych lewicowych kołach niemieckich dostrzegają rzekomo zrozumienie „dla polskiego punktu widzenia”. W istocie jest ono rezultatem narastającej atmosfery anty-anty komunistycznej i szukania dróg koegzystencji „ze wschodem”, poprzez „Rapallo” z Polską Ludową, Polską taką jaką jest, tzn. Polską komunistyczną.

Dziś, istotne „niebezpieczeństwo niemieckie” może wynikać wyłącznie z tych samych przesłanek, co ze strony każdego innego narodu, uprawiającego politykę z zamkniętymi na rzeczywistość oczami. Politykę, którą znamionowało kiedyś: „Jedes Mittel ist recht”... jeżeli chodzi o partykularne interesy własnego narodu. Dziś tego rodzaju polityka należy już do złudzeń. Tego nauczyła nas rzeczywistość i doświadczenia od czasów przewrotu bolszewickiego w Rosji. Odtąd nie każda „realna” polityka stała się realną. Świat się od tego czasu skomplikował znacznie i — upowszechnił. Kiedyś powiedział Hegel chyba słusznie: „Partykularyzm jest zazwyczaj zbyt mały, aby go przeciwstawiać powszechności.”

Istnieje wiele przeszkód na drodze do wspólnego działania dla wspólnego wyzwolenia spod panowania komunistycznego. Między innymi istnieje spór polsko-litewski, litewsko-białoruski, białoruski-polski, wszystkie o Wilno; spór białorusko-polski o Podlasie; spór ukraińsko-białoruski o Polesie; polsko-ukraiński o Lwów, Galicję, Wołyń; ukraińsko-tatarski o Krym; ukraińsko-kozacki o granicę na Dońcu; wiele sporów kaukaskich; istnieją spory o Besarabię, o Ruś Karpacką, o Siedmiogród, o Sudety; spór z narodową Rosją o jej przyszłe „nierozczłonkowanie”. Może jednak największą przeszkodę dla wspólnego działania przedstawia dziś spór polsko-niemiecki o granicę na Odrze i Nysie.

Jest to spór, podobnie jak wszystkie inne, w gruncie bezprzedmiotowy, gdyż prowadzony o rzecz, która nie należy ani do Niemców ani do Polaków, tylko do kogoś trzeciego, do komunistów. Bezprzedmiotowy dlatego jeszcze, że ani Niemcy, ani Polacy w wolnym świecie ten spór wiodący, nie zamierzają aktualnie powracać do tych ziem pod panowanie komunistyczne. Jest to, więc spór o rzecz leżącą w mglistej przyszłości, co do której nikt nie wie jak się ukształtuje, chyba jedno tylko na pewno, że komuniści nie oddadzą tych ziem dobrowolnie. Nie istnieje zaś możliwość odebrania im siłą bez pogodzenia stron, spierających się o „skórę na niedźwiedziu”. Bez współdziałania Niemiec, wyzwolenie wschodniej Europy wydaje się trudne do zrealizowania. Zrozumiałe jest tedy, dlaczego prowokacja komunistyczna czyni wszystko co w jej mocy, aby do porozumienia polsko-niemieckiego nie dopuścić. Istotnie udało się wyekscytować nastroje antyniemieckie do stanu dla komunistów pożądanego.

Jeden ze znakomitszych pisarzy polskich, Juliusz Sakowski, pisał na ten temat:

„Podsycanie nastrojów antyniemieckich w kraju służy tam określonej celowi politycznemu. Nie trudno zgadnąć jakimu. Jeśli Polsce wciąż grozi niebezpieczeństwo nie-

mieckie, trzeba szukać przeciw niemu oparcia w Rosji. Łatwiej wtedy pogodzić się z sowiecką niewolą.

O ile więc w kraju kampania antyniemiecka jest zrozumiała, bo narzucił ją z góry upatrzony cel, uprawianie jej na emigracji jest tylko sukursem dla Gomułki... można by bowiem odnieść wrażenie, że Polska nie jest w niewoli sowieckiej, ale że nadal toczy swą wojnę z Niemcami, zaczęłą w 1939 roku...

Trzeba się zdecydować o co toczy się walka i przeciw komu. Jeśli o wolność narodu dziś, a nie o jego zagrożenie w nie dającej się przewidzieć przyszłości — to przeciw Rosji. Nie przeciw Niemcom...

Jeśli przyszłość Polski jest w Europie (z czasem zjednoczonej), to w Europie z Niemcami..." („Dziennik Polski", Londyn, 23.11.1960.)

Jest to sformułowanie jasne i logiczne. I niewątpliwie Sakowski miałby stuprocentową rację, że stanowiłoby jedyną prostą alternatywę, wskazującą słuszny wybór. Gdyby... miał rację, że chodzi tu tylko o wybór między Niemcami i Rosją. Gdyby w istocie nie chodziło o wybór pomiędzy Niemcami i... międzynarodowym komunizmem. Gdyż w tym wypadku walka toczy się już nie o wolność narodu, lecz o wolność — człowieka. I kwestii wyboru, dla tych wszystkich, którzy chcą pozostać wolnymi ludźmi, egzystować już nie może.

„Realizmy” kontra rzeczywistość

„Ros-realizm”. — Nieprawdą jest, że komunizm zagraża „zachodniej cywilizacji”, „zachodniej kulturze”. Komunizm zagraża cywilizacji i kulturze. Każdej. Rzymskiej, bizantyjskiej, chińskiej, indyjskiej, arabskiej. Będąc wrogiem nie narodów, lecz człowieka tout court, jest wrogiem i jego Boga, i całego dorobku ludzkiego. Niestety stosunek człowieka do komunizmu, i stosunek polityka do bloku sowieckiego, to często dwie różne rzeczy.

Obalenie komunizmu w ogóle, i wyzwolenie ludów Europy wschodniej w szczególności, o ile bez udziału Niemiec — jak to powiedzieliśmy wyżej — wydaje się trudne, o tyle bez udziału Rosjan wydaje się niemożliwe. Dlatego Rosja nie może być naszym przeciwnikiem w rozgrywce z międzynarodowym komunizmem, a winna być pierwszym naszym sojusznikiem. — Tak jak rzeczy dziś stoją, antykomunizm rosyjski jest antykomunizmem najbardziej „czystym”, tzn. bez przymieszki zainteresowań pobocznych, a całkowicie skoncentrowany na obaleniu systemu komunistycznego. Tam, gdzie w tej czystej formie występuje, z samego założenia musi być bezkompromisowy. Antykomunizm rosyjski i koegzystencja, pod jakąkolwiek postacią, wykluczają się wzajemnie. Dlatego zasadniczo logiczne jest stanowisko emigracji rosyjskiej, głoszącej dewizę tzw. „niepredreszenczystwa”, czyli „nie przesądzania”, nie decydowania z góry o przyszłych, narodowo-państwowych i terytorialnych aspiracjach narodów ujarzmionych, wobec hierarchicznie ważniejszego zadania: wyzwolenia ich spod tego jarzma. W idealistycznym ujęciu, stanowisko to pokrywałoby się z priorytetem pojęcia:

„człowiek”, przed pojęciem: „naród”, gdybyśmy głoszone ideały traktować mogli dosłownie. W polityce jednak, jak wiadomo, nie są one traktowane dosłownie.

Nacjonałści nie rosyjskich, dziś ujarzmionych narodów, stają na stanowisku odwrotnym: „predreszenczestwa”, przesądzenia z góry, tzn. uznania już teraz ich aspiracji państwowych i tych granic terytorialnych, do jakich roszczą pretensje. Nacjonałści są niewątpliwie przeciwnikami internacjonalizmu komunistycznego. Z drugiej jednak strony, będąc z zasady i natury swej ideologii, przeciwnikami każdego internacjonalizmu, międzynarodowości, stają się również przeciwnikami międzynarodowego rozwiązania problemu komunistycznego. Stąd, — jak już wielokrotnie wskazywaliśmy — skłonni są negować międzynarodowy charakter zagrożenia komunistycznego, podstawiając pod to: zagrożenie ze strony narodowego imperializmu rosyjskiego. Program ich wyraźnie stawia na pierwszym miejscu „naród”, a dopiero na drugim „człowieka”. Przytem zajęta przez nich pozycja jest do tego stopnia stanowcza, że niedwuznacznie dają do zrozumienia, iż w wypadku nie spełnienia z góry ich pretensji i aspiracji narodowych, gotowe są powstrzymać się od wspólnego wysiłku na rzecz obalenia komunizmu, i od ewentualnego udziału po stronie Zachodu w akcji wyzwalań, a nawet... przejść na stronę komunizmu. Stąd dałby się wyciągnąć wniosek, że Białorusini wolą pozostać w niewoli komunistycznej, jeżeli im się z góry nie zapewni Smoleńska, Litwini jeżeli nie dostaną Wilna, Ukraińcy jeżeli im się nie zapewni Lwowa, Polacy jeżeli się nie uzna Odry i Nysy, Kozacy jeżeli się nie uzna wolnej „Kozakii” etc. etc. — To stanowisko koliduje w sposób oczywisty z interesami zniewolonych ludzi. Mało bowiem znajdzie się na świecie takich osób, które uzależniałyby np. wypuszczenie z więzienia od zagwarantowania im na wolności tych lub innych warunków bytu, takiej lub innej posady itp., a wołałyby pozostać nadal w celi więziennej, jeżeli takiej gwarancji z góry nie otrzymają.

Dlatego zasada „nieprzesądzania” głoszona przez Rosjan, wydaje się bardziej słuszną niż zasada „przesądzania”. Prze-

ciwstawienie wszelako tych dwóch zasad zaciera się znacznie, po bliższym rozpoznaniu. — Tak samo jak nielogiczne byłoby twierdzenie, że komuniści całego świata, wyrzekając się własnych interesów narodowych na rzecz międzynarodowych, stają się ideowymi ofiarami rosyjskiego imperializmu, gdyż rosyjscy komuniści stanowią ten jedyny wyjątek, który ma na celu nie interesy międzynarodowe, a wyłącznie interesy narodowe rosyjskie, — tak samo z drugiej strony, błędem byłoby sądzić, że Rosjanie mogą stanowić jedyny wyjątek pozbawiony dążeń nacjonalistycznych. Wręcz przeciwnie. Nacjonalizm rosyjski przejawia się równie zdecydowanie. A naczelnym jego hasłem jest tzw. „nierasczlenienije Rossii”, tzn. nierozczłonkowywanie Rosji! Przytem w charakterze tego „warunku z góry”, dostrzegamy te same elementy „pred-reszczestwa”, czyli przesądzania zawczasu o uznaniu ich aspiracji terytorialno-granicznych, gdyż do tego się w końcu nierozczłonkowywanie całości b. Rosji sprowadza. Identyczność tego stanowiska, potęguje jeszcze analogiczne „dawanie do zrozumienia” ze strony pewnych grup rosyjskich, że w wypadku rozcłonkowania Rosji, nie staną po stronie sił antykomunistycznych..., a kto wie, czy nie po stronie sowieckiej. Istnieją też liczne deklaracje, które głoszą o „solidarności wszystkich Rosjan w tym względzie, zarówno w kraju jak na emigracji”. I tu dochodzimy do analogii z deklaracjami polrealistów („wszyscy Polacy w kraju i na emigracji”... etc.), czyli możemy mówić o typie „ros-realizmu”.

Podobnie jak dla polrealistów głównym przeciwnikiem nie jest międzynarodowy komunizm, lecz Niemcy; jak dla niemrealistów głównym przeciwnikiem nie jest komunizm, lecz Polacy; jak dla wszystkich nacjonal-realistów głównym przeciwnikiem jest nie komunizm, lecz Rosja, względnie Polska; tak samo dla ros-realistów głównym przeciwnikiem staje się nie komunizm, lecz „zamaczowcy na całość b. imperium rosyjskiego”. Widzimy, że we wszystkich tych przypadkach, komunizm nie jest uznany za wroga nr 1; we wszystkich tych przypadkach własne, egoistyczne interesy nacjonalistyczne górują nad wspólnym interesem zarówno wyzwolenia, jak obrony

przed wspólnym zagrożeniem. Otrzymujemy obraz raczej pesymistyczny. Stwarza on jednocześnie sytuację, dającą szerokie pole dla działalności prowokacji komunistycznej, która ten stan rzeczy oczywiście usiłuje wyzyskać i podtrzymać. — Nie łudźmy się oryginalnością własnej postawy. Podobnie jak niektórzy polrealiści jeżdżą do Warszawy i są tam mile widziani, tak też niektórzy rosrealiści jeżdżą do Moskwy i znajdują tam zrozumienie dla „wspólnej sprawy”.

*

„Realizm” — manny z nieba. — Należy natomiast do specjalnej pragmatyki fakt, że wszystkie te zniewolone „realizmy” łączą się wspólnie dopiero w wyrzekaniu na politykę mocarstw zachodnich, które w stosunku do bloku komunistycznego uprawiają egoizm własnych interesów, uważając go ze swej strony za „realny”... — Czy może nas w tym ogólnym obrazie bądź rozgrzeszać, bądź pocieszać, że krytyka ta jest merytorycznie słuszna?

Polska, jak widzieliśmy, w pierwszej wojnie, dla własnych względów narodowych, przyczyniła się poważnie do uratowania bolszewizmu; w drugiej, dla względów narodowych, stanęła otwarcie po jego stronie; po wojnie, dla tych samych względów, uznała za celowe wesprzeć „własną drogę do socjalizmu”. Nie chodzi w tym wypadku o ocenę słuszności lub niesłuszności tych względów. Załóżmy nawet, że we wszystkich wypadkach były to względy nader ważne. Chodzi w tym miejscu o stwierdzenie nagiego faktu.

Przechodząc natomiast do oceny obecnego stadium, wypada stwierdzić, że PRL — „Polska Rzeczypospolita Ludowa”, nie jest ani „polska”, ani „Rzeczypospolita”, ani „ludowa”. Jest członem sowieckiego bloku i filią międzynarodowego komunizmu. Ci więc z polrealistów, którzy tego nie dostrzegają, bądź dostrzegać nie chcą, raczej pozbawiają się podstaw do krytyki mocarstw zachodnich, które również nie dostrzegają, bądź nie chcą, że może im w przyszłości grozić podobny los, jeżeli nadal

uprawiać będą anachroniczną politykę, opartą wyłącznie na przestrzeganiu „rozsądnie” pojętych własnych interesów.

Rozważania nad polityką globalną przekroczyłyby ramy niniejszej pracy. W tym miejscu chcielibyśmy zwrócić jedynie uwagę na pewien aspekt tego notorycznego wyrzekania na Zachód, który tłumaczy się nie tylko łatwizną zrzucania winy na innych. Częściej jest to wcale realny pretekst do uprawiania „realnej polityki”, czyli do nie przeciwstawiania się samym niewoli komunistycznej, a raczej przejścia na pozycje współpracy „organicznej” i „pozytywizmu”, — dlatego że:

inni nie chcą nas wyzwalać. Przemysła jąć rzecz do końca, żaden kraj, w ten sposób, który zostanie z kolei zajęty przez komunizm, nie powinien stawiać mu oporu, lecz w imię realnej polityki iść z nim na kompromis; czekając aż inni zechcą, lub raczej nie zechcą, go wyzwalać. Jakby historia знаła takie przykłady, że w polityce obowiązuje miłość do bliźniego większa, niżli do siebie samego... Przynajmniej, że trudno sobie wyobrazić, ażeby prowokacja światowego komunizmu mogła wykoncypować program bardziej dla siebie dogodny.

Jest to temat, który zazwyczaj wywołuje furję ze strony „realistów” i dlatego nie dopuszczamy do rozważań publicznych, zwłaszcza w emigracyjnej prasie polskiej. Samo jednak zakazanie a priori pewnego tematu, jest pozbawianiem ludzi prawa do stawiania pytań, a pytania te narzucają się same:

Dlaczego Ameryka np. ma nas chcieć wyzwalać bardziej, niż my sami tego pragniemy? Dlaczego Amerykanie np. mają ginąć za nas, gdy sami nie pragniemy ginąć za siebie? — Pytania te dlatego traktuje się notorycznie za „szaleństwo”, a nawet „zbrodnię”, ponieważ wobec dzisiejszych potęg świata, rzekomo żaden spontaniczny opór ani się nie ostoja, ani się nie liczy. Wszelako rzeczywistość mówi nam co innego. Że się właśnie nie uznaje i nie liczy z tymi, którzy siedzą z założonymi rękami. Gdyby garstka Żydów nie rozpoczęła w roku 1946 walki z imperium brytyjskim, nie mieliby dziś Izraela; gdyby Cyprjoci nie zrobili tego samego, nie mieliby niezależnego Cypru; gdyby Arabowie algierscy nie podjęli 7-letniej wojny z imperium francuskim, nie doczekaliby w roku 1962

niepodległej Algierii. Można by te przykłady rozciągnąć na Maroko, Egipt, Syrię, Indonezję i wiele innych krajów. Jeden genialny murzyn, Czombe z Katangi, rzucił rękawicę całemu światu, i choć do dziś nie jest pewne, czy to nie on zestrzelił dużego szkodnika ze stanowiska sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych, nic mu nie zrobiono, mimo masakry urządzanych przez wojska ONZ. — Mimo, iż żaden z tych spontanicznych ruchów i odruchów, nie rozporządzał ani bombą atomową, ani nawet czołgami. Nie będziemy wchodzić w ocenę merytoryczną tych spraw, ich słuszności lub niesłuszności, w poszczególnych wypadkach. Ograniczymy się do stwierdzenia (aktu, że mimo powszechnego potępienia wojny uznanie praw i respekt w świecie zdobywają przede wszystkim ci, którzy działają. Legenda, że istnieje możliwość przekupienia Sowietów grzeczną postawą jest tylko legendą, tak samo jak możliwość ich przekonania. Finlandia — w okresie drugiej wojny światowej, prowadziła aż dwie wojny przeciwko Sowietom, w tym jedną u boku Hitlera, a z pośród wszystkich krajów od Oceanu Lodowatego po Morze Czarne, wyszła jeszcze najlepiej.

Jak wiadomo, Związek Radziecki wszelkie działania bardzo pochwała \ popiera, gdy skierowane są przeciwko mocarstwom zachodnim, a nazywa „zbrodnią podżegania do wojny”, gdy skierowane są przeciwko niemu. Mocarstwa zachodnie takich *działań przeciwko* Związkowi Radzieckiemu ani nie pochwalają, ani nie popierają, jeżeli chodzi o regułę. Natomiast mimo całej awersji do „Kontrewolucji”, liczą się ze stanem faktycznym, gdyż przyzwyczajone liczyć ludzi jak dolary, mają respekt przed wszelką mnogością, gdziekolwiek występuje.

Stosunek naszych „realistów” do mocarstw zachodnich, a Ameryki w szczególności, jest co nieco odwrócony logicznie. Zamiast traktować Amerykę za naszego sojusznika, — dobrego lub złego, mądrego lub głupiego, — traktujemy się, w najlepszym razie, sami za sojusznika Ameryki (i to pod licznymi warunkami), gdy chodzi o nasze własne wyzwolenie. Czyli nie my powinniśmy walczyć i Ameryka nam w tym pomagać, lecz odwrotnie: Ameryka powinna walczyć, a my jej (ewentualnie)

w tym pomagać. Tak jakby Ameryka, a nie my, znajdowała się aktualnie pod jarzmem komunistycznym.

Nie ulega wątpliwości, że w interesie mocarstw zachodnich samych, leżałoby poparcie dążeń wyzwoleniczych ludów wschodniej Europy, i zostania ich wiernym w tym sojusznikiem. Czy jednak w tym wypadku, jeżeli sojusznik nas opuści albo zdradzi, znaczyć powinno, że mamy się nie tylko rzec naszych dążeń i walki, ale zgoła przejść na stronę wroga, aby tego złego sojusznika w ten sposób ukarać? Czyli postąpić jak malec, który postanawia „na złość mamie odmrozić sobie palec”, i nazywać to jeszcze „realną polityką”?

Skoro już weszliśmy na tory spraw drażliwych, o których się zazwyczaj nie mówi, pozwólmy sobie zabrnąć trochę dalej w tej zakazanej materii, i poruszyć sprawę powstania węgierskiego. Wiemy, że ludzie powstali tam w imię wolności i nie otrzymali od wolnego świata żadnej pomocy. Była to ze strony tego świata głupota granicząca z obrzydliwością. Zachód tłumaczył ją oficjalnie, chęcią uniknięcia trzeciej wojny światowej. Pozostawmy ocenę tej „realistycznej” postawy i tego moralnego faryzeizmu, na boku. Chodzi o pewien szczegół skrzętnie przemilczany. Zachód być może nie zająłby tej postawy, albo nawet widział się zmuszony do zajęcia innej, gdyby powstanie węgierskie było zupełne... Nie leżało to w interesie Zachodu, ale leżało w interesie Węgier. Tymczasem wiemy ze źródeł trzymanyh w sekrecie, że — armia węgierska nie ruszyła. Istotnie, widzieliśmy fotografie, widzieliśmy filmy dokumentalne, ale nie widzieliśmy na nich armii węgierskiej. Poszczególnych żołnierzy, oficerów, poszczególne oddziały może... Armia węgierska za broń nie chwyciła. Może czekała, aż jej pomoże Zachód; aż się ruszy. A Zachód — skorzystał z tego czekania... aby się nie ruszyć. Czy mógłby jednak skorzystać, gdyby powstanie przerzuciło się na Polskę, na Czechosłowację, na Niemcy wschodnie, i dalej? Zastanowienia tego rodzaju zaprowadzą nas za daleko.

Rzecz nawet bardzo niepopularne wypada czasem mówić, gdy się pragnie ustalić stan faktyczny. Próba przyczynku do ustalenia rzeczywistości, jest jednym z zadań tej książki. Być

może popełniamy przytem wiele błędów rzeczowych, nie sądzę
wszakże by błąd był w szczerzej woli jej ustalenia.

Patos kontra zaraza

Wobec zazębienia interesów międzynarodowych, nie ma już dziś miejsca na suwerenności państwowe starego typu. Jeżeli jakiś naród chce pozostać suwerennym, winien rozumieć, że taka możliwość istnieje jedynie przez integralne włączenie się do wolnego świata. Dlatego dewizą winno być nie: „własna droga do socjalizmu”, a wspólna droga do wolności. Nie własna droga „dla dobra narodu”, a wspólna droga dla dobra ludzkości.

Wobec pozycji jakie zajął, i wobec terytoriów, które okupował „światowy system socjalistyczny” dziś — każdy humanista winien się stać rewizjonistą.

Czołowy publicysta polrealizmu, Aleksander Bregman, jeden z nielicznych w tym obozie pisarz dużej miary, analizując stanowisko publicystyki polskiej, określił je jako powinność, acz z różnych punktów, ale w interesie Polski. Wydaje się wszelako, że polityka, która służyła ongiś wyłącznie interesom państwa i narodu, stała się dziś anachronizmem. Dzisiejsza polityka służyć winna interesom człowieczeństwa, aktualnie, aby go uchronić przed globalną katastrofą. Musimy zdać sobie sprawę, że zachodzi wielki proces przejścia od dotychczasowego „adwokatowania” interesom narodowym, do „adwokatowania” interesom ludzkim.

Musimy odrzucić zasadę prymatu interesu narodowego nad interesem idei wolności. Żadnymi względami partykularyzmu narodowego nie można dziś usprawiedliwiać działanie na szkodę ludzkości. Nie ma takich racji ani geograficznych, ani terytorialnych, ani granicznych, ani w ogóle boskich czy ludzkich, którymi można by wymusić kapitulację z wolności. Nie bójmy się tego wyświechtanego patosu. Bo czy patos, czy nie patos, wolność jest człowiekowi potrzebna jak powietrze do

oddychania, jak woda do picia. Przedmiotem naszych zainteresowań, przedmiotem naszej polityki, i przedmiotem naszej walki na śmierć i życie, może być — wobec aktualnego zagrożenia komunistycznego — tylko wolność, w tych granicach, w jakich ludzkość dostąpić jej może na ziemi. O to idzie stawka.

Gdyby istniała możliwość udowodnienia komunistom czegokolwiek, wskazania czarno na białym, że działają w złej sprawie, można by trwać w postawie rokowań i koegzystencji. Ale dyskusja z komunistami jest bezprzedmiotowa, gdyż czarne nazywają białym, a białe czarnym, co wyklucza wszelką konkluzję. Rokowania prowadzone przez komunistów są tylko po to, aby doczekać momentu, gdy postanowienia tych rokowań nie zostaną dotrzymane. Koegzystencja, w myśl też Lenina, oznacza tylko „pieriedyszkę”. Nie pozostaje więc nic innego, jak przejść z pozycji rokowań do pozycji siły. Jeżeli zgoda na to innych narodów wydaje się utopią, to wszystkie inne plany wydadzą się tym bardziej utopijne.

*

Błędy poczynione w polityce mocarstw zachodnich względem międzynarodowego komunizmu, były ogromne. Największym wydaje się jednak błąd współczesny, w stawce na narodowy-komunizm, w którym dostrzega się rzekomo spontaniczną tendencję tzw. państw satelickich do usamodzielnienia od centrali międzynarodowego komunizmu. Tego rodzaju stawka na rozsadzenie monolitu komunistycznego, miałaby tylko wówczas sens, gdyby doprowadzić mogła do ostatecznego wyłamania się tych państw ze wspólnoty komunistycznej. Błąd taktyczny widoczny jest w tym wypadku w przedstawianiu sobie „separatyizmu narodowo-komunistycznego” w postaci analogicznej do herezji religijnej. Ale różnica, która zachodzi polega na tym, że każda religia, wiara, a więc i herezja religijna, znajduje w końcu oparcie we współwiernych masach, bez czego utrzymać się nie może. W wypadku natomiast odszczepieństw komunistycznych, mamy do czynienia tylko z rozgrywkami

małej kliki gór partyjnych, które nigdzie w masach nie posiadają poparcia. Wszystkie rządy komunistyczne, gdziekolwiek są, sprawowane są naprawdę wbrew woli ludności. Są jej narzucone siłą, podstępem i fałszem. Z chwilą podkopania tej siły, ustrój komunistyczny musi się rozpaść. To doskonale rozumieją przywódcy poszczególnych partii komunistycznych — a w każdym razie lepiej niż to się na zachodzie zdaje —, nawet wtedy, gdy wiodą ze sobą spory i wewnętrzno-partyjne rozgrywki. Zostaliby oni zmieceni wszędzie tam, gdziekolwiek przewagę odniosłaby autentyczna wola ludności. Nie można, więc kogoś „jednać”, obiecując mu w nagrodę — jego własną zgubę.

Skąd jednak powstał dezyderat „ewolucji komunizmu”? Powiedzmy to sobie otwarcie: jest produktem sytuacji, o której się nie mówi, i przez to udaje, że się o niej nie wie. Tym niemniej każdy rozsądny człowiek wie, że się komunizmu inaczej nie obali jak tylko przez wojnę. Ponieważ wojny nikt nie chce, a komunizmu również nikt nie chce, więc należałoby przyznać, że dotychczasowa polityka zaprowadziła świat w ślepą uliczkę. Z kolei jednak żaden szanujący się polityk nie zgodzi się przyznać, że prowadzi w ślepą uliczkę. Dlatego należało wymyślić coś, surogat czegoś, co mogłoby wskazywać wyjście ze ślepej uliczki, i wierzyć w to wyjście. Wydobyto więc z lamusa starą koncepcję „ewolucji komunizmu”, i uczepiono się jej dlatego, że byłaby jedyną alternatywą poza wojną. To wszakże, że jest jedyna, nie dowodzi że istnieje naprawdę. W praktyce nie tylko nie istnieje, ale jak każde samookłamywanie, osłabia odporność zagrożonego, a wzmacnia zagrażającego.

W tej chwili świat wolny jest jeszcze ciągle silniejszy, i to napawać by nas mogło, nie złudnym jak potoczne dezinformacje, ale autentycznym optymizmem. Ciągłe jeszcze dużą szansę dają nam sami komuniści, którzy często wykazują więcej głupoty niż ich kontrpartnerzy, i niż to by się po nich spodziewać można było. Ta głupota zdjętego buta, głupota afery Pasternaka, głupota zrażania do siebie tych, którzy nie chcą być zrażeni, — chroni nas w dużym stopniu, ale czy na długo? Dziś

już zwycięstwo prowokacji komunistycznej na bardzo wielu odcinkach frontu ideowego, politycznego i emocjonalnego, jest bezsporne. I słuszną może ogarniać obawa, że zwycięstwo to będzie pełne z chwilą, gdy komuniści okażą się bardziej mądrzy, niż dziś są sprytni. Ażeby wypadek taki uprzedzić, należy przede wszystkim zerwać z sakralną metodą dopatrywania się błędów cudzych, lecz raczej zrozumienia własnych.

*

Świat wolny różni się jeszcze i tym od świata niewolnego, że nie może być w nim za dużo dyskusji, wymiany myśli w rzeczach ważnych. Wartość wolnej myśli mierzy się nie tylko jej wartością obiektywną, ale i jej subiektywną szczerością.

Niektórzy kwestionują prawidłowość tezy, że komunizm stanowi zagrożenie wolnego świata twierdząc, iż jest to slogan, albo pretekst służący za parawan celów ubocznych. Nie podobna negować, że w wielu wypadkach poszczególnych odpowiada to prawdzie. Ale te poszczególne praktyki nie mogą przesłonić istoty rzeczy, że — w tak ubogiej w ściśle definicje mowie ludzkiej — światowy system socjalistyczny, w jego działaniach i oddziaływaniu, dałby się najbliżej określić rodzajem — psychicznej zarazy. Definicja ta nie jest nowa. Już od roku 1918 była w powszechnym użyciu w Rosji, gdzie potocznie mówiono: „zaraza bolszewicka”. Nie była to jednak tylko połajanka. Winston Churchill pisał jeszcze 10 lat potem:

„... Niemcy przetransportowały Lenina w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do Rosji, jak bakcyl zarazy.” — (“The World Crisis. The Aftermath”, str. 72, Londyn, 1929.)

Istnieje rozpowszechniony pogląd, przedstawiający antykomunizm w postaci obsesji osób nie zdolnych do rozumowań kategoriami „rozsądnymi” i „realnymi”; nieomal tkniętych nieuleczalną chorobą, i dlatego nie zasługujących nawet na leczenie, lecz tylko wzruszenie ramion. Ten pogląd na rzekomą „obsesję” antykomunistyczną, ukuli „realiści” polityczni i konformiści intelektualni nie tylko na własny użytek, ale i na użytek znacznej części drobno-mieszczan szerokiego świata;

czyli ludzi, których interesy codzienne i instynkt przystosowania, pozbawiają fantazji. — Tym, którzy lekceważą sobie, wzruszając ramionami, ostrzeżenia antykomunistów, zalecić by można, aby się zdobyli na zastanowienie, chociażby nad takim pojedynczym przykładem jak Berlin, i zapytali siebie:

Czy lat temu 50, znalazłby się choć jeden człowiek przy zdrowych zmysłach w Europie, któryby nie poczytał za urojenie chorego umysłu przepowiednię, że nie w jakimś geograficznym Szanghaju, czy na wyspie okropności, lecz w centrum Europy, środkiem jednego z największych miast świata, przebiegać będzie granica-nad-granicami, mur dzielący sens ludzkich słów, najeżony pistoletami automatycznymi; że będzie się z za niego strzelać nawet do młodych dziewcząt i dzieci na ulicy, zupełnie bezkarnie; że się będzie porywać przechodni z chodnika; że ludzie będą robili podkopy, jak więźniowie uciekający z więzienia, — i to wszystko na oczach całego świata cywilizowanego, który ten stan uznawać będzie nie za stan wojny, lecz pokojowego współżycia, w okresie „wymiany kulturalnej” z tamtą stroną?... Tymczasem dziś, zatracenie poczucia perspektywy zaszło tak daleko, że nikogo nie dziwi, że rząd kraju, którego stolicę przedzielono w ten sposób niebywałym w dziejach murem, rozważa poważnie warunki, na jakich mógłby udzielić strzelającym z za tego muru, miliardowego kredytu!... Jest to stan nie do pojęcia z przed pierwszej wojny, nie tylko bez precedensu, ale kompletnie fantastyczny. Nie, żaden człowiek z pokolenia naszych ojców jeszcze, w możliwość takiej fantazji by nie uwierzył.

Wielka jest zdolność rezygnacji i przystosowania do warunków, właściwa naturze ludzkiej. Ale żaden realizm nie powinien pozbawiać ludzi poczucia wyobraźni, gdyż przestanie być realizmem. Porównanie zaś obyczajów świata z roku 1912 z obyczajami r. 1962, daje nam dopiero niejaką możliwość, choć oczywiście nie w zarysach konkretnych, wyobrazić sobie, do jakiego układu rzeczy ludzie będą mogli być jeszcze zmuszeni „rozsądnie” się przystosować, w roku 2012! Jeżeli do tego czasu ognisko psychicznej zarazy nie zostanie unicestwione.

Katastrofa, to nie śmierć połowy ludzkości w wojnie atomowej. Katastrofa, to życie całej ludzkości pod panowaniem ustroju komunistycznego.

*

Być może przyjdzie czas upragniony, gdy to wszystko zostanie zapomniane, i ta książka zostanie zapomniana dawno, a komunizm starty z powierzchni ziemi; i my wszyscy powrócimy do starych sporów, z przed czasów jego istnienia. Tak właśnie przechodzi wielka choroba, zapada w nicość zaraza i śladu po niej nie ostaje. I ludzie już nie pamiętają i pamiętać nie chcą. Ale bywa też, że choroba nie wymiera sama przez się, a musi być najprzód zwalczona dużym wysiłkiem. Bywa też, że zwycięża. Ja piszę w dniach wielkiej choroby.

MIEJMY NADZIEJĘ...

Próba definicji tego, co się dzieje w PRL, jest znacznie utrudniona ze względu na zalew dezinformacji, ignorancji, częściowo nieświadomego albo świadomego zakłamania. Do nich zaliczyć trzeba nie tylko dezinformacje lansowane przez centrale komunistyczne w Warszawie i Moskwie w ich *taktyce politycznej*, ale też rozmaite nacjonalistyczne *wishful thinking* narodów podkomunistycznych, które ze swej strony dezorientują rządy narodów wolnych w ich stosunkach z blokiem sowieckim.

Do kardynalnych błędów należy:

I. Identyfikowanie Związku Sowieckiego ze starą Rosją, jej tradycjami, dążeniami, „duchem” etc., słowem z: „Imperializmem Rosyjskim”-. W istocie rzecz ma się akurat odwrotnie. Związkowi Sowieckiemu obce są nie tylko natura i cele dawnej Rosji, ale ponadto właściwe cechy klasycznego „imperializmu”. Zasada bowiem każdego imperializmu polega na wykorzystaniu krajów podbitych dla korzyści własnego kraju (metropolii) i własnego narodu. Tymczasem ani Rosja, ani Rosjanie w Związku Sowieckim nie osiągają żadnych korzyści z celów i działalności międzynarodowego komunizmu, a są jego pierwszymi ofiarami i częstokroć żyją w gorszych warunkach niż ludzie w krajach rzekomo „kolonialnych”, czyli podbitych przez centralę komunistyczną w Moskwie.

To odwrócenie rzeczywistości niejako do góry nogami, leży jednak w nacjonalistycznym programie...narodów ujarzmionych”, którym najwidoczniej chodzi nie o obalenie ustroju komunistycznego, lecz o uzyskanie więcej swobód i praw ściśle nacjonalistycznej natury — w tymże ustroju komunistycznym. Przykładowym hasłem tego rodzaju jest tu spotykane często: polski (ukraiński, białoruski etc.) socjalizm (komunizm) nie jest tak zły, byle tylko nie był „rosyjskim”.

II. Międzynarodowy komunizm z centralą w Moskwie nie jest „imperializmem” w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz dążeniem do opanowania całej kuli ziemskiej, całego świata, wszystkich narodów, celem narzucenia temu światu totalitarnego ustroju komunistycznego. Żadne „rusyfikacje” nie są i nie były celem komunizmu, lecz wyłącznie skomunizowanie świata. Znane są środki, którymi w tym celu się posługuje. Infiltracja, indoktrynacja, masowa i szczegółowa propaganda, które do tego celu prowadzą. Jest to największe zagrożenie świata od czasu jego istnienia.

Przydawanie temu zagrożeniu cech „imperializmu”, a zwłaszcza imperializmu jednego tylko narodu, nie tylko wprowadza w błąd opinię światową, ale przede wszystkim pomniejsza to zagrożenie. Stad - pośrednio - leży w interesie

Moskwy i jest przez nią w różnoraki sposób wyzyskiwane dla celów taktycznych.

III. Międzynarodowy komunizm w jego dzisiejszej postaci, jest rodzajem psychologicznej ZARAŻY, niezależnie od narodowych czy ekonomicznych pobudek. Wolność, wolność prawdziwą, może dać tylko obalenie komunizmu, zniszczenie tego ustroju, niezależnie od języka jakim się posługuje. Zniszczenie to nie jest przepisem do załatwienia jakichkolwiek spraw i problemów granicznych, narodowościowych, ekonomicznych czy innych w krajach opanowanych przez komunizm. Jest to wyłącznie przepis na: *przywrócenie wolności*. Ludzie pozostaną, jakimi byli zawsze: „źli” czy „dobrzy”, ale wyzwoleni od zagrożenia komunistycznego.

IV. Czy świat chce, dąży do przywrócenia tej przedkomunistycznej wolności? Oto jest pytanie, przed którym wszyscy stoimy. Czasem wydaje się, że chce, ale nie dąży. I to nie tylko świat jeszcze wolny, tzw. „świat zachodni”, ale — paradoksalnie — również ten zniewolony, ten podkomunistyczny. Różne są tego przyczyny. W pierwszym rzędzie działa psychoza strachu przed wojną (tzw. „konfrontacją”). Świat zachodni stawia na „ewolucję komunizmu”. A podkomunistyczny, tzn. jego polityczna elita, na: poprawę bytu bez przelewu krwi.

V. To, do czego dąży „opozycja” w PRL i w innych krajach pod-komunistycznych — niewątpliwie nie jest dążeniem do obalenia, lecz do „ulepszenia” komunizmu”. Ale jedno wyklucza drugie. Mój adwersarz polityczny, Stefan Kisielewski, traktowany za „wielkiego opozycjonistę”, propagujący dziś „finlandyzację” Polski jako receptę polityczną, słusznie kiedyś zauważył: „Nie można czegoś „obalać” i „ulepszać” jednocześnie...”

Niewątpliwie, ruch „Solidarności” w PRL nie był nigdy dążącym do obalenia komunizmu, lecz do ulepszenia go. Poprawienia, zarówno warunków ekonomicznych, jak i społecznych. — „Więcej chleba i wolności!” Był w tym konsekwentny. Zgodził się na dominującą rolę partii

komunistycznej, byle w jej polsko-katolickim wydaniu. Nie można zresztą dążyć do czegoś („obalenie ustroju”), gdy się samo takie dążenie (kontrewolucja, użycie siły, etc. etc.) przeżywa „oszczerstwem”, „prowokacją” etc. W tym swoim dążeniu do „Porozumienia Narodowego” znalazł też pełne poparcie ze strony Kościoła, od prymasa Wyszyńskiego począwszy, na papieżu Janie Pawle II skończywszy. I tu rozwarła się dziedzina niekonsekwencji, a częściowe zakłamanie w słowach i hasłach, gestach i komentarzach, przymykane oczu na rzeczywistość. Bo: „porozumienie narodowe”, z kim?...

VI. Przytoczę tu drobny na pozór przykład. Lenin, w swoim liście do Gorkiego, napisał: *„Bóg to jest zdechłe ścierwo, które smrodem swego rozkładu zatrui cały świat”*... Nigdy tego zdania nie wycofał i każdy wie, że aż do śmierci nie zmienił. Z drugiej strony cały świat wie, że leninizm, czy marksizm-leninizm, stanowi najwyższy cel i ideał międzynarodowego komunizmu. A Lenin jest jego największym prorokiem po dziś dzień. Powstaje pytanie czy papież obecny, który unika wypowiedzenia słowa „komunizm”, wie o tym liście Lenina, o rzeczywistej dążności każdego komunizmu, który pragnie zniszczenia wiary w każdego Boga?... I oto dochodzi do paradoksalnego zdarzenia: podczas jakiejś manifestacji robotniczej „Solidarności” w Gdańsku, w hucie im. Lenina, powieszono na ścianie obok portretu Lenina portret papieża. Akt ten poczytany być musiałby za ciężką obrazę dla namiestnika Chrystusowego. Tymczasem uznano go powszechnie jako akt hołdu dla papieża, dowód katolickiego nastawienia robotników i przejaw „opozycyjnych” dążeń wolnościowych. Jest to jeden drobny przykład w paśmie niekonsekwencji, pomieszania pojęć itd., których tu wyliczać nie będziemy.

Czy na niekonsekwencji i pomieszaniu pojęć można budować coś trwałego? Moim zdaniem, nie. A do takich właśnie należy wiara, że możemy stworzyć komunizm gwarantujący ludziom wolność osobistą, polityczną, ekonomiczną czy jakąkolwiek inną. I to mimo oczywistości,

jaka zaistniała i trwa od 1917 roku, że bez obalenia komunizmu o żadnych „wolnościach” w *nim* - marzyć nie można.

Klasyczny prekursor. — Tego, co się dzieje w Polsce, mieliśmy przed 60-ciu laty klasyczny wzór. Tzw. wypadki w Kronsztadzie („Bunt Kronsztadzki”) koło Petrogradu, w marcu 1921 roku.

Nie lubi się tych wypadków analizować. Już w sierpniu 1920 roku wybuchły rozruchy w guberni Tambowskiej (Powstanie Antenowa), następnie na Powołżu, na Ukrainie, Kaukazie, Zachodniej Syberii etc. Inflacja i kryzys gospodarczy wzmacniał się. W styczniu 1921 roku rząd bolszewicki zmniejszył racje żywnościowe. W lutym doszło w Moskwie do demonstracji robotniczych i strajków. 23-go lutego w fabrykach Petrogradu (Jeszcze nie przemianowanego na Leningrad) doszło do strajków i demonstracji ulicznych. Rząd zmobilizował początkowo ruchome oddziały „czerwonych kursantów”, a następnie ogłosił stan wojenny, wzywając jednocześnie robotników do powrotu do pracy. Dnia 27 lutego pojawiły się na ulicach Petrogradu ulotki Komitetu Robotniczego wzywające robotników:

„Towarzysze! Zachowajcie rewolucyjny porządek. Żądajcie wypuszczenia aresztowanych socjalistów i bezpartyjnych robotników! Żądajcie zniesienia stanu wojennego!... ”

Następnego dnia 6 tysięcy robotników Zakładów Putiłowskich wyszło na ulice. Rządowi bolszewickiemu udało się złamać demonstrację. Ściągnięto wojska i znaczne oddziały milicji. Jednocześnie podwyższono robotnikom racje żywnościowe. Wieści o wypadkach w Petrogradzie doszły do Kronsztadu. Załogi statków pancernych „Petropawłowsk” i „Sewastopol” zwołały wiece. Wysunięto wtedy różne żądania, ale — nie zrywając z ustrojem. M. in. „Władza Sowietom, niezależnie od Partii”...! I jednocześnie: „Precz z kontrrewolucją, zarówno z prawa jak z lewa...”! Ton został zachowany klasycznie „socjalistyczny”.

Wyrzekano się jakiegokolwiek wspólnoty z antykomunistyczną kontrrewolucją, i samo podejrzenie o taką

wspólnotę piętnowano jako „oszczerstwo” i „prowokację”. Wzywano do „nie przelewania krwi”. Do spokoju i solidarności. Rząd bolszewicki zmasował wojska. Komitet rewolucyjny marynarzy i robotników odpowiedział odezwą:

„Niech cały świat wie, że jesteśmy obrońcami władzy Sowietów (rad) i stoimy na straży zdobyczy Socjalnej Rewolucji. Zginiemy albo zwyciężymy!”

Te hasła nie pociągnęły całego kraju do powstania. Wielu odstąpiło od udziału. Bolszewicy rozbili „opozycję” robotniczo-marynarską. Jej przywódcy uciekli do Finlandii. A mocarstwa zachodnie?... Dnia 16 marca 1921 roku Wielka Brytania podpisała układ handlowy z rządem bolszewickim. Tegoż dnia Turcja układ „przyjaźni”. A 18 marca Polska zawarła układ pokojowy z Moskwą. Jeszcze wcześniej, na X Zjeździe Partii, 8 marca, Lenin ogłosił swój słynny manifest o wprowadzeniu w kraju polityki „NEP-u”. Już wtedy, jak i później, uznano ten zwrot taktyczny za „nieodwracalny”. Chłopi wrócili do pracy „na swoim” radośnie.

Ten „komunizm z ludzką twarzą” przetrwał kilka lat. Potem nastąpił kolektywizacja, wydziedziczenie, masowe zsyłanie „kułaków” do łagrów i straszna nędza całego kraju. Jak wszędzie pod rządami komunistycznymi.

Dziwne zniknięcie Lenina. — W dzisiejszych wystąpieniach przeciwko komunizmowi, a zwłaszcza w klasycznej propagandzie Zachodu, rzucić się musi w oczy, że o Leninie i jego bolszewizmie prawie, albo wcale się nie mówi w tonie pejoratywnym. Podczas gdy masa jest tego o Stalinie, stalinizmie, neostalinizmie etc., jakby wszystko zło od Stalina się zaczęło, a nie od jego poprzednika, Lenina... Dlaczego tak? Przecież rzeczywistość była odwrotna.

To Lenin pierwszy wprowadził obozy koncentracyjne, z których najsłynniejszy znajdował się na wyspach Sołowieckich. To Lenin kazał topić oficerów carskich w przedziurawionych barkach na Morzu Białym. Rozkazał wymordować całą rodzinę cesarską, łącznie z dziećmi i wiernymi sługami.

Leninowskie czasy NEP-u uchodzące za prototyp „komunizmu z ludzką twarzą”, były jednocześnie czasami krwawych rządów „Czeka” i GPU, sprawowanych rękami Polaka, Dzierżyńskiego. Połączone z okresem największych prześladowań religijnych. Tysiące księży prawosławnych, katolickich i innych wyznań, arcybiskupów, biskupów — zostało wymordowanych; świątynie zamieniono na składy, a nawet stajnie. Pokazowy był m. in. proces biskupa katolickiego Cieplaka i generalnego wikariusza Butkiewicza, których skazano na karę śmierci. Cieplaka wypuszczono później do Polski, a prałata Butkiewicza zastrzelono w podziemiach „Czeka”. W tym czasie moskiewska „Prawda” z 31 marca 1923 r. wystąpiła z artykułem, że wyrok śmierci wydany powinien być na papieża w Rzymie, jako źródło wszelkiej kontrrewolucji na świecie. Terror antyreligijny objął wszystkie kraje ówczesnej Bolszewii.

Dziś raptem o tym wszystkim głucho... Rzecz odwrócona została na Zachodzie do góry nogami według takiej mniej więcej formuły: „dobry” Lenin zrzucił złego cara, ale „zły” Stalin popsuł dzieło Lenina... Amerykańska stacja radiowa Free Europe, z pewnego rodzaju triumfem w tonacji, przekazywała w lutym 1982 roku wystąpienie przywódcy komunistów hiszpańskich - Carillo, który potępił wprowadzenie stanu wojennego w Polsce i powiedział, że dzisiejszy komunizm w Moskwie „odszedł od ideałów bolszewickiej rewolucji październikowej”... Brzmi to jak szyderstwo. Ale oto polskie czasopismo „Polska w Europie”, wydawane w Rzymie, niewątpliwie z poparciem sfer watykańskich, w numerze 1 z 1982 roku w artykule pt. „Wolność dla Narodu Polskiego”, cytuje obok wypowiedzi episkopatów, wystąpienia w obronie Polski: Enrico Berlinguera, sekretarza Komunistycznej Partii Włoch; Tetsuzo Fuwa, przewodniczącego sekretariatu Japońskiej Partii Komunistycznej; Kenji Miyamoto, przewodniczącego JPK... i podkreśla: „W sprawie polskiej solidaryzują się partie komunistyczne Japonii, Włoch i Hiszpanii”... w tonie dla tych partii pozytywnym. Jest li, więc to pismo antykomunistyczne, czy raczej prokomunistyczne,

cieszące się „solidarnością” z tymi partiami? Te rzeczy przekazuje się na tamtą, podkomunistyczną stronę dla otuchy rodaków... Zgodnie zresztą ze stanowiskiem całego tzw. Zachodu.

Tłumaczy się ono dwojako. Po pierwsze słowo „rewolucja”, każda rewolucja, przyjęto na Zachodzie traktować jako pojęcie pozytywne. Słowo „kontrrewolucja”, każda kontrrewolucja, jako pojęcie negatywne, a nawet obelżywe wyzwisko. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, które swoje oderwanie od Wielkiej Brytanii w XVIII wieku, i ustanowienie niezależnego państwa w Ameryce nazwały „rewolucją”. Także w Europie, gdzie „Wielką Rewolucję Francuską” przyjęto traktować za początek nowej, postępowej ery. Stąd w przeniesieniu na politykę bieżącą tzw. Wolnego Świata zachodniego w odniesieniu do Moskwy: nie ma to być polityka obalenia komunizmu (byłaby kontrrewolucją!), lecz stawka na ewolucję, na „prawdziwy socjalizm”, i szukanie w tej stawce sojuszników wśród lewicy, a już zwłaszcza „opozycji” wśród komunistów samych. A więc w eurokomunizmie, w czerwonych Chinach i tak dalej. Nie można przecież pod antykomunistycznym sztandarem jednać i jednoczyć dla siebie — komunistycznych sojuszników... Ani obrzydzać i piętnować ich proroka, którym pozostał dla wszystkich komunistów Lenin! Można natomiast bić w Stalina i „neostalinowców”, którzy „wypaczyli naukę Lenina”...

Stąd jako słowa obelżywe pod adresem Moskwy nadaje się przez radio: „kontrrewolucjoniści”, „czerwoni faszyci” etc. Albo w obliczu polskiego stanu wojennego wprowadzonego przez Jaruzelskiego:

„junta generalska”, „junta neostalinowców”, „konserwatyści partyjni”, „banda czerwonych reakcjonistów” i podobne temu epitety. Ale nie do pomyslenia byłoby piętnować ich na przykład per „banda bolszewicka”!...

Tymczasem byłoby to określenie najbardziej ściśle. Gen. Jaruzelski nie jest ani zdrajcą, jak go przezywają w pewnych kołach emigracyjnych, ani żadnym targowiczanielem osiemnastowiecznym, co jest w przeniesieniu na dzisiejsze

czasy określeniem śmiesznym. Jest po prostu komunistą. Zdrajcą byłby, gdyby zdradził komunizm, któremu służy. Tego właśnie wielu dysydentów i opozycjonistów pojąć nie może. Mimo wszystkich taktycznych skrętów i kłamstw komunizmu, ta szczerość z otwartą przyłbicą stanowi też o pewnej moralnej sile komunistów. Podobnie jak Jerzy Putrament wśród pisarzy PRL jest szczerym w swym stanowisku. Znałem go przed wojną jeszcze. Zawsze był komunistą i takim pozostał. To, co pisze, jest mi wrogie, ale wiem, że szczere. Podczas gdy plejada współczesnych pisarzy w ich wykrętach, niedomówieniach, autocenzurze, przystosowaniu do zgody narodowej etc. bywa pełna zakłamania wewnętrznego i pisze nie ze szczerości wewnętrznej, a z troską o „nie przekroczenie granicy” do mówienia prawdy, „nie wychylania” się zbyt, dopasowania do zewnętrznej formy. To jest ich słabością. Należą do nich ludzie zarówno o antykomunistycznej przeszłości, jak też byli komuniści przerzuceni do „dysydentów”.

Ani Zachód ani ruchy opozycyjne w bloku sowieckim — w znacznym stopniu manipulowane przez partię — nie walczą i nie chcą walczyć z samym komunizmem.

„Nie dopuścić do przelewu krwi!” -Jest to hasło najbardziej rozpowszechnione w całym świecie, szczególnie podkreślane przez najwyższy autorytet moralny, jaki reprezentuje w tym świecie Głowa Kościoła Katolickiego. Nie dopuścić do przelewu krwi w walce z komunistami.

Mieszkam w Niemczech i trafiła mi do rąk drobna notatka gazetowa pewnej statystyki niemieckiej: W ciągu ubiegłego roku 1981 w wypadkach samochodowych zginęło na drogach NRF: 11 800 zabitych i 470000 rannych (z których znaczny odsetek zmarł następnie w szpitalach, lub został okaleczony na resztę życia). Nie miejsce tu na przytaczanie i analizę statystyk porównawczych. Tak jest w jednym, niezbyt dużym, kraju Europy. Wszelako wiemy, że statystyka analogiczna wykazuje — mniej lub więcej — ten sam procent we wszystkich krajach Europy. A w całym świecie? Cyfry te, zaokrąglone prowizorycznie, idą w miliony. W pomnożeniu na lat np.

dziesięć, wyniosłyby... — Nierozsądnie, naturalnie, byłoby wymagać od papieża, czy innych instancji światowej moralności, by potępiały rozbudowę światowego ruchu samochodowego, lub zgoła domagały się zniesienia go. Można jednak sobie wyobrazić ten wielki krzyk, jaki by się podjął, gdyby tyle samo ludzi ginęło w walce z komunizmem.

A przecież opanowanie kuli ziemskiej przez komunizm światowy wydaje się sprawą wielokrotnie ważniejszą niż rozwój ruchu samochodowego. Z tego zestawienia ludzie mogą się słusznie śmiać. Niemniej widzimy, że nie o sam przelew krwi chodzi, lecz o cele, w jakich się ją rozlewa.

Podobnie jest z potępieniem wojny. Każdej wojny, tak się mówi. Ale mówi się niesłusznie. Znany publicysta brytyjski, Philip Van der Est, opracował w r. 1979 obszerne dzieło obejmujące statystykę mordów komunistycznych. Według tego opracowania, począwszy od roku 1917, czyli od „Wielkiej październikowej”, komuniści wymordowali 143 miliony ludzi... Tzn. wielokrotnie więcej niż w ciągu swego życia i wojen zdołał wymordować Hitler. (Zauważmy na marginesie: w Rosji carskiej od r. 1821 do r. 1906 stracono zaledwie 997 ludzi). Trudno sobie wszakże wyobrazić, aby papież i moralność opinii publicznej mogły ocenić dzisiaj wojnę przeciwko Hitlerowi jako „zbrodnię”... Oczywiście, że niepodobna sobie wyobrazić. Każdy zgodzi się z tym, że była to wojna słuszna, i bez tej wojny hitleryzm mógłby w dalszym ciągu szaleć na ziemi. Dlaczego jednak w takim razie wojna przeciwko komunizmowi ma być „zbrodnią”?... Mnie się zdaje, że każda wojna przeciwko zbrodniarzowi winna być uznana za słuszną i sprawiedliwą.

Wojen, tak czy owak, nie wykreśli się z życia ludzkości. W ciągu ostatnich 300 lat mieliśmy tylko 60 lat bez wojen. Od roku 1945, czyli od końca ostatniej światówki, było ich na ziemi: czterdzieści...

Wymyślono super-straszak: wojna atomowa, która może zniszczyć naszą planetę. Po każdym nowym wynalazku, od nowego systemu łuków począwszy, poprzez artylerię, karabiny maszynowe, gazy trujące, przepowiadano koniec ery wojen,

jako zbyt niszczącej. Nic się nie sprawdziło. Hiroszima do teraz uchodzi za symbol odstraszający. Ale nie mówi się o tym, że bombardowanie Drezna przez bombowce alianckie w ostatniej wojnie, zwykłymi bombami lotniczymi, pociągnęło za sobą czterokrotnie więcej ofiar. Nie mówi się, bo — nie wypada...

To, co wypada, a „nie wypada” mówić, jest wielkim hamulcem w naszym rozwoju intelektualnym, w ogóle. A już politycznym, w szczególności.

Znowu: prawda na wywrót... — Przedstawia się Związek Sowiecki jako (uzbrojone po zęby) mocarstwo wyjątkowo potężne militarnie. W rzeczywistości jest odwrotnie. Związek Sowiecki jest chyba najsłabszym mocarstwem w dziejach. Bywały różne. Ale takiego, którego 90 procent własnej ludności pragnęłoby upadku, jeszcze nie było.

Ten, kto przeżył ostatnią wojnę sowiecko-niemiecką i widział to, co się działo w początkach na własne oczy... Właśnie nie wypada o tym opowiadać głośno. Bo wkroczenie Hitlera w czerwcu 1941 przyjęte zostało powszechnie przez całą ludność, w tym rosyjską w szczególności — jako „wyzwolenie”. Ale kto opowiadał się za Hitlerem, ten jest w oczach opinii „zły”. Więc i przykład, choć naoczny, jest „zły”. Nie będę przytaczał przykładów powszechnie znanych, i zresztą zafiksowanych w licznych dziełach: całe armie sowieckie poddawały się masowo, przechodziły na stronę najeźdźcy. A ludność witała go chlebem i solą. Liczba jeńców wciągu pierwszych miesięcy doszła do niebywalej cyfry wielu milionów. — Jednakże Hitler przegrał wojnę...

Znamy Hitlera i jego system niezliczonych zbrodni. Mniej znana natomiast jest jego bezgraniczna głupota; głupota jego systemu i jego koncepcji politycznych. Miał on wojnę już wygraną w kieszeni zanim przekroczył sowiecką granicę. I zrobił wszystko, aby — ją przegrać... Hitler nie walczył z komunizmem. Jest tej „nie-walki” pokazowym przykładem. Walczył z narodami i „rasami”. Za wroga uważał nie komunizm, lecz „rasę żydowską”, narody słowiańskie. Bolszewizm był dla niego tworem rasy żydowskiej; ludzi

wschodnioeuropejskich traktował za „pod-ludzi”. Sam będąc rewolucjonistą, i przede wszystkim nacjonal-socjalistą — nienawidził wszelkiej kontrrewolucji i zresztą wszelkiej „prawicy”, z duszy całej. Wielokrotnie mówił, że żołnierz niemiecki walczy na wschodzie z Sowietami nie po to, by wprowadzać stan kontrrewolucyjny w Rosji. Porównywał Rosjan do ludzi „z błota”... W ten sposób „wyzwolenie”, którego się spodziewano, zamienił w krwawe deptanie godności ludzkiej. Zamienił „wyzwolenie” we własną klęskę... A mimo to, jeszcze miliony ludzi — (Rosjan 1800000, Ukraińców, Białorusinów, mieszkańców Krajów Bałtyckich, Kaukazu, Donu, Azjatów etc.) wytrwało po hitlerowskiej stronie antysowieckiej z bronią w rękę do końca. Tak wielką nienawiść żywili do ustroju komunistycznego.

W dzisiejszym nastawieniu tzw. „Zachodu” (Polski nie wyłączając) jest właściwie wiele z tego „hitleryzmu” w ocenie Bloku Sowieckiego. Nie chce się widzieć komunizmu, lecz „Rosję” i „Rosjan”. Tymczasem rozbitcie tego bloku polega nie na sile militarnej, lecz polityczno-propagandowej. Recepta jest gotowa: wziąć wzór polityki Hitlera i — zrobić wszystko odwrotnie niż on to uczynił... Czyli z „najeźdźcy” przeistoczyć się w autentycznego „wyzwoliciele”.

Ale nawet z punktu widzenia czysto militarnego Związek Sowiecki jest wielokrotnie słabszy od „Zachodu”. Niedawno Szwedzki Instytut Badań Wojennych w Sztokholmie ogłosił wyniki tych badań w czasopiśmie „Est”. Jest to szczegółowa analiza, której przytaczać tu nie będziemy z braku miejsca. Opracowanie wszystkich odcinków terenowych, rodzajów broni i sytuacji porównawczych z Zachodem. Wynika z tego, że militarnie na lądzie, na morzu i w powietrzu Pakt Warszawski jest, co najmniej pięciokrotnie słabszy od Paktu Atlantycznego. A nie odwrotnie, jak to się lubi przedstawiać. W sumie: łącznie z bromami atomowymi.

Stąd Związek Sowiecki i cały jego Blok, jest mocarstwem, które najbardziej obawia się otwartej wojny („Konfrontacji”). Gdyż przy trafnej ocenie ze strony Wolnego Świata i zastosowaniu trafnej polityki, Blok Sowiecki rozpadnie się w

drzazgi przy pierwszym zderzeniu wojennym. Rozpadnie się też cała ofensywa, psychologiczna sieć komunizmu, która dziś oplata i zagraża kuli ziemskiej.

Rachunek prosty. — Międzynarodowy komunizm wychodzi z założenia bardzo prostego rachunku: Po co narażać się na ryzyko wojny (zguba), gdy można bez wojny, niejako gołymi rękami, opanować świat. Stąd cały komunistyczny plan ofensywny związany jest ściśle z planem obronnym w jedną całość. Infiltracja, indoktrynacja, dezinformacja, opanowanie wpływowych sfer wolnego świata, wszelkiego rodzaju lewicowców, „progresistów”, pacyfistów etc. etc. przez wpływy komunistyczne są nam wszystkim bardzo dobrze znane. Już w dwudziestych latach zaprojektowany był z powodzeniem prowokatorski plan, znany pod mianem „Trust”, który z jednej strony miał wszczepiać na Zachodzie przekonanie, że w Sowietach zachodzą wielkie, wewnętrzne przemiany „ewolucyjne”, z drugiej strony przestrzegać przed wojną, która by te przemiany unicestwiła i wzmocniła bezkompromisowość komunizmu. Od tego czasu nadzieje na „ewolucję” Moskwy nie ustały w wolnym świecie, znakomicie wzmacniane manipulacją różnymi „dysydentami”. Po drugiej wojnie głośne stały się komunistyczne „Kongresy Pokoju”. Jednało się do nich kogo się dało, zwłaszcza wśród intelektualnych, „postępowych” chrześcijan. Dziś okazały się niepotrzebne od kiedy papież, po II Soborze Watykańskim, uczynili z POKOJU najwyższą cnotę i podnieśli do godności nieomal świętego kanonu: Byle nie wojna! Byle nie przelewać krwi! Nie tylko w wojnie zewnętrznej, ale i - uchowaj Boże — w wewnętrznej kontrrewolucji! Tym bardziej wylansowano, już na wielką skalę i w nowym wydaniu, „nieantagonistyczną opozycję” w państwach komunistycznych... Tzn. taką, która dąży do „poprawy” ewolucyjnej komunizmu, ale wyklucza obalenie go siłą. Zaczęło się to w samych Sowietach jeszcze za Chruszczowa. Słynne pierwsze „samizdaty”, nawet z adresami redakcji i autorów, czyli na wpół jawne, zasłynęły w całym świecie. Znaczenie tym większe, że jednocześnie utwierdzały

Zachód o zachodzącej w bloku komunistycznym „EWOLUCJI”, o której wszyscy marzą, gdyż stanowi alternatywę wszelkiej wojny, a nawet ją wyklucza. W ten sposób zabłąsnęli „opozycjoniści” tej miary jak Sacharow i Sołżenicyn. Po nich przysłała plejada innych. Wszystkie głośne, organizowane na Zachodzie „przesłuchania im. Sacharowa” odznaczały się tym, że przy ich rzekomym antykomunizmie dopuszczano tylko „niewinne ofiary ustroju komunistycznego”, lecz z reguły - nie wrogów komunizmu. (Sami są sobie winni, o ile zasłużyli na represje...) — Sołżenicyn, którego puszczono za granicę z całą rodziną i całym archiwum- doszedł na Zachodzie do szczytu sławy. Jego działalność sprowadziła się do tego, że właśnie z najwyższego szczytu „antykomunisty” zaczął propagować trzy najważniejsze dla Moskwy postulaty: 1) Że Zachód jest zgniły i niezdolny do walki (już Lenin powiedział, że gotów „sprzedać nawet stryczek na własną szyję, byle zarobić pieniądze”...) Więc na Zachód liczyć nie można. 2) Że komunizm jest potęgą militarną, która - jak powiedział - nie potrzebuje nawet bomby atomowej, rozwali Zachód gołą pięścią! (I Zachód padał plackiem ze strachu). — I najważniejsze. 3) Że można z nim walczyć tylko przez duchowe przeobrażenie, miłość do prawdy, modlitwę do Boga, ale nigdy, jak napisał w swoim „Gułagu”: „Ani nożem, ani mieczem, ani karabinem!” To są te trzy tezy potrzebne Moskwie. Na wszystkie inne słowa Sołżenicyna (a niektóre bywały doskonałe) Moskwie, jak mawiał Lenin: „naplewat!” Jasne, że gdyby to apostołował agent sowiecki, nie miałoby znaczenia. Znaczenie ma, że głód to ktoś, uważany za „apostoła antykomunizmu”-.

Po tej właśnie linii i wzorach poszły inne nieantagonistyczne „opozycje” w Bloku Sowieckim i poza jego granicami. A w pierwszym rządzie tzw. „Eurokomunizm”.

Sama nazwa wskazuje już na kapitalną dezinformację. Bo przecież Marks i Engels, a wreszcie sam Lenin, urodzili się w Europie, i dzisiejszy komunizm jest ani azjatycki, ani afrykański, ani amerykański, tylko tam przeszczepiany z Europy. Komunizm był zawsze „Eurokomunizmem”. Lenin

pouczał o sposobie jego rozpowszechniania, i stosowania taktyki: „byłe skuteczniej”.

Naturalnie nie było żadnego „najazdu na Czechosłowację” w 1968, ani żadnej tzw. „doktryny Breżniewa”. Była to rozgrywka nie zewnętrzna, lecz wewnętrzno-komunistyczna, i według nie nowej Breżniewa, lecz starej doktryny Lenina. Także rzecz się miała na Węgrzech, w Polsce Gomułki, w Rumunii. A jeszcze przedtem w Jugosławii. I wreszcie ostatnio w dzisiejszym PRL Jaruzelskiego, z jego „stanem wojennym”.

W tym miejscu należy się zastrzec. Tego rodzaju, częściowo manipulowane opozycje nieantagonistyczne, nigdzie nie są dziełem KGB, ani żadnej „Bezpieki”, jak to się używa potocznie. Policje ustroju komunistycznego posiadają minimalną swobodę inicjatywy. To zrozumiałe w systemach totalitarnych. Wszystkim rządzi sama Partia. Jeżeli dochodzi pomiędzy nią a pewnymi działaniami „opozycyjnymi” do kontaktów, to wyłącznie na podstawie cichego porozumienia centrum Partii z przywódcami pewnych ruchów dla osiągnięcia z góry ukartowanych kompromisów. Co znowuż nie znaczy, że wszyscy widzą, do czego to prowadzi, czy ma prowadzić. Przeciwnie! 90 procent biorących udział w takiej opozycji czyni to na pewno w dobrej wierze i z głębokiego przekonania, że tak właśnie czynić wypada i należy.

Tak się ma rzecz z dzisiejszą „Solidarnością” w PRL, która uznaje prymat partii komunistycznej, i zapiera się aspiracji do jej obalenia, a nawet do roli politycznej.

Czy „ilość przejdzie w jakość”?... — Marks pouczał nas, że tak, że przejdzie. Daj Boże, żeby miał rację.

Dotychczasowe „opozycje” w Bloku Sowieckim, wypierające się kontrrewolucji, w istocie swojej są na rękę Moskwie, gdyż działają dla ulepszenia komunizmu, a nie ku osłabieniu komunizmu. Ale wszyscy jesteśmy ludźmi. Komuniści dążący do zapanowania nad światem, też są tylko ludźmi. Ludzka rzecz to omyłki, przeliczenia się w rachubach. Wstrząsy wewnętrzne w Bloku Sowieckim, jeżeli się rozszerzą, jeżeli wyślizgną się z rąk planistów komunistycznych, mogą się

przeistoczyć nagle z ilości w jakość... Przy sprzyjających okolicznościach zewnętrznych, mogą, owszem mogą doprowadzić do obalenia komunizmu. Imponderabilia grają wielką rolę w życiu ludzi, w życiu narodów, w zestawie różnorodnych okoliczności historycznych. „Opozycja” częściowo manipulowana przez Partię, opozycja przy jej wzroście ilościowym może się nagle przeistoczyć w wielki, zbiorowy okrzyk: „*Dalaj sowietskiju włast'!*” *Piecz* z sowiecką władzą! Dość tego bratania się z komunistami, tej zabawy we wzajemne porozumienie i partykularne solidarności narodowe w imię interesu „państwowego”! Okrzyk, który zerwie się jak wichur, przeskoczy granice, obejmie wszystkich, nie dla „pojednania narodowego”, „pojednania społecznego”, ale dla wyrzucenia ze społeczeństwa zarazy komunistycznej. Okrzyk, który przywróci rozsądek i uciemiężonym i wolnym jeszcze ludziom na świecie.

Miejmy nadzieję, że tak się stać może.